

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr II/446

1984



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. SZRETT: **DO PANÓW ROSJAN LIST**
NIEMAL OTWARTY
WYWIAD Z BOGDANEM BORUSEWICZEM

K. STACHOWSKI: **COŚ SIĘ PRZECIEZ MUSI ZDARZYĆ**

St. WĄSOWSKI:

UWAGI O ROZGŁOŚNI MONACHIJSKIEJ

M. DANILEWICZ ZIELIŃSKA: **TAK NAS WIDZĄ**

SPIS RZECZY

Józef Szrett:	<i>Do Panów Rosjan list niemal otwarty</i>	3
Stanisław Dembski:	<i>Cisza po burzy</i>	18
Marcin Step:	<i>Wieczór jak rzeka</i>	22

WIERSZE

Jan Nepomucen Rzecki:	<i>Pieśń pod pieśniami</i>	29
-----------------------	----------------------------------	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	38
Witold Ryser-Szymański:	<i>Kulą w płot</i>	43

K R A J

(ja):	<i>Sierpień 1984</i>	49
Marcin Polny:	<i>Szczęśliwe rozwiązanie (Rozmowa z B. Borusewiczem)</i>	58
Krzysztof Stachowski:	<i>Coś się przecież musi zdarzyć</i>	69

SPRAWY I TROSKI

Stanisław Wąsowski:	<i>Uwagi o rozgłośni monachijskiej</i>	77
Radek Sikorski:	<i>Uniwersytet Letni Polonii Świata</i>	95

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	100
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	106
—	<i>Kronika litewska</i>	109

KRONIKA KULTURALNA

Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Tak nas widzą</i>	110
Marek Zieliński:	<i>„Helsinki” we Frankfurcie</i>	125
Jerzy Hamplet:	<i>Teatr zniewolony</i>	129
Józef Czapski:	<i>D i a m e n t</i>	134

K S I A Ź K I

Konstanty A. Jeleński:	<i>Źródło światła w pisarskim podziemiu</i>	137
M. Broński:	<i>Hora mortis</i>	142
Aleksander Matejko:	<i>Wygasta generacja poetycka</i>	144
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	146



—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kroniki amerykańska, francuska i kanadyj- ska</i>	148
---	---	-----



A. Czerniawski, J. Kowalew- ski, ks. Czesław Nowak, Wacław Solski:	<i>Listy do Redakcji</i>	154
--	--------------------------------	-----



Instytut Józefa Piłsudskiego w Ameryce:	<i>Oświadczenie</i>	156
--	---------------------------	-----



—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	157
---	----------------------------------	-----



Krystyna Marek:	<i>Sprostowanie</i>	157
-----------------	---------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad - Novembre 1984

INSTYTUT  LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Ludwik Jasiński, Vaucluse, NSW (Australia) — dla uczczenia pamięci Zbigniewa Jasińskiego, zmarłego w Bermagui 5 lutego 1984 r.	F. 200,00
Albin Kac, Bat Jam (Izrael) — dla uczczenia pamięci niezapomnianych Przyjaciół Mahlera Psachje z Nowego Sącza (pseudo Tadek, poległy dowódca odcinka powstania w getcie białostockim) i Webera z Jasła, który zginął na froncie latem 1941 na Ukrainie	F. 40,00
Tadeusz Knapkiewicz, Winterthur (Szwajcaria), po raz 12-ty — Fr. szwajc. 110,00	F. 407,00
Alfred Kolator, Londyn, po raz 8-my — £ 15,00	F. 165,00
Stanisław Merło, Wavre (Belgia) — dla uczczenia drugiej rocznicy zgonu (10. XI. 1982) śp. mojej Żony, Małgorzaty	F. 100,00
Dr Stanisław Nałęcz-Korzeniowski, River Forest, IL (USA), po raz 26-ty — \$ 27,00	F. 254,00
Pamięci Wacława Zyndram-Kościółkowskiego w Dzień Zaduszny — Zona	F. 100,00
François Prause, Niamey (Niger), po raz 25-ty	F. 100,00
Teresa Romer, St. Eustache (Kanada), po raz 9-ty — \$ c. 40,00	F. 250,00
Genowefa Sobkowiec, Chicago, IL (USA), po raz 3-ci — \$ 100,00	F. 940,00
Bezimiennie z Londynu — po raz 16-ty — £ 20,00	F. 220,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

Dla uczczenia pamięci naszego zmarłego Przyjaciela Mariana-Buśka Lewina, towarzysza sztuki drukarskiej — A. i F. Frajlichowie w USA, C. Konińska w Izraelu, M. Wołodarska w Szwecji — Krs 320,00	F. 346,00
Wojciech Szczygielski, Zurych — Fr. szwajc. 30,00	F. 111,00
Norbert Żaba, Stockholm — zamiast życzeń świątecznych — Krs 100,00	F. 110,00

WPLATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Anonimowo z Toronto, Ont. — zamiast kwiatów na grób śp. Eugeniusza Fedorowicza — na „Solidarność” w Kraju — \$ c. 100,00	F. 710,00
Det Berlingske Hus A/S, Kopenhaga — na „Solidarność” na emigracji	F. 423,98
Maciej Madeyski, Menlo Park, CA (USA) — na działalność oświatową prowadzoną przez „Solidarność” Regionu Mazowsze (do dyspozycji Wiktora Kulerskiego) — \$ 100,00	F. 940,00
— na potrzeby „Solidarności” Regionu Mazowsze (do dyspozycji Zbigniewa Bujaka) — \$ 100,00	F. 940,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 160)

Do Panów Rosjan list niemal otwarty

Mógłbym zatytułować ten mój „list otwarty” cytując Wieszcza. Ale nie mam żadnych „przyjaciół Moskali” i tylko nieliczni Polacy ich mają. Za caratu była otwarta możliwość bezpośrednich, jak to się dziś mówi „międzyludzkich” kontaktów. Że nie rozwijały się one zbyt bujnie, to już inna sprawa, ale były, i państwo nie wtrącało się w tę sferę zjawisk. Więc byli nie tylko przyjaciele Polaków Moskale i *vice versa*, ale istniał stary proces rusyfikowania się jednych, a polonizowania drugich, co samo w sobie nie jest czymś zdrożnym, człek bowiem obdarzony wolną wolą, a nieraz skazany swym urodzeniem na taką czy inną przynależność narodową, państwową, społeczną itd. ma ostatecznie prawo wybierać.

Dzisiaj ta sfera prawie że nie istnieje i proces wzajemnych przenikań jest niezwykle chudy. „Państwo robotników i chłopów” skutecznie wkroczyło w najbardziej prywatne sfery ludzkiego działania i odczuwania. Nie miałbym nic przeciwko temu, by posiadać „przyjaciół Moskali”, ale ich nie posiadam i chyba nawet nie z jakiejś obustronnej niechęci, ale dlatego, że Rosjanin A.D. 1984 — czyli od 65 lat kształtowany na „homososa” — ma znikome możliwości bezpośredniego i swobodnego kontaktu z obcokrajowcem oraz — często podświadomie — wewnętrznie obrósł w niedźwiedzią skórę podejrzliwości, fobii i kompleksów, więc wzajemne kontakty kończą się na oficjalnych, pełnych całkowicie fałszywej wylewności demonstracjach „przyjaźni między narodami”. Bowiemy sowiecka „przyjaźń między narodami” ma być — jak wszystko w tym supertotalitaryzmie — załatwiana „odgórnie”: wsysanie się Gomułki czy Gierka w Chruszczowa

lub Brezniewa właściwie całkowicie wystarcza, jest to bowiem wsy za miliony, który równie dobrze może uprawiać Jaruzelski z Czernienką czy z jakimkolwiek innym kremlowym staruszkiem. „Pociągi przyjaźni” czy inne tego rodzaju polityczno-wehikułowe manifestacje są już tylko „socjalistycznym” kwiatkiem do kożucha, czyli właśnie owej niedźwiedziej skóry masowej podejrzliwości. I dlatego pisząc bezpośrednio w formie jakby listu otwartego nie tylko, że nie wysiłam się na jakieś formalne gesty czy frazesy, ale wyraźnie podkreślam brak podstaw dla takowych. Niestety możemy ze sobą rozmawiać tylko tak, jak Polak z Rosjaninem. Bez żadnych przymiotników.

Polacy mają z Rosjanami zastarzałe porachunki. I *vice versa*. Nie może być zresztą inaczej, skoro jedni i drudzy stanowią (w każdym razie od kłęski pod Białą Górą) dwie główne siły w słowiańskiej części Europy. Chyba nie jest to megalomania, tylko zwykłe liczenie statystyk i faktów. I oba te narody mają, pośród wielu cech zbieżnych — co z uwagi na przynależność do słowiańskiego pnia dziwić nie może — pewien megalomański rys charakteru: chciałyby przewodzić innym. A nie jest wcale tak, że to Rosjanie rezerwują dla siebie rolę „narodu panów” (choć sprytnie tego nigdy głośno nie wypowiadają), bo i my to mamy we krwi, a tylko *calamitates* dziejowe sprawiły, że dziś wcielacie to w życie Wy, a nie my. Tak, panowie Rosjanie, odwróciliście rzeczywistość koło historii, gdy bowiem niegdyś można nas było oskarżać o *Drang nach Osten*, to dziś *Drang nach Westen* waszego narodu jest faktem niezaprzeczalnym. I właśnie my — Polacy — znaleźliśmy się na drodze tego „Drangu”. Na trudy i cierpienia dla nas, ale może dla ocalenia Europy tak się stało. I dlatego porachunków jest dziś więcej, niż było w przeszłości, więcej wzajemnych żalów i pretensji. A tego rodzaju bilanse żadnemu narodowi na korzyść nie wychodzą. Może więc byłby, panowie Rosjanie, czas pomyśleć nad tym spokojnie, wygasiwszy przedtem animozje i przewalczwszy pewne narzucone nam schematy myślowe. Do tego samego zresztą skłaniam panów Polaków, bo i warto, aby także oni pomyśleli spokojnie, w wewnętrznym intelektualnym „wyzwoleniu”.

Zacznijmy od sprawy podstawowej: czy „homosos” jest koniecznie Rosjaninem, czy to wyłącznie Rosjanie powołali do życia „człowieka radzieckiego”? Wydaje mi się, że Polacy w zdecydowanej większości opowiedzieliby się za taką identyfikacją. Ja natomiast uważam, że sowietyzm jest zjawiskiem niezależnym od właściwości narodowych Rosjan, choć oczywiście został przez nich w wysokim stopniu ubarwiony. Bowiem nie może być inaczej: wszystko co tworzą narody musi być zabarwione ich cechami, tak jak cechami indywidualnymi niejako napiętnowane są czyny i pos-

tawy pana Iwanowa i pana Kowalskiego. Niemniej sowietyzm jest zjawiskiem nadnarodowym, ponieważ gdziekolwiek się pojawił, wywoływał podobne następstwa. Zło zawarte jest w sowietyzmie, a nie w rosyjskości, zaś ta ostatnia być może w jakimś pozytywnym stopniu go zabarwiła, to znaczy w jakimś tam stopniu odezła. Wszelako może być i tak, że owa rosyjskość w innym zakresie sowietyzm pogorszyła. Tego nie da się tak dokładnie wymierzyć; faktem pozostaje, że zło zawarte w błędnych konstrukcjach myślowych wcielanych w życie polityczne będzie złem zawsze, niezależnie czy się wcieli w model niemiecki (hitleryzm), rosyjski (sowietyzm) czy bahrajański lub monacowski. Celem ludzi dobrej woli na całym świecie jest na dziś i na jutro walka z sowieckością, przeciwstawianie się sowieckości, oczyszczanie samych siebie i innych z sowieckości. I to wcale nie musi oznaczać antyrosyjskości, choć aktualnie — co ze struktury politycznej świata wynika — w jakiejś mierze jest działaniem antyrosyjskim, jako że Związku Sowieckiego Rosja *pars magna est*. Ale trzeba to podkreślać w nieskończoność: nie antyrosyjskość winna kierować ludźmi dobrej woli, tylko antysowieckość. Niszczyć należy zło w błędzie, a nie w człowieku, nie w ludziach, bowiem to drugie zło jest tylko następstwem pierwszego. Na tym polegał wielki błąd i grzech Krzyżaków, że w imię nawracania, w imię wyplenia zła, swe miecze kierowali ku ludziom, a nie ku pogaństwu. Polska — od dawna chrześcijańska, i Litwa — chrześcijańska od wczoraj i w gruncie rzeczy pogaństwem grubo podsyta, przeciwstawiły się temu złu, obezwładniły państwo zbudowane na straszliwych, bowiem krzywdzących przesłankach. Wszystkie zresztą jak dotąd państwotwórcze działania pod szyldem chrześcijańskim egzaminów nie zdały i wielkie to szczęście dla Kościoła, że go w minionym stuleciu wyzwolono od obowiązków państwowych i politycznych w tym węższym, właśnie państwowym rozumieniu.

Tak, panowie Rosjanie, byliśmy w dawnych czasach kilkakrotnie Przedmurzem Europy. Tylko jakimś takim dziwacznym, bo na różne strony. Zasluga naszą niewymierną był i udział w przeciwstawianiu się agresji osmańskiej, i zniweczenie teutońskiego *Drang nach Osten* na polach Grunwaldu i w niegłaźnych działaniach wojny trzynastoletniej, ale kto wie czy nie największą zasługą naszego Przedmurza było ocalenie Europy w roku 1920. To my daliśmy jej lat dwadzieścia wolności od sowietyzacji i choć w ciągu tych lat dwudziestu Europa zły z naszej walki zrobiła użytek, ale jednak okrzepła na tyle, by zniszczyć jeden totalitaryzm. No a teraz chyba dojrzewa do tego, by zacząć niszczyć drugi.

Roześmiejecie się tubalnie i ironicznie, panowie Rosjanie, że

oto jakiś polski panek głądzi megalomańsko i głupio, cóż bowiem przeciwstawia potężne Imperium Sowieckiego zgnity Zachód? Dławiące się swym dobrobytem, osłabione swą wolnością demokracje? Otóż ja mam na myśli Europę w nieco szerszym rozumieniu niż tylko geograficznym. Być może Europa sięga po Ural, ale na pewno sięga też po Pacyfik, bowiem chodzi o pewną koncepcję, o pewną tradycję, o to, co stanowi chlubę ludzkości w bezmiarze jej podłot i głupstwa. Europa to międzyludzki szacunek, to chrześcijaństwo (tak, tak — zarówno rzymskie jak i greckie, katolickie i reformowane), to rozumienie prawa jako przywileju, a nie kajdan. O tej Europie mówię i o niej mówiłem przypominając nasze polskie Przedmurza.

Czy to oznacza, że w swym „pańskim” szowinizmie tylko nam samym przyznaję zasługi wobec Europy? A może jeszcze Wam uczestnictwa w niej odmawiam, wyrzucam poza obręb ludzkiej wspólnoty opartej na chrześcijaństwie, prawie i szacunku dla człowieka? Nic podobnego. Niemniej chciałbym Wam uświadomić, że sowietyzm jak na dzień dzisiejszy to jednak przede wszystkim Rosjanie, że w politycznych wymiarach bój toczyć się musi z potęgą zakłamania zbudowaną przez system, który tylko w jakiejś mierze jest rosyjski i z potęgą militarną, zbudowaną przede wszystkim przez Was, bowiem poza Wami budowały go wasalne wasze ludy — Polacy *y compris*.

Bardzo wielu z Was wciąż jeszcze uważa, że macie — jako Rosjanie i jako „homosy” jednocześnie — jakąś ogólnoludzką misję do spełnienia. Na takim błędzie opiera się przemyślnie przez sowietyzm narzucona Wam izolacja. Wy niby wiecie, że poza granicami tej „jutrenki przyszłości”, jaką jest państwo sowieckie, istnieją państwa bogate i społeczeństwa szczęśliwe (choć w ułomnym ludzkim świecie społeczeństw naprawdę, w pełni szczęśliwych nie ma i nie będzie), ale natychmiast przywołujecie wpojone Wam przez dwa pokolenia argumenty, że to bogactwo i szczęście zbudowane jest na wyzysku, a w głębi duszy ścisła Wasze serca zwyczajna zazdrość, ta najbardziej niszczycielska cecha człowieka, którą nie wiedzieć dlaczego jej fabrykant, człowiek, zwierzęciu przypisał. Odzywa się w was głos psa ogrodnika, co sam nie doje i najchętniej by każdemu innemu dojeść nie pozwolił. Bądźmy ze sobą szczerzy, ani Wy, ani ja nie mamy powodu szachrować, to jest szczerą rozmowa, ludzka — więc co, wierzycie w ten wyzysk, czy po prostu wścieka Was, że nie macie tego, co posiada pan Schmidt, pan Dupont, a nawet signor Venturi?

Myśmy już dawno przestali wierzyć, że Pan Bóg wyznaczył nas do spełnienia ogólnoludzkiej misji, że jesteśmy „Chrystusem narodów” (choć zapewne udałoby się znaleźć wielu wierzących

w to Polaków, ale niby gdzież to nie ma szaleńców?). Ale nie przestaliśmy wierzyć w tę jakąś naszą rozchwierutaną, bałaganiarską, ale prawdziwą przedmurzowatość (czy przedmurzystość). I nawet nie dlatego, że „za Wolność naszą i waszą”, ale przede wszystkim naszą i tylko z tym gospodarskim wyrozumieniem, że jest ona niemożliwa w formie wyspy w morzu niewoli, a to w przekładzie na język schyłku XX wieku oznacza: w morzu sowietyzmu.

Nie, panowie Rosjanie, nie wierzcie ani przez chwilę, że Polacy są za „socjalizmem” (oczywiście w rozumieniu propagandowym, a więc — sowieckim). Być może zebrałoby się kilka milionów Polaków-socjalistów, ale w tym najbardziej wrażliwym, socjaldemokratycznym sensie tego słowa, zaś za wariantem marksistowsko-sowieckim pójdą tylko płatni nomenklaturowcy i agenci (co w sumie na jedno wychodzi). Przyszłość świata będzie się rozwijała w zupełnie odmiennym wymiarze, poza socjalizmem, bowiem już sam marksizm się od dawna jako koncepcja polityczna przeżył i odchodzi nieubłagane do lamusa historii. Myśmy to może wyczuli wcześniej niż inne narody, bowiem umiemy się łatwo uczyć i wbrew mesjanistycznym pozorom jesteśmy narodem pragmatyków. A nauczyliśmy się na własnym grzbiecie całego bezmiaru zakłamania, jaki się w marksizmie kryje. I niebezpieczeństwo dla nas na dziś i na jutro, to ani trwanie z własnej woli w sowieckości, ani mesjanistyczne (po waszemu: panslawistyczne) lub imperialne ciągoty. Za naszą i Waszą wolność, panowie Rosjanie, a to znaczy — za Wasz i nasz patriotyzm prawdziwy, niezakłamany, niezsowietyzowany. I tu dochodzimy do drugiej cechy, która nas upodabnia, tym razem w pozytywnym sensie: do patriotyzmu. Jakiegokolwiek są te nasze kraje — nizinne i błotne, wiatrami przewiane na wylot, pochmurne i surowe, ale są nasze. Ten nasz patriotyzm jest piękny, bowiem wielokrotnie doświadczany, wielokrotnie „ogniem próbowany”. W imię tego patriotyzmu wojowaliśmy i ginęli na polach chwały, a także gnili w niesławie więzień. Za te nasze kraje nostalgiczne dawaliśmy krew i jeszcze więcej niż krew: szczęście całego życia. I to jest piękne, i to nas ochrania od rozmaitych kompleksów.

Ale uwaga! Czy patriotyzm w każdej formie jest piękny? I czy jest naprawdę patriotyzmem to wszystko, co się zań podaje? I my, pomimo naszej słynnej tolerancji (a choć miała różne oblicza, w sumie jest znamieniem naszych dziejów niezaprzeczanym), też mamy rozmaite doświadczenia, często niepiękne, jak na przykład to, że tworząc wespół z Litwinami jedno państwo, zapomnieliśmy, że nie jest to Rzeczpospolita tylko dwóch, ale wielu narodów i odmówiliśmy miejsca pod rodzinnym dachem i przy rodzinnym stole Białorusinom i Ukraińcom, a co gorsze — okrad-

liśmy ich, jak też i Litwinów, z ich szlachty, a nawet jeszcze z części inteligencji. Na długie pokolenia obezwłasnowolniliśmy ogromne społeczności i między innymi dlatego państwo to upadło, że nie wypełniliśmy go dostatecznie patriotyczną treścią. Pyskując i pieniąc się po sejmikach o wolność, pamiętaliśmy zawsze tylko o własnej, indywidualnej, wywyższającej nas nad innych. Kara historii, która nas spotkała, powinna być dla Was przestrożą, panowie Rosjanie. Nie buduje się bowiem patriotyzmu prawdziwego na cudzej krzywdzie.

Więc jeśli dziś, w porównaniu z Wami — uczestnikami światowego imperium — jesteśmy biedniacy, jeśliśmy w porównaniu z Waszą potęgą cierpiętnicy, Chrystusiki, ale nie narodów, tylko frasobliwe, takie — po waszemu — „permskie Bogi”, to jest to spadek po tamtym naszym zdradzonym patriotyzmie. Natomiast to, że Wy, panowie Rosjanie, którzy z dumą spoglądacie na podległe Wam, poprzez Wasze jednak, rosyjskie, sowieckie państwo zniewolone narody, wiedźcie, że w nich gromadzi się cała trucizna Waszych przyszłych być może cierpień. Zadrżycie na myśl o tym, jak bardzo kalacie Waszą rosyjskość, utożsamiając ją, jeśli nie z dobrawoli, to w każdym razie przez Wasze milczenie i ponurę posłuszeństwo, z sowietyzmem. A teraz już gra idzie o wielką, o największą świeczkę: o konfrontację sowietyzmu z europejskością, o konfrontację tego, z czego ludzkość może być naprawdę dumna z tym, czego wstydzic musi się najstraszniej. I właśnie tu w grę wchodzi patriotyzm: zadajcie sobie, proszę Was, bo ja to nieustannie robię, krwawiąc — a jakże — okrutnie krwawiąc własne serce, pytanie: czy naprawdę, popierając sowietyzm, a przynajmniej nie przeciwstawiając się mu, jesteście rosyjskimi patriotami?

Ja za Was odpowiadać na to straszne pytanie nie zamierzam.

Zaraz jednak zaripostuje ktoś, wyedukowany na sowieckich sylogizmach: „Jakże to? Zdradzić kraj? Zdradzić własne państwo? Obrócić się przeciwko niemu w chwili, gdy się nań zaszadają, gdy się wokoło czają jawni i ukryci wrogowie, gdy reakcja podnosi głowę nie tylko w imperialistyczno-kapitalistycznych państwach Zachodu, ale nawet tu, na tej naszej świętej rosyjskiej ziemi?”

Po pierwsze: kto chciałby okupować olbrzymie i ubogie (choć tak przez naturę obdarzone) obszary państwa sowieckiego? Chyba jakiś wyjątkowy altruista, pragnący dopomóc nieszczęsnym ludziom sowieckim — „homososom”? Walka — to prawda — idzie o hegemonię nad światem, ale inną niż to, co w swym zaśnieżdżonym wyobrażeniu roją „kremłowscy dziadkowie”, przyzwyczajeni do systemu nahajkowego, do panowania poprzez poli-

cję i armię. Ta walka rozgrywa się bez armii, bez tiurm i ła-grów — państwa ludzkiego postępu zrozumiały już dawno, że potęgę dziś można budować tylko przez gospodarcze przodownictwo, przez rynki zbytu, przez rentowność inicjatyw. Więc nie jakieś wymaginowane armie wam zagrażają (chyba że chodzi o jeszcze głodniejszą — chińską), ale regresywne metody gospodar-cze, owo sowieckie zacofanie, które jedynie przemysł zbrojenio- wy największymi waszymi wysiłkami i wyrzeczeniami utrzymać może w tym światowym wyścigu. Tylko, że Wasi władcy prze- ciągnęli strunę: w swym ekspansjonizmie przefajnowali i wywo- łali tym reakcję krajów zachodnich, a zwłaszcza Stanów Zjedno- czonych.

Po drugie: sowiecka propaganda zawsze płacze umiejętnie pojęcia „naród”, „kraj”, „państwo”. I tu nasuwa się pytanie najbardziej dla ludzkości podstawowe: czy wolno i czy musi się popierać państwo, z nazwy „własne”, ale niechciane, narzucone, stanowiące zaprzeczenie ustroju sprawiedliwego? I co to znaczy „kraj”? Ziemia, struktury społeczne, władza, a może ludzie i tylko ludzie? Ponieważ zaś państwo sowieckie jest tworem zbrod- niczym, tworem uzurpacji i terroru, czy więc należy — w imię fałszywego patriotyzmu — dochowywać mu wierności za wszelką cenę? Ja, panowie Rosjanie, bardzo wyraźnie rozgraniczam po- jęcie Polski i Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Polska jest moją ojczyzną, to znaczy ziemia i zamieszkujący ją ludzie (a wcale nie oznacza to, że wyłącznie Polacy!). Za nią gotów jestem ponosić ofiary, nie wiem czy życia — tchórz jestem, przyznaję — ale ofiary gotów jestem ponosić najdalszych wyrzeczeń. Natomiast nie jest moją ojczyzną Polska Rzeczpospolita Ludowa, czyli ani ziemia, ani ludzie, ale klika sprawująca nad tą ziemią i zamieszku- jący ją ludźmi gubernatorsko-kolonialną władzę. Polska to może pojęcie nieco mgliste — jakaś wierzba płacząca, jakiś zakos drogi, niski horyzont i nad nim zwałnione chmury, ale jest to zarazem coś najkonkretniejszego w moim życiu. A PRL? Jest równie obcy jak WRL, CSRS, NRD, BRL, oczywiście „z ZSSR na czele”. I nie czuję wobec niego żadnych zobowiązań.

I teraz, panowie Rosjanie, odpowiedźcie mi: czy naprawdę utożsamiacie ten Wasz, bo jednak rosyjski, Związek sowiecki z Rosją, z ową „świętą Rosją” Tołstoja i tylu innych wielkich myślicieli Waszego narodu? Bo jeśli tak, to znaczy, że wybraliście sami, że uznaliście i że uznajecie za właściwy ustrój, który w nim panuje? I który panoszy się nad innymi narodami? Czy do- prawdy sadłem obrosły sekretarz partii, niemniej tłuszczem po- rosły komendant NKWD i milicjant-stupajka to Wasza ojczyzna, czy może nad zakolem leniwej drogi przechylona brzózka i snu- jący się tą drogą smętek pokornego, rosyjskiego „raba bożego”?

I tu odpowiedź należy do Was, wyłącznie do Was...

Sądzę, że wszystko co tu napisałem, napisali na różne sposoby i mądrzej ci spośród Was, którzy wybrali wolność (lub którym tę wolność, ale poza ojczyzną, wybrano siłą). Nazywacie ich dysydentami. To znaczy tymi, którzy odeszli, którzy wyłamali się, którzy przestali dochowywać wierności. Należałoby może zweryfikować to określenie, bowiem pośród tych banitów są z pewnością i tacy, którzy początkowo służyli ustrojowi wiernie, służyli partii i owej ideologii, która mianuje się jedyną prawdziwą i jedynie postępową. I którzy przejrżeli. Ale są także pośród nich i tacy, którzy nigdy ideologii tej nie wyznawali, a partii się nie wysługiwali tylko krajowi. Wolałbym, by o nich mówić — „banici”, to znaczy wypędzeni, wyszczeni, pozbawieni tego, co do tych, którzy ich wypędzali, nie należało — ojczyzny. Ale tylko fizycznie. Bo ojczyznę nosi się w sobie i można ją na antypodach kochać, żyć dla niej, umierać. Jeśli PRL (który nie jest w żadnym wypadku Polską) uchwali ustawę o takiej banicji, co zapowiedział ostatnio najniepopularniejszy człowiek w Polsce, niejaki Jerzy Urban, wówczas do Waszych, panowie Rosjanie, dołączą i nasi wygnańcy. I z pewnością będą wówczas mówić o „przyjaciołach Rosjanach” i „przyjaciołach Polakach”.

Kończąc tę część truistycznych rozważań: patriotyzm prawdziwy może funkcjonować tylko w ramach tego, co określiłem może nieprecyzyjnym terminem europeizmu, a który jest po prostu w moim przekonaniu najlepszą w skali światowej koncepcją łączącą ogólnoludzkie prawo, ogólnoludzką moralność chrześcijańską z głębokim poczuciem prawa ludzkiej jednostki. Patriotyzm tylko rosyjski czy tylko polski będzie zawsze patriotyzmem kalekim. A właściwie pojęty patriotyzm zobowiązuje nas do miłości kraju, ale do nienawidzenia tego, co mogło na nim wyrosnąć, jako strup zafałszowanej idei — złe państwo. Obawiam się, że to Wam, panowie Rosjanie, nie idzie w smak. Zbyt długo identyfikowaliście się z państwem, obojętne — czy carskim, czy sowieckim. Herzenów mieliście niezbyt licznych, choć przecież tyłu mieliście wspaniałych myślicieli, pisarzy i artystów. I pomyślcie tylko: ilu z tych wspaniałych ludzi zginęło śmiercią nienaturalną, zadaną przez państwo, czy jeszcze straszniejszą — zadaną samemu sobie w wyniku zaszczucia i spóźnionego opamiętania.

Obawiam się też, że do takiego właśnie — rosyjskiego (bo w tym względzie jesteśmy waszym skrajnym przeciwieństwem) utożsamiania z państwem zaprowadziła Was cerkiew prawosławna. Uważam się za katolika, może nie najlepszego ale i nie najgorszego. I właśnie dlatego, że przyznaję sobie tę jakąś nienajgorszość, nie mam żadnych pretensji i nie odczuwam wyższości

w stosunku do innych wyznań chrześcijańskich. Uważam, że rzymski katolicyzm sam sobie jest winien rozbitcia na „szizmy” i reformacje, więc dziś musi pić nawarzone niegdyś piwo. Niemniej uważam, że jeszcze z Bizancjum cerkiew wyniosła cesaropapizm, którego się kościół łaciński, na gruzach Zachodniego Cesarstwa, zdołał ustrzec. Powolność wobec władzy kosztowała cerkiew w Waszym kraju niemal zagładę. Ze tak się nie stało, to najlepsze świadectwo, że ponad hierarchiami ziemskimi istnieje hierarchia niebieska. I dlatego wierzę w Boga i chcę wierzyć, że i Wy, panowie Rosjanie, zrozumiecie kiedyś, czym jest wiara dla jednostki i dla zbiorowości.

Cały ten wywód o patriotyzmie miał mi posłużyć do przekonania Was, że Waszym to właśnie obowiązkiem jest udział w likwidacji sowieckości. Nie wskazuję, bo i świat współczesny uczynić tego nie może, żadnej innej określonej alternatywy. Takiej prawdopodobnie w ogóle nie ma, bowiem najlepszą alternatywą ludzkości jest wielość ideowa, dążenie do nieustannego weryfikowania przyjętych zasad i metod. A właśnie ze strony sowiezizmu wychodzi dążność do petryfikowania ideowego i do formowania polityki opartej o jakieś „niepodważalne zasady”. Taką ma być np. panujący w Europie podział, stworzony sztucznie i nad głowami zainteresowanych. „Porządek jałtański”, w obronie którego tak dramatycznie wrzeszczą wszyscy „socjalistyczni” propagandyści, przypomina w jakimś stopniu zawarte po zwycięstwie nad Napoleonem „Święte Przymierze”. I wówczas bowiem zakładano, że sztucznie, międzyimocarstwowo ustalony podział naszego kontynentu zagwarantuje panowanie nad nim na pokolenia absolutystycznym władcom. Ale „Święte Przymierze” funkcjonowało właściwie tylko do Wiosny Ludów, a później to już było tylko uparte cementowanie spróchniałych ustrojów. I od początku wiadomo było, że taki porządek musi się rozpaść, a jego przydługie trwanie sprawiło, że ów upadek był tym bardziej dramatyczny, przeobrażając się w pierwszą wojnę światową.

Myślicie, panowie Rosjanie, że ja uwielbiam „zachodnich imperialistów” i otrzymując od nich krocie „srebrników” opluwam Wasze wspaniałe państwo „robotników i chłopów”. Żeby udowodnić, że nie jestem ślepym propagandystą, przyznam się teraz, że wcale tych państw kapitalistycznych nie uwielbiam. Nie uwielbiam ani Stanów Zjednoczonych, ani tym bardziej Wielkiej Brytanii. W polityce międzynarodowej, nawet w wydaniu demokratycznych, parlamentarnych państw brudów jest i będzie jeszcze wiele. Ale jeden z najbrzydliwszych mamy już za sobą, tylko co z tego, skoro następstwa trwają po dziś dzień. Tą zbrodnią było właśnie, że zasiedli do wspólnego stołu ze Stalinem i dokonali pod jego dyktando podziału „stref wpływów”. Że nieco

zdziecinniały już, po amerykańsku naiwny Roosevelt dał się nabrać na jowialną dobroduszość ludobójcy, to można by jeszcze wytłumaczyć jego niesprawnością umysłową na dwa miesiące przed śmiercią, ale starego politycznego lisa Churchilla nic nie tłumaczy.

Laury, na które zapracowali tworząc antyhitlerowską koalicję i doprowadzając do likwidacji jednego totalitaryzmu, przekreślili nie tylko zgodą na istnienie drugiego, ale znacznym wzmożeniem jego potęgi. Teraz leżą w pozornej chwale, ale mieszkańcy Europy środkowej wiedzą doskonale, że pod wiekami swych trumien kryją brudne, więcej — pokrwawione ręce.

W konsekwencji i proces norymberski nie stał się, jak powinien był stać się, precedensem w upowszechnieniu prawa ponad narodami, bowiem gdy sądzono tam plenipotentów jednego ludobójcy, oskarżał ich plenipotent drugiego: prokurator Rudenko. A czy wiecie, panowie Rosjanie, że ten łajdak występował także w słynnym procesie moskiewskim „szesnastu”, na którym sądzono przedstawicieli polskiego podziemia, krajową reprezentację wolnych, demokratycznych partii, których KGB — depcząc prawo międzynarodowe i uciekając się do obrzydliwego podstępstwa — porwało z naszego, a nie sowieckiego kraju?

Na przekór wrzaskom propagandystów i kwaśnym pomrukowi Metternicha-Gromyki „porządek jałtański” ostać się w Europie nie może. Bowiem nie będzie bezpieczeństwa w Europie tak długo, jak długo będą w niej obok wolnych — zniewoleni. My i Wy.

Teraz chodzi już naprawdę o „wolność naszą i waszą”, bowiem sprawa pokoju w Europie, tej najszerzej, nadkontynentalnie pojętej, nie może być realna tak długo, jak długo mocarstwa rościć będą sobie prawa do nieustannego ingerowania w wewnętrzne sprawy innych państw i do ciemnienia narodów, które same ekspansjonistycznie wchłonęły. Temu bowiem służy zakłamaną doktryna „nieingerencji”, by móc samemu ją praktykować w sposób bezwzględny, ale... krótkowzroczny.

Jestem pierwszym, który chciałby dożyć swych dni w pokoju i nie roją mi się żadne luksusy. Za „imperialistyczne srebrniki” nie będzie mnie na nie stać. I tak jest dobrze — nie narzekam. Ale chciałbym, aby także i moje dzieci, a potem ich dzieci też przeżyły swe życia w pokoju. Nie chciałbym jednak by te ich młode życia miały się wydłużać w tę mroczną, duszną celę, jaką jest dla ludzi zamieszkujących „sowiecką strefę wpływów” właśnie sowiecyzm. Czy jest to *contradictio in adiecto*? Nie sądzę. Ale zależy to od nas samych. Nie, nie mam najmniejszych złudzeń co do polityków z państw zachodnich: dla nich nawet sowiecyzm jest pewnego rodzaju szansą, jest korzystnym podziałem

świata na część samowystarczalną i część niedorozwiniętą. Kraje rozwinięte z tych drugich mają korzyść niepomiarłą: znajdują u nich doskonałe rynki zbytu, a nawet jeśli się zdarzy tak, jak w PRL, że głupota kolejnych ekip sprawiła, iż wywikłać się nie możemy z zaciągniętych u kapitalistów długów, to i tak dziura z tego w kapitalizmie się nie robi: przypadek taki wliczony jest z góry w rachunek strat.

Nie pomoże nam nikt, nie istnieje bowiem jeszcze żadna prawdziwie międzynarodowa solidarność, a tylko układy przyzmiery i układy wspólnego interesu. Wprawdzie pewne znamiona budzenia się takiej solidarności można tu i ówdzie zaobserwować, ale jest to — jak dotąd — zjawisko bardziej społeczne niż polityczne. I dlatego rachuby na jakieś wsparcia, zwłaszcza militarne, są rachubami płonnymi. Mój kraj ma już w tej dziedzinie dwuchsetletnie doświadczenia negatywne. A jednak nie załamuje się, nie poddaje, nie wpada w rezygnację. Nie chce swego kraju i swego narodu chwalić przed Wami, panowie Rosjanie, byłoby to czymś megalomańskim i zarazem nietaktownym. Nie twierdzą, że jesteśmy od Was lepsi, ale śmiem twierdzić, że więcej doświadczeni.

Prześcieńcie też nastawiać ucha na rwetes „ruchu pokoju”, który sterowany jest przez władze sowieckie w sposób bardzo sprytny, wręcz mistrzowski. Tysiące, a nawet miliony ludzi dobrej woli dają się złapać na szczytne hasła. Należałoby ich odesłać do lektury pracy Władimira Bukowskiego, a także do cel, w których przebywają w NRD uwięzieni obrońcy pokoju, którzy zdobyli się na taką beczelność, by obok Pershingów postawić SS-20. Pokój jest najwspanialszym celem ludzkości, ale znowu: nie może on być budowany na zniewoleniu, na kolonializmie, na ludobójstwie. Jeżeli mamy naprawdę walczyć o pokój, to walczyć oń walcząc przeciwko sowiecyzmowi jako największemu zagrożeniu. A mówiąc „walczyć”, wcale nie mam na myśli chwytania za broń (niby jaką? uliczne kamienie? polscy robotnicy w walce z polskim sowiecyzmem przekonali się, jak bardzo jest to broń nieskuteczna przeciwko janczarom reżimu). Walczyć, to znaczy podejmować długotrwały, uparty bój własnego sumienia z tym, co jest nieprawością. Łączmy nasze sumienia, panowie Rosjanie, a nie nasze ramiona, bowiem te łatwo zmasakrować, rozbroić, uwięzić. Sumienie nawet w niewoli pozostaje sumieniem.

Nie ma i nie będzie nigdy pokoju w świecie zamieszkałym przez zniewolonych Czechów, Polaków czy Rumunów, w bezkresach zamieszkałych przez Bałtów, Ukraińców czy Uzbeków nie mniej, a może nawet bardziej jeszcze zniewolonych. I nie jest pociechą ani rozgrzeszeniem, że w archipelagach łągowych tego „kraju robotników i chłopów” Wy, panowie Rosjanie, cierpicie

pospołu z Ukraińcami, Żydami i rozmaitymi przedstawicielami narodów azjatyckich. Nie cierpienie usprawiedliwia bierność, ale sumienie, które bierność nie może znieść, bo jest jej przeciwieństwem.

W moim przekonaniu społeczne, zbiorowe, a to znaczy solidarne zwalczanie sowietyzmu jest podstawowym zadaniem nas — wszystkich Słowian Europy, bowiem wszyscy zostaliśmy poddani takiej samej niewoli (i Jugosławia nie stanowi tu wyjątku). Tylko proszę, panowie Rosjanie, niechże Was znów nie omami dźwięk tej naszej wspólnej nazwy, podchodźcie do niej jako do rzeczy normalnej, jak do każdego imienia: Iwana, Jana czy Johanna. Pansławizm należał do repertuaru, w którym narodowe mrzonki wzięły ślub z politycznym mechanizmem zniewalania. Koncepcja „trzeciego Rzymu” była czymś tak potwornie megalomańskim, że niech się przy tym schowa nasz mizerny mesjanizm, naiwny i świątobliwy jak panienka z zakonnej pensji. Nasz mesjanizm był zresztą dobroduszny, pochwalał cierpienie, modlił się i oczekiwał od Pana Boga tego, czego sam zrobić nie potrafił: wyzwolenia ojczyzny, którą sami zaprowadziliśmy nad przepaść. W porównaniu z tym naszym poczciwym choć głupiutkim mesjanizmem Wasz pansławizm był ostry jak nóż i zimny jak nóż. Nienawidził — właśnie Europy, tak — nie ma się co zapierać — Europy, której nie rozumiał i nie rozumiejąc bał się przeciętny Rosjanin i nieodparcie dążył do restytucji cezaryzmu w najszerzym, co najmniej słowiańskim wymiarze. Nienawiść i przemoc miała już w sobie zadatki sowietyzmu. To jest straszne stwierdzenie. Ale muszę je wypowiedzieć, bowiem bezwartościowa jest szczerść przeskakująca problemy drażliwe.

Nie zaprzeczam posłannictwu w ogóle. Każdy naród ma w jakichś określonych momentach dziejowych jakieś określone posłannictwa. I Wy też mieliście je, łamiąc tatarską przemoc, odrzucając spod Moskwy Napoleona a potem Hitlera. I niech się nikt z moich rodaków, wśród których istnieje wciąż żywy mit napoleoński, nie oburza na wymienienie tych dwóch przywódców jednym tchem. Ja doskonale wiem, jak różni byli, ale zarazem wiem, że ich „porządek europejski” musiał być złamany.

Nie ma jednak absolutnie żadnych posłannictw permanentnych, a już szczególnie takich, które zakładają dominację jednych narodów nad drugimi. Bądźmy szczerzy, panowie Rosjanie, doskonale wiem, że Wasze życie dawniej i dziś dalekie było od tej szczęśliwości, która jest udziałem narodów zachodniej części kontynentu, a nawet naszą chwilami bywała; że zawsze cierpieliście ucisk i terror: cara czy sekretarzy, Ochrony czy NKWD. Ale nie można w stosunkach między narodami stosować zasady, że skoro ja dostałem po dupie, to się za to na słabszym odegram,

że jeśli mnie po pysku sprali mocniejsi, no to ja już innym, mniejszym od siebie dołożę. Jest to infantylnizm aberracyjny i uważajcie, by tego w rosyjskość nie zamienić w opinii całego świata.

Słowianie być może mają też dziś jakieś posłannictwo do spełnienia. Ta nasza rodzina — skłócona i na pozór okropna — za maską wredności kryje jednak pewne wartości ważne dla przyszłości ludzkiej. Mówił o tym kilkakrotnie jako o dniu jutrzejszym Słowian i słowiańskiego chrześcijaństwa nasz polski papież, ten biały człowiek, który sen tak spędza z oczu sowieckich polityków, że w ruch puścili najbrzydliwsze narzędzia propagandy, że wynajęli przeciwko niemu płatnego mordercę. Tylko, że mówiąc o tym słowiańskim jutrze Jan Paweł II z pewnością nie myśli o hegemonii „rodzinnej” Polaków, a tym bardziej Was, panowie Rosjanie. I zastanówcie się: ten Kościół łaciński, który jeszcze w minionym stuleciu pozbawiony został swego politycznego znaczenia, który w świecie polityki ostał się tylko jako pewna moc duchowa, czy stracił przez to cokolwiek? Sądzę, że stało się wręcz przeciwnie: pozbawiony sekularnych obciążeń mógł się bardziej rozwinąć wszczepić i wzwyż, choć ani dywizji żadnych nie posiada, ani zdalnie kierowanych rakiet, poza Słowem, dobrym Słowem, które dosięga celu w każdym wyznaczonym punkcie naszego globu.

A więc czego nam jeszcze potrzeba, panowie Rosjanie? Waszego wyrzeczenia się imperialnych zakusów i Waszej woli przeciwstawiania się złu wcielaniem przez sowietyzm. Oddzielcie sowietyzm od rosyjskości, ocalajcie ją w imię najpiękniejszych Waszych tradycji.

Nasze polskie doświadczenie Sierpnia i Solidarności jest doświadczeniem bezcennym. Sądzę, że w jakimś sensie odegraliśmy raz jeszcze rolę Przedmurza, chociaż bardzo szczególnego, bo po raz pierwszy pozbawionego kierunku geograficznego, natomiast zbudowanego na kierunku moralnym — odradzania człowieczeństwa w człowieku. Pokazaliśmy między innymi światu, jak po stuleciu bełkotu o klasach i budzeniu nienawiści klasowej mógł się cały naród zjednoczyć w jeden wielki bezklasowy ruch ludzi pracy.

To prawda, że później przyszła klęska i to spektakularna, a co straszniejsze gorzka, poniesiona bowiem z rąk własnych sowietystów. Po raz pierwszy w historii to oni, mieniący się Polakami, wyręczyli Was, panowie Rosjanie, w pełnym zakresie zniewolenia. Ale była to jednak klęska w jednej tylko, choć ogromnej bitwie. W kampanii całej nie można bowiem zwyciężyć, tak jak nie można zwyciężyć w Wietnamie czy Afganistanie, chyba że się chce cały naród *ausrotten*. Nie wykluczam, że marzą

o tym sowieccy kacykowie, ale to jest jednak niewykonalne. I dlatego to my — ludzie pracy, nie fikcyjni „robotnicy i chłopi”, ale wszyscy, którzy trudzą się dla siebie i własnego kraju — właśnie my zwyciężymy w końcu.

Nie chcę Was, panowie Rosjanie, namawiać, abyście kopowali model polskiej Solidarności, być może w rosyjskich warunkach musi się zrodzić Solidarność rosyjska jako program i metody, a na pewno rosyjska — jako przejaw woli jednego narodu. Brońmy się przeciw wojnie nuklearnej, przeciwko ślepej potędze ludzkiej wynalazczości technicznej. Ale brońmy się równocześnie przeciwko antyludzkiej ideologii, sowiectwomw terroru i ubóstwa. Brońmy się bronią ludzką — sumienia i woli.

To właściwie już wszystko. Ale jeszcze o jednym problemie szczególnie chciałbym powiedzieć słów kilka. Wiem, jak Was, panowie Rosjanie, boli dość powszechna niechęć do Was, płynąca nie tylko przecież ze strony mych rodaków, ale zdecydowanej większości narodów świata, które miały okazję bezpośredniego zakosztowania sowieckiej „braterskiej pomocy”. Rozumiem Was, bowiem i mój naród ma w sobie tę jakąś dziewczęcą wprost nadpobudliwość, że gdy ktoś go skrytykuje, to wnet łzami by się rżęsił. Z tego jakiegoś wyczulenia na obce opinie tyle w Was, panowie Rosjanie, fobii, urazów, a w sumie i skłonności do mrocznej, upartej nienawiści. „Ot, uważają mnie za drania, gady, nuż ja im teraz pokażę, jaki ja drań!”

Więc dumając nad przyszłością świata, może — to już Wy sami musicie rozstrzygnąć, czy mój domysł jest słuszny — myślicie: „Jeśli dobrowolnie zrezygnujemy z władzy nad otaczającymi nas narodami, jeśli odrzucimy podle zakłamaną doktrynę leninowskiego 'samostanowienia', to wówczas otoczy nas morze wyzwolonej nienawiści, znajdziemy się słabi i w osamotnieniu. Więc może lepiej tej władzy z rąk nie wypuszczać, niech sowiectw służy rosyjskości w dominowaniu nad tymi psubratami, co nas nienawidzą?”

Otóż tak wcale nie jest. Oczywiście — już dziś, pomimo sowieckiej supremacji, otacza Was, panowie Rosjanie, bezmiar nienawiści. Za to właśnie, że utożsamieni jesteście z sowiectwem. Wiem o tym najlepiej, ponieważ należę do narodu, który szczególnie w tym uczuciu przoduje. Bo na żaden inny naród na świecie nie mamy tylu wyzwisk co na wasz. Gotowiliśmy też wszystko, nawet deszcz we żniwa, zwałć na karb Waszej przemocy. A jednak z naszej strony nie tylko, że nie zagraża Wam żadna agresja, ale nawet owa dzisiejsza nienawiść ma słomiany charakter, jak wiele innych cech moich szanownych rodaków. W tym względzie dobra ta słomianość, zabójcza pod wieloma innymi. I pamiętajcie, proszę, że polscy biskupi pierwsi zwrócili się do

Niemców ze słynnym: „wybaczymy i prosimy o wybaczenie”. Pamiętam, jaki hałas, jaki sowiecko-peerelowski wrzask wtedy powstał, a i nacjonaści polscy okropnie mieli za złe. I co? I sprawdziła się ta chrześcijańskość wybaczenia i proszenia o wybaczenie. Ukazała mądrość ludzką i szeroko pojęty europeizm.

Jeśli się raz wreszcie zdecydujecie, czy do Europy należycie, czy do kontynentu sowiectw, jeśli wybieriecie szczerze europeizm, to — jestem święcie przekonany o tym — i my, i inne narody dotychczas uciemnione wyciągną do was przyjazne dłonie. I powiedzą do Was, bracia Rosjanie; wybaczymy i prosimy o wybaczenie. Tylko, na miłość Boską, niechże znajdą się ci, do których można skierować takie wezwanie. Bracia, dajcie nam szansę!

Józef SZRETT

**Ukazał się
SPECJALNY ZESZYT „KULTURY”
w języku niemieckim
(jesień 1984)**

który zawiera następujące opracowania: Konstanty A. JELEŃSKI — „Kultura” — polskie pismo na wygnaniu; Józef SZRETT — *Dolina pomiędzy górami*; Adam MICHNIK — *Między Rosją a Niemcami*; Jan SZUŁDRZYŃSKI — *Dlaczego Polacy i Niemcy nie mogli dojść do porozumienia?*; Kazimierz GARNYSZ — *Z innej beczki do Niemców*; Zdzisław NAJDER — *Polska a Niemcy*; Jan Józef LIPSKI — *List otwarty do wszystkich Niemców, którzy chcą pracować dla niemiecko-polskiego pojednania*; Jerzy STEMPOWSKI — *Esej dla Kasandry*; Czesław MIŁOSZ — *Brognart. Moja opowieść przy szklance wina*; Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI — *Praga Kafki*; „*Polenlieder*” niemieckich poetów romantycznych opracowała Nina KOZŁOWSKA; Witold PRONOBIS — *Józef Piłsudski wobec hitlerowskiego przewrotu w Niemczech*; Stanisław SWIANIEWICZ — *Wspomnienia o Władysławie Studnickim*.

Str. 164.

Cena DM 12,80.

Przedstawiciel na Niemcy, Austrię i Szwajcarię:

**BURG-VERLAG,
Untere Au 41, 7123 SACHSENHEIM 3, RFN.
Tel.: (49) 07147/6091.**

Cisza po burzy

Cztery lata po Sierpniu 1980 koło polskiej historii wydaje się toczyć coraz wolniej, coraz mniej rąk przykłada się do jego popychania, coraz rzadziej i coraz słabsze okrzyki zagrzewają tych, którzy nie odstąpili jeszcze od wysiłku. Obręcz ta grzęźnie w piachu zniechęcenia, bo zasysa je błotna maź rutyny, a drogi do przebycia jakby przybywało. Ci, którzy ongiś zachęcali „pchaczy”, aby przyspieszali kroku dziś — jak kiedyś, dawno temu — marnoczą kolejkowe przekleństwa i pilnie edukują się lekturą popularnych gazet a bohaterowie... Bohaterowie są zmęczeni i, jak się wydaje, wyczerpani z pomysłów, toteż coraz wyraźniejszy jest taki stan, że sytuacja tworzy się sama raczej niż w wyniku świadomej i długofalowo zakrojonej koncepcji. Ani TKK, ani Wałęsa, ani żadna z nielegalnych grup politycznych nie upublicznili świeżego pomysłu na życie — pewnie go nie mają. Władza także wyprztykała się szamocząc się między — naturalną dla niej — chęcią wzięcia wszystkiego za mordę a poządlivością na kredyty, na „zielone”, na licencje. Dwa lata temu Urban czy Rakowski mogli wściekać, pobudzać najmniej chrześcijańskie uczucia — dziś nudzą każąc w kółko oglądać się w tym samym spektaklu. Generałowie rozplenieni po najróżniejszych i najdziwniejszych urzędach są wprawdzie wciąż bardzo buńczuczni, ale to czym dowodzą, to beznadziejna koszarowa musztra, nawet nie manewry ze ślepą amunicją: wciągnąć brzuch! równać front! wskaźniki wyżej!

Czyżby normalizacja *alla polacca*? Czyżby stabilizacja?

Wydaje się, że można przyjąć taką interpretację. Bo oto władza wyhamowała bezwzględny regres gospodarczy (choć porównawczo, z innymi krajami — a przynajmniej z ich większością

— wciąż jeszcze cofamy się); spacyfikowała nastroje społeczne a w każdym bądź razie umiejętną polityką wielkiego kija i przywiedłej marchewki zredukowała do strawnego dla niej minimum publiczne objawy niezadowolenia; wielki ruch masowy sprowadziła na tory politycznej opozycji, która cieszy się raczej sympatią niż aktywnym poparciem ogółu. ZOMO i wyspecjalizowane w terroryzowaniu bezbronných cywili grupy antyterrorystyczne mogą spokojnie drzemać, teraz jest czas podchodów i ciosów zza węgła, w których mistrzem stał się minister spraw wewnętrznych nazywany tu „czekiszczakiem”. Przywiedły pióra szybko osiwiwały w bojach rycerzy internacjonalizmu proletariackiego spod znaku Zjednoczenia Patriotycznego Grunwald, a rozmach rewolucyjnych Nieprzejednanych ugrzązł w papiórkach, okólnikach i nieczytanych rezolucjach, zamienił się w mozolne urzędowanie w komitetach i egzekutywach. Znow Hupka i Czaja rozpanoszyli się na pierwszych stronach gazet, co jest nie tylko świadectwem szlachetnej rywalizacji żurnalistów *Trybuny Ludu* z konfratrami z *Prawdy* i *Rudeho Prava* — oczywiście w ramach „wspólnej” i oczywiście „pokój miłującej” polityki — ale także typowym wyciąganiem z kosza dobrze już obłuczonych chłopców do bicia. Rysuje się więc raczej perspektywa marazmu niż stabilizacji, gdyż dla tej ostatniej brak widoczniejszych sukcesów w sferze gospodarczej. Zabagniona sytuacja ekonomiczna na świecie nie wróży — nawet po całkowitym zniesieniu sankcji i przyjęciu Polski do Międzynarodowego Banku — szybszego uzdrowienia sytuacji. Węgierski „cud gospodarczy”, którego powtórzenie marzy się dyktatorom polskiej ekonomiki był możliwy w erze światowego *boom*’u a także dzięki konsekwentnym działaniom menadżerskim, czego warszawskim władzom nie mogą zarzucić nawet najbardziej ortodoksyjni zwolennicy centralnego planowania.

Nadwiślański ludek żwawo krząta się koło swoich mizernych, doczesnych dóbr (na ogół nietrwałego użytku) a w to lato, w którym fetowano 40-lecie PRL największe chyba kolejki okupowały gmachy... konsulatów. Po prawdzie powiedzieć trzeba, że nie wszystkie one stały za chlebem pod biurami, w których wydaje się wizy do kraju wspomnianych już (anty-)ziomków, bo i ducha jednak spragnieni rodacy tłoczyli się po stempel uprawniający do wizyty na placu przed Bazyliką watykańską, ale kto wie ilu z nich zakończy podróż w Wiedniu? Gdyby nie kartki i generałowie można by sądzić, że znaleźliśmy się w czasach panowania późnego Eda. A może tak rzeczywiście jest? Bo czy któryś z istotnie ważkich problemów został rozwiązany? Czy widać jakieś nowe „tryndy”, jak mawiał niezapomniany Szydłak? W gospodarce na pewno nie. Sznurka do snopowiązałek nie ma, za to jest brak równowagi rynkowej. Festiwale odbywają się, zupełnie

jakbyśmy jednak wrócili do czasów „sprzed sierpnia”. Rocznicze te same się rocznicują. I tak samo, no bo przecież nasz superpatriotyczny Generał nie poszedł 1 sierpnia złożyć kwiatów na grobach żołnierzy „Parasola”, ale zawiązał na przyczółek magnuszewski. Tyle, że Kozakiewicz nie miał okazji pokazać zgiętej w łokciu ręki... Słowem władza krzepko trzyma się w siodle. Ino ta kobyła coś dychawiczna. I w ogóle, wbrew tonowi tego felietonu, nie jest wesoło.

Zaczęliśmy chyba na serio nasz Długi Marsz a w takim ordynku trudno o dziarskie piosenki. Tu jednak, w tym Długim Marszu, jest pewna — i to zasadnicza — innowacja, która wyprowadza ze złudzeń naskórkowego oglądu codziennej rzeczywistości. Mimo więzień i bicia, relegacji i emigracji, prawdziwego zmilitaryzowania przepisów prawnych i zwielokrotnienia dyspozytywów policji, widnych i tajnych, mimo przelanej krwi i wrzaskliwej propagandy, w marszu tym, w sposób świadomy i z wolnego wyboru, uczestniczą dziesiątki tysięcy ochotników a warto przecież pamiętać, że jeszcze pięć lat temu takich, którzy brali na siebie ryzyko działania, była garść nie przenosząca paru setek. Jest to siła znacząca, choć wiadomo nie od dziś, że nie zawsze decyduje ilość, że czapkami bagnetów zarzucić się nie da. Cel tego marszu jest jasny, przeraźliwie jasne jest jednak również, że jest on niesłychanie odległy, że pewnie nie da się w nim poruszać swobodnym truchtem, ale trzeba będzie mozolnie pełzać — nieraz i do tyłu — skręcać na boki, omijać przeszkody. Ze trzeba będzie wielkiej imaginacji politycznej, czujnych mierników społecznych, aby nie był on dreptaniem w miejscu. Ze trzeba będzie wielu wyrzeżeń, że trzeba być przygotowanym na to, iż nie jeden raz uczestnicy marszu będą sobie wzajemnie podbijali oczy. Czy jesteśmy na to wszystko przygotowani? Czy starczy wytrwałości? Czy starczy odwagi mówienia sobie prawdy? Czy nie pójdziemy w rozsypkę?

Cztery lata minęły jak knutem smagnął. Przetoczyła się przez nas wszystkich — niezależnie od miejsca, jakie zajmujemy w trwających zapasach — wielka burza. Jej grzmoty jeszcze hurkoczą z jasnego sierpniowego nieba a po to żeby zobaczyć błyski nadziei wcale nie trzeba zaciskać powiek. Cios tego knuta był bolesny i niepokojąca jest świadomość, że nahań nie został złamany. Jesteśmy bogatsi o cztery lata — o euforie i tragedie, które im towarzyszyły. Czy z próby tej wyszliśmy bardziej doświadczeni, czy nauczyła ona nas czegoś?

Jeżeli uważasz, że nie stać Cię na nic innego, poświęć choć chwilę refleksji, namysłu nad tym, czym były dla Ciebie te cztery lata, które minęły od chwili, gdy entuzjastycznie klaskałeś w ręce

ogładając w telewizorze jak pewien wąsaty robotnik wielgachnym długopisem kładł swój autograf pod dokumentem, który na Twoich oczach później sponiewierano. I pomyśl jaki to jednak kawał drogi uszliśmy...

Stanisław DEMBSKI

**POLSKA KSIĘGARNIA NA MANHATTANIE
POLISH BOOKS & ARTS, INC.**

97 EAST 7th STREET, NEW YORK, NY 10009

Tel.: (212) 254-8457

Książki polskie. — Książki w języku angielskim dotyczące spraw polskich. — Słowniki. — Podręczniki. — Płyty i kasety. — Bogaty wybór polskich plakatów.

Przyjmujemy książki w komis.
Realizujemy zamówienia pocztowe.

**POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA**

1070 Wien, Burggasse 22

Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Wieczór jak rzeka

Adamowi K.

Dwa dzwonki i w drzwi tratata. Otwiera Pani. Nieuczesa, siwe włosy opadające na szlafrok, oczy podkrążone, gest zapraszający do środka.

Prowadzi Pe mrocznym korytarzem do pokoiku przy łazience. Zagłębia się w fotelu, kurczowo przytrzymuje rozchylające się poły szlafroka, milczy. Pe współmilczy z głęboką empatią. Rudy kot spaceruje po szafie i piszczy dziko, czarna kotka zaciekle drapie pazurami mahoniową szafkę na wysoki połysk. Między tapczanem a szafą leżą ryzy; jawnie, demonstracyjnie. Zaciągnięte zasłony nie wpuszczają światła. Pe czuje się tutaj jak we wnętrzu sarkofagu. Ktoś musi przerwać to milczenie, więc Pe pyta:

— Był Zet?

— Nie było smarkacza — mówi Pani. — Napije się Pan herbaty?

Pani wstaje, w drzwiach usprawiedliwiająca się, z wyrzutem w podtekście, mówi:

— Nie mam kawy.

— Nikt nie ma — mówi Pe.

Zet, który przez przyszłą teściową ma dojście do darów, przyniósł raz puszkę kawy. Rozdzielili między panie na skrzynkach i maszynistki, każdej po słoiczku, no i Pe mógł się wreszcie napić. Zaparzył w miedzianym kociołku, z cukrem i odrobiną soli, pił drobnymi łykami, najdrobniejszymi łyżkami, jakimi się dało. Na mieście można zajrzeć do dwóch, trzech, pięciu kawiarni i wszędzie znaleźć pustkę, która znaczy, że kawy brak,

a jeśli gdzieś trafi się kawa, to lura, po której dusza trzęsie się jeszcze bardziej. Pe wie, co to jest głód kawy. Gdyby Pani miała dziś jedną, dwie łyżeczki, byłaby kwitnąca: w brązowej sukni z dzianiny po kostki, z włosami splecionymi w rudy kok, pałac papierosa w długiej fifce, pogodnie zlorzczyłaby komunistom.

Pe sięga po gazety leżące na szafce: *Królową Apostołów*, *Tygodnik Powszechny*, *Mównicę Proletariatu*. Zaczyna od *Mównicy*, od rubryki z wyrokami: trzy lata dostał facet, który handlował rajstopami i proszkami do prania, w R. zlikwidowano drukarnię nielegalnych wydawnictw. Przegląda komentarz „Demokracja polega na dyscyplinie, anarchia nie przejdzie”. Masochistyczna przyjemność, z jaką wczytuje się w łamańce stylistyczne, w mozaikę niedorzeczności, ta masochistyczna przyjemność nagle przemienia się we wstręt. Pe czuje, fizycznie czuje, jak robactwo obłazi go, wyłaniając się spomiędzy czarnych liter. Odkłada gazetę na tapczan, poza zasięg ręki. Robactwo spleza z niego, kryje się między czarne litery.

Wraca Pani z herbatą na srebrnej tacy opatrzonej monogramem.

— Nie mam cukru, będzie pan musiał wypić gorzką.

O'key, myśli Pe, niech będzie gorzka. Przyłapuje wzrok Pani skierowany w stronę tapczanu, tam gdzie leży centralny organ partii.

— Czytam tę szmatę, żeby wiedzieć, co też oni nam jeszcze szykują.

— Rozumiem — mówi Pe.

— Czytał pan, ile przeciętna rodzina ma na utrzymanie? O tu, niech pan patrzy.

Pe bierze do ręki *Mównicę*, żeby nie robić Pani przykrości. Czyta podsunięty artykuł „Gospodarka odbija się od dna”. Wydajność wzrasta, produkcja rośnie, liczby wskazują. Dociera do zdania: „Mimo wysiłków partii i rządu ciągle jeszcze niektóre rodziny żyją w niedostatku”. Teraz następują wyniki badań budżetów rodzinnych. Na przebadanych dziesięć tysięcy robotniczych rodzin ileś ma pięćdziesiąt złotych dziennie na osobę, a osiemdziesiąt procent trochę więcej: od siedemdziesięciu do osiemdziesięciu złotych. Stoi jak byk w partyjnej gazecie, to czego by żaden dywersant ideologiczny nie wymyślił. Przecież osiemdziesiąt złotych kosztuje w kawiarni mała kawa, osiemdziesiąt złotych kosztują dwie paczki lichych papierosów. I te osiemdziesiąt złotych ma wystarczyć na chleb ze smalcem, zupę na kościach, kawałek mięsa od święta. Pe liczy: bochenek chleba kosztuje szesnaście złotych, kostka margaryny dwadzieścia siedem, kilo mięsa od trzystu do czterystu.

Pe rozumie teraz, co to znaczy, że jedna trzecia kartek mięs-

nych nie jest wykupywana. O kurwa, myśli Pe, a mnie brakuje kawy. Artykuł o gospodarce, która odbija się od dna, wydiera z gazety. Podkreśla te dwa zdania. Będą do rubryki „Łuskanie prawdy”.

— Przyda się? — pyta Pani.

— Przyda się, na pewno się przyda.

Pe pije herbatę, jeszcze ciepłą, mocną, też chyba ze zrzutów. Pije herbatę i w myślach dzieli ryzy leżące między regałem a tapczanem. Rozwiózł już wszystko, została tylko część, po którą miał zgłosić się Zet i dać studentom, i rzucić na Olsztyn.

Zet pytał zawsze:

— Musisz sam wozić?

Pe odpowiadał:

— Masz, wież.

Zet brał część i wrzucał na jakiś punkt. Tym razem nawalił, towar leżał u Pani już piąty dzień. A Pe, cokolwiek by o nim powiedzieć, nie lubi brać się do składania następnego numeru, zanim nie zostanie rozwieszony poprzedni.

Pe nie ma kontaktu na Olsztyn, więc Olsztyn odpada. Zostają studenci i Ef albo jakaś sieć. Studenci wezmą i dwa, i trzy tysiące, pisemko pójdzie na wszystkie uczelnie, ale z ich kolportażu nie wraca nic: ani papier, ani składki, ani informacje. Nie można im dać adresu skrzynki, bo zgubią, albo któryś z nich wejdzie w kocioł z adresem w kieszeni, albo pomyła hasło, albo przyjdzie jeden, zabierze towar, a po pół godzinie zjawi się drugi, po godzinie trzeci i nie odejdą z niczym, stojąc w drzwiach będą się awanturować, że tu jest dla nich bibuła, na którą ludzie czekają, sąsiedzi przez ciekawość wyjdą na klatkę i Pani o mało co nie dostanie zawału serca.

Z sieciami też ma złe doświadczenia. Co da trochę bezpłatnej bibuły w kolportaż międzyzakładowy, zaraz się zgłasza jakiś wódz na szefa, a po mieście idzie szeptanka, że to wódz redaguje, finansuje, wydaje.

Umówił się raz z Pe przez pośredników wódz, który pyta, czy dadzą papier, matryce, składki, zbył:

— To są sprawy mało istotne.

Po czym wyłożył sprawę, z którą przyszedł:

— Każdy polityk musi mieć swój organ, ja wybrałem was.

Najlepiej całość wrzucić Ef; rozprowadzi każdą ilość. Kiedy Pe startował ze swoją gazetką, Ef miał kolportaż na sześć tysięcy, a kiedy Pe rozwinął kolportaż do pięciu tysięcy, Ef miał już na dwanaście. Ef drukuje regularnie cały nakład jednej edycji tygodnika, przy okazji jeszcze ze dwie, trzy gazetki. Ef wydru-

kował pierwszą w stanie wojennym książkę, zbiór relacji z tytułem ociekającym krwią na okładce. Ef drukuje, wozi, rozprowadza i jeszcze mu mało, bierze w kolportaż wszystko, co się da. I na Ef może Pe zawsze liczyć: da matryce, pożyczycy papier. Wystarczy zawieźć towar do Ef i po kłopotcie. Ef ucieszy się, ale i zapyta z troską:

— Kolportaż ci nawala?

Pe postanawia: połowę da Ef, połowę studentom. Otwiera torbę i pakuje ryzy. Dwie ryzy pierwszej kartki i dwie drugiej, to będzie tysiąc.

— Niech Pan dzisiaj nie bierze — mówi Pani i ciągnie Pe do okna.

Zza uchylonej firanki widać kolumnę zomo, taką klasyczną: sześć bud, cztery radiowozy i działko wodne. Na stopniu szoferki pierwszej budy siedzi zomowiec z podwiniętymi rękawami mundurowej bluzy, z kałasznikowem opartym niedbale o udo, wystawia twarz na działanie ostatnich promieni słońca i liże loda. Pe wydaje się przez moment, że ich spojrzenia spotkały się. Ale to niemożliwe: patrzy przecież z ciemnego pokoju, a tamten ma słońce prosto w twarz i mruży oczy. Pe cofa się.

— Może jeszcze herbaty? — pyta Pani.

Pe zostaje sam z kotami. Wie, że już dawno powinien zmienić tę skrzynkę: zbyt blisko tu do komendy. Skrzynka u dziadka z AK jednak odpada, dziadek nie zawsze słyszy dzwonek u drzwi. Skrzynka pod bimbkiem też nie wchodzi w grę, odkąd na bimberek zaczął zaglądać dzielnicowy. Pe nie ma już siły jeździć po znajomych i wysłuchiwać: no wiesz, gdyby chodziło o coś poważniejszego, o jakiś zamach.

Czasem Zet mówi:

— Wiesz Pe, powinniśmy mieć jakiś samochód.

Zet ma rację: samochodem można w jeden dzień rozwieźć cały nakład. Na Żoliborz, na Wolę, na Ursynów. W samochodzie można zostawić towar, wejść na górę, zobaczyć, czy ktoś jest, zapytać, czy wezmą. Pe woził z Ha, zanim Ha urodziła się córeczka. Wydzwania teraz do znajomych: przewieziesz mi telewizor? — i słyszy, że temu skończyła się benzyna, tamtemu wysiadł akumulator, a ten, który chętnie by przewiózł, nie może, bo żona zabrała na tydzień samochód do Łodzi. Najprościej wziąć torbę w rękę i pojechać autobusem. Więc kiedy Zet mówi, że powinni mieć samochód, Pe odpowiada:

— To daj. A co powinniśmy, to ja wiem. Powinniśmy mieć wolną Polskę, w której ukazywałyby się setki gazet, a w każdej z nich czego dusza zapagnie. Chcesz kolorową dupęnkę pod palmą na Tahiti, to masz dupęnkę, a chcesz poczytać o KGB,

to masz KGB. Załatw tylko tę jedną rzecz, wolną Polskę, proszę cię, Zet, a nie będziemy musieli się martwić ani o skrzynki, ani o samochody.

Pe czeka na Panią, która coś długo nie wraca z kuchni. Patrzy na rudego kocura, który przechadza się na sztywnych łapach z nastroszoną sierścią, cały naelektryzowany. Dla odmiany piszczy teraz czarna kotka. Pani nastrój udzielił się kotom, myśli Pe. Albo nie dostały dziś swojej porcji ryby.

Znajomy Pe, pisarz, który niedawno wyszedł z obozu, kocha koty. Zawsze trzyma jakiegoś przybłądę. Karmi go surową rybą. Rozrywa rybę na pół, rybie wnętrzności spadają na dywan, pisarz wpatruje się w kocie oczy twardo, rękę z rybą wolno, wolniutko przybliża do rozwartej mordy. Kot warczy, czai się do skoku, próbuje to zębami, to łapą zgarnąć rybę, ale kiedy posuwa się za daleko, otrzymuje potężny cios ścierką, którą pisarz trzyma w drugiej ręce. Wycofuje się, udaje przez chwilę obojętność, wraca i znów gotuje się do skoku, rozpoczyna walkę. Pisarz rzuca wreszcie rybę, kot ciągnie zdobycz w kąt, pożera natychmiast, układa się wygodnie i warczy na pisarza; nakarmiony zupełnie nie czuje wdzięczności. Każdy kot znika gdzieś zrazu na krótko, potem na dłużej, w końcu na zawsze. Pisarz jest szczęśliwy: kot wybrał wolność. Pe wie, że wolność kota to wolność piwnic, śmietników i śmierć pod kołami samochodu. Zgoda, mówi pisarz, ale to jest wolność.

Pe przygląda się kotom miotającym się po pokoju. Ten rudy śmierzdi, Pani nie miała serca zanieść go do kastracji. I dywan, i meble przechowują zapach, który chwilami wywraca żołądek.

Idzie Pe do kuchni, zagląda przez uchylone drzwi, puka. Pani przy stole zatopiona w sobie, stawia pasjansa.

— Miałam zrobić herbatę, ale właśnie mi się skończyła.

— Nie szkodzi — mówi Pe. — Muszę już uciekać.

— Niech pan siądzie, niech pan posłucha — mówi Pani i sadza Pe na krześle. — Mnie się wydaje, że wszystko żeśmy przegrali. Oni połkną cały świat, pan nie zna komunistów. Ja stara, co mi z życia pozostało, ale wy młodzi, was szkoda, gazetkami z nimi wojny nie wygracie. To jest zaraza, Truman jeszcze mógł ją wypalić, Reagan nie da rady.

Pe powinien wstać, bo czuje, jak z każdą sekundą Pani monolog staje się coraz cięższy i leniwy. Wstaje, podchodzi do okna. Nie ma już kolumny zomo, gęstniejący zmrok usypia ulice. Pe powinien w tej chwili wyjść, wie, że od niedawna zmrok wyzwała w nim zmęczenie, które robi furtkę dla strachu. Powinien wyjść, bo czuje, jak Pani strach pełźnie, szuka ścieżki do niego. Rozgląda się za torbą, idzie po nią do pokoju.

— Niech pan dzisiaj nie bierze, dzisiaj jest trzynasty.

Trzynastego mogą gościej obstarwić miasto, to fakt. Ale umówił się już telefonicznie z Ef. Mógłby co prawda zatelefonować, że będzie jutro. Tylko że na jutro ma nagrany samochód na przewiezienie papieru do drukarni, jutro musi złapać kontakt z którymś z tej studenckiej grupy i wrzucić im ten tysiąc, co został, jutro jest umówiony z Te w sprawie kanału na Zachód.

Dwa dzwonki, to może być Zet.

Nie jest to Zet, tylko sąsiadka. Pani zaprasza ją do kuchni, zamyka za nią drzwi. Pe przemyka się chyłkiem na korytarz. Pani klepie go jeszcze po ramieniu, na szczęście.

Do przystanku Pe ma niedaleko: dwieście metrów. Cztery ryzy ważą kilka kilogramów, prawie nic, ale Pe czuje ich ciężar podwójnie. Autobus podejżdza, są wolne miejsca. Pe siada z tyłu, koło kasownika, cały autobus ma przed sobą. Przed nim stoi dziewczyna w kurtce i obcisłych dżinsach. Pe nie widzi jej twarzy. Mogłaby się odwrócić, myśli. Mijają kilka przystanków, Pe wie, że dziewczyna czuje jego wzrok. Nagle dostrzega Ef. Nie zauważył nawet, kiedy wsiadł. Siedzi rozparty, nonszalancki. Patrzy na Pe, jakby go nie widział, błądzi wzrokiem po suficie. Pe wstaje, czas wysiadać. Dziewczyna odwraca się. Z tyłu liceum i z przodu liceum, myśli Pe, z dwa lata trzeba jeszcze poczekać. Ef przepuszcza Pe w drzwiach w galanterię.

Pe idzie w stronę parku, skręca w alejkę koło pomnika. Ef z boku, dwa kroki z tyłu, wesoły, lekki. W parku po zmroku mężczyzna z torbą wygląda podejrzanie. Pe pilnuje się, żeby nie przyspieszyć. Park się kończy, do domu Ef niecałe sto metrów. Pe oddycha z ulgą. Nagle widzi przyczajony radiowóz ze zgaszonymi światłami. Pe nie patrzy w tamtą stronę. Ef mija go i staje tuż przy radiowozie, pod oświetloną witryną księgarni. Pe przechodzi koło radiowozu, już jest dziesięć metrów dalej, dwadzieścia, skręca w bramę.

Winda, drugie piętro. Dwa dzwonki i w drzwi tratata. Otwiera dziewczyna Ef.

— Zaraz powinien być, wejdz.

Jest już Ef, uśmiechnięty, w białej kurtce trochę za dużej.

— Masz coś?

Pe otwiera torbę. Ef wyjmuje ryzy, rozrywa opakowanie. Ogląda jedną kartkę, drugą. Pod światło, uważnie.

— Farba oryginalna — mówi ze znanstwem. — Drukował ci Zet? Ładny wydruk.

Wyjmuje żytnią, rozlewa po kieliszku.

— Kiedy następny numer? — pyta. — Wrzucisz mi tysiąc?

Dziewczyna Ef robi kanapki z żółtym serem i ogórkiem. Przed wyjściem Pe wypija jeszcze jeden kieliszek.

W stronę parku idzie, mija przyczajony samochód. Dopiero teraz widzi, że milicjanci drzemią. Ciepły wieczór płynie jak leniwa rzeka.

Trzy dni później wzięli Ef. W areszcie śledczym założył głódwkę. W szpitalu okazało się, że ma wrzody żołądka, nacieki na płucach i nerwicę serca. Kobiety, które kochały Ef, rozpoczęły śledztwo: kto zdradził?

Marcin STEP

KSIĘGARNIA „POLONIA”
2886 Milwaukee Ave., Chicago, IL 60618.

Tel.: (312) 489-2554.

POLECAMY największy wybór polskich książek i o Polsce po angielsku. Słowniki, książki do nauki angielskiego, historyczne, naukowe, religijne, pamiętniki, powieści sensacyjne, poradniki, książki kucharskie, literaturę dla dzieci i młodzieży, podręczniki.

ALBUMY, mapy, nowe nagrania polskich płyt i kaset.

Polskie karty okolicznościowe.

KUPUJEMY stare książki.

Katalog na żądanie bezpłatnie.

KSIĘGARNIA POLSKA
A. i E. Neustein
P.O.Box 19443, TEL AVIV, ISRAEL

S. ORGELBRAND:
„ENCYKLOPEDIA Powszechna”
Tom 1-28

Warszawa 1859-1868. Reprint WAiF 1984-1985. Papier offset KI III/709, w twardej oprawie ze złożonymi grzbietami. Jedno z największych osiągnięć wydawnictw ub. stulecia.

Współpracowali: J. Lelewel, K. Estreicher, O. Kolberg i 180 innych najwybitniejszych uczonych.

CENA: 2.500 \$

Każdy tom z pierwszych 20 płatny po 125 \$;

Cena w subskrypcji 1.976 \$.

(Natychniastowa, a najpóźniej do 31 grudnia 1984 wpłata 800 \$, a przy każdym tomie dopłata 42 \$).

Miesięcznie ukazują się 2 tomy, a druk ukończony zostanie na początku 1986 roku.

Wiersze

Jan Nepomucen RZECKI

PIEŚŃ POD PIEŚNIAMI

1

Trzy razy księżyc odmienił mi skórę
jak na tym piachu zasiałem cenzurę.
Rośnij ty, rośnij między wierszami
jak rośnie *Pieśń nad pieśniami*.
Febra mnie wzięła w kleiste kleszcze,
psia Kanikuła i siódme poty,
przyszły dwa koty, czarny i biały,
oba zostały.

Szeleści piasek, więdną namioty,
przykładam chłodny księżyc do łona,
a tam gdzieś, słyszę,
za siódmą febrą, za siódmym potem,
chutliwy kornik przez foliał ciszy
wgrzyza się w pieśń Salomona.

2

(A skryby piszą — —)

3

Przez aklamację palm i derwiszów
zostałem szóstą planetą w tańcu,

ziarnem w różańcu.
Toczę się, kula, pod okiem króla,
wiruję biały w wełnianej pianie
i ciągnę słoneczny łańcuch
wzdłuż niewidzialnych granic — —

Koliste wokół klaskanie
żon i nałożnic. I lilii polnych,
których nie ubrał król.

4

Wiruję — patrzę w głąb — zapisuję:
Biodra w objęciach morza, na wargach sól.
Pośród przejrzystych w pianie obłóczyn
brzuch oko uczy
jak budzić dotykiem atlasu
piersi, dwa wzgórze dojrzewające,
wcieloną okrągłość czasu
w wymiarze winnego grona.

Płec nad płcią pochylona,
uda łaknące ud.

Bo stąd nasz ród.

5

Jak filary stoją nałożnice
wokół fontanny.
Języki światła na nóg marmurze,
nagość bioder obwiązana księżycem,
szept nieustanny
szelestem jedwabnym zakryty:
z fontanny tryska śmiech Szulamity.

Jak wargi miłość wykrojona
z gniewu i skargi
swą wołę przybija kolaniem
pomiędzy — — —
(ocenzurowane).

6

Twoje dwa koty, miłośnico,
rozsypały mi ze szkatuły
słowa, które się świecą
jak plecy od kochania wilgotne,
jak grzebień co twą rosę szesał.

Pomny na rady stokrotne
Maimonidesa
dla tych co błądzą od strachu do strachu,
zakopałem w pustynnym piachu
kocie placenta —
i jak szmaragd ze światłem ukrytym
zacząłem przymierzać komentarz
do pępka Szulamity.

Po nieprzespanej nocy, o świcie,
uciekł mi skryba donosiciel
z przypiskami do komentarza.
(To się u skrybów zdarza.)

W gardle mi teraz światło uwiera.
Trzeci raz księżyc... no i et cetera.

7

Wśród eunuchów
taka była rozmowa
o namiętności:
jak leżeć na tłustym brzuchu,
grać w kości
o stawkę wyciętego słowa
z salomonowej Pieśni,
a potem mlaskać oblesnie
nad wierszem wykastrowanym.

Eros eunuch z Raju wygnany.

(Cenzor dopisał: „Nawet w dzień biały
podświadomość robi kawały”).

8

Król mi zakazował,
żebym nie całował
lili ubranych na biało
do tańca planet —

A ja sobie muszę
uradować duszę,
choćby leniwe ciało
tańczyć nie chciało przed Panem.

Kat czterem liliom odciął głowy.
Nie będzie zapach odurzał króla.
Noc przyszła. Płaszczem król się otula,
dłonie przykłada do skroni.

9

Nakazali mi kwarantannę
bez gimnastyki porannej
wedle zaleceń Cenzora.
Miód i szarańcza. Na deser kora.

Po takiej pustelniczej diecie
wolno już chyba egzegecie
podłożyć tytuł *Pieśń pod pieśniami*
leżącej na wznak kobiecie.

10

Księżyc odmieniec przegonił cienie.
Zjawił się skądsis Torquemada,
ciężko kształcony (w Suspektologii),
gada i gada.

Ja mu zaś ślicznie, metaforycznie o
Duchu, o Ciele, że już Plato —
On na to:
Coś wyglądacie mi na tego z Salamanki.
Jak on się wabił? Luis,
Ludwiś w sławiańskiej mowie,

rodzon w Leonie, niby we Lwowie.
Ale profesor, niestety,
a takiej głowie dość dwie słowie:
tu *ex cathedra*, tam ambona,
przez Alegorię do Kobiety,
aż wreszcie za sprawą demona
przypisków mu się zachciało
do Salomona.

Niedobrze kiedy zakonny
ma umysł zanadto chłonny.

11

Tym razem *Dicebamus*
nie będzie, ani *hesterno die*,
tylko *dies irae*,
pokryty pokutniczym kirem.
Posiedzisz sobie, bratku, w mamrze
póki inkaust nie wyblaknie,
póki ostatni mól nie zamrze.
Scripta manent, chociaż papieru już braknie.

Przyjdą po nas gorsze cenzory:
bogiem-ubodzy tele-teolodzy,
zabobonniki znachory,
patho-freudysty, demo-ateisty,
phnudniki od polityki,
neo-geo-marksiści, soc-über-alles-realiści,
a każdy do skreślenia skóry.

Zmotoryzowane zmory
mózg ci zatrują smrodem wydzielin.

Lepiej to wszystko przeczekać w celi.

12

Jakoś się jednak wydostałem
z Indeksu poprzez Imprimatur
(*tertium non datur*).

Uszedłem cało.

Stał kufer z napisem „Nie rusz”,
kleptomanom przestroga.
Potknęła się o kufer noga,
świsnął kardynalski kapelusz.

Będzie mi z nim do twarzy,
kiedy mnie będą bić po twarzy
na syberyjskim weselu.

13

Na końcu piwnicy, w ciemni,
siedzi na zydlu
szewc z Gorlic, Jakub Böhme,
archiwista sprzecznych tajemnic.
Skończył właśnie pisać w tej chwili
„Prolegomena do Niewiedzy,
czyli
Szewski sposób na Anatemę”.

Siądź, kiwa na mnie.
Mam dowody na istnienie ciała,
dowodów sześć —
(ścisnął mi ramię),
lecz trzeba sprawdzić wpierw czy każdy działa.

Są: Wzrok, Węch, Dotyk, Smak i Słuch,
a od upadku Adama
dodatkowy zmysł Równowagi.
Jest jeszcze siódmy: Ruch,
żeby dodać zmysłom odwagi.
Tak twierdzi Pers, poeta Rumi,
a Rumi ciało rozumie.

Mnie też gnębili obłudnicy
uczeni w Piśmie.
Skoro cierpienie cię przycisnie,
nie rozdrapywaj nigdy przyczyn,
lecz krzycz milczeniem *de profundis*,
aż cię usłyszysz *Spiritus Mundi*.
Podwójna jest wola Boża:
tu skrzydła, tam obroża,
contrarium, rozdwojone dno:
dobro i zło.

Zaciemnia każdą stronę
Nie przez *Tak* pomnożone,
gnosis agonii.
Zna to Cenzura, niesłubna córka
Ironii.

Namaszczaj pieśnią ciało,
żeby ci nie spodłało
contra naturam.

14

Wychodzę, pytam gdzie wiek dwudziesty.
Za czerwonymi światłami. Na lewo.
Sflaczałe flagi. Maj. Manifesty,
głośniki trzeszczą na deszczu,
gdzieniegdzie drzewo
jak szubienica —
wiatr się usłużnie nachylił.

Obok tablica:
„Do łagru nr 100 pół mili”
w kilku językach.

Znaczy, że trafisz tam.
Bez przewodnika.

15

Dopał mnie Demiurg, ten bez ogona,
z czasomierzem na kuprze.
Znasz Hioba? Nie? Moczymordę Noego?
Też nie?
Co — tylko znasz Salomona?
To źle.

Bo jak Ezechiel się w Biblii uprze
i jak się księżyc z tyłu odmieni,
będzie na niebie taniec płomieni,
a na ziemi pieczone kartofle
z kamieni — —

Przyszedłem sprawdzić czy ten pijaczyna
 Arkę już sklejać zaczyna
 z ogniotrwałego plastyku,
 jako że potop będzie ognisty,
 ostatni z listy Ewangelisty,
cum permissu superiorum
 (jak mówi przeciwna strona).

Coś z tą mądrością Salomona
 się pokręciło;
 nawet mówić o tym niemiło
 w psychokosmicznym kontekście.
 Pieśń nad pieśniami,
 pod pieśniami,
 ginekologia między wierszami,
 warianty w tekście,
 mistyczny zator koło tronu,
 bo nałożnice się tłoczą — i żony.

O, jak ten czas w Pieśni leci,
 a Szulamita
 nie ma jak dotąd dzieci,
 jeśli wierzyć temu co czytasz
 w wariantach i w apologii.

Salomon liliom pościął głowy,
 chciał chytrus zmylić cenzora,
 lecz spowodował kryzys w ekologii,
 a z Szulamitą się nie uporał.

Pieśń pod pieśniami, czyli na bruku;
 rumor, domysły rozmaite —
 Radzę, znajdź sobie Szulamitę,
 późny prawnuku.

16

Do nowej Arki dobiera deski
 z pyroplastyku
 (podług przepisów niebieskich)
 biblijny cieśla.

A pani Cenzor w bożym słowniku
 gwiazdy już skreśla.

Pieśń pod pieśniami:
 z dołu widziana,
 od dołu zapisywana
 przez fanatyków i fałszerzy.
 Z chmur ją rozebrał księżyc
 i zasłał łożę, na którym leży
 salomonowa Szulamita.
 W kociej nagości się pręży,
 jej pępek — okrągły kielich.
 Żadnych słów na pościeli.

Wysłuchana w ciszę Szulamita
 o nic nie pyta.

Jan Nepomucen RZECKI

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU
 123, boulevard Saint-Germain, 75006 Paris
 Tel. 326-04-42 — Telex 250302

Rok założenia 1833

Sprzedajemy i wysyłamy

KSIĄŻKI POLSKIE

wydania zachodnie i krajowe

POLONICA FRANCUSKIE

w wielkim wyborze

KSIĄŻKI ANTYKWARYCZNE I OKAZYJNE
 ARTYSTYCZNE PLAKATY POLSKIE

Katalogi wysyłamy bezpłatnie

Archiwum polityczne

Korespondencja z Rzymu

UKRAIŃCY W POLSCE: KU LEGALIZACJI OBRZĄDKU GRECKO-KATOLICKIEGO

Mam przed oczyma szkic mapy Polski z zakreśloną trasą podróży od 21 czerwca do 7 lipca. Tak intensywnej wizyty pastoralnej wzdłuż i wszerz Polski, jaką przeprowadził w ciągu 17 dni abp Mirosław Marusyn, sekretarz Kongregacji Kościołów Wschodnich, nie odbył dotąd żaden wysłannik Stolicy Apostolskiej. Trasa tej podróży prowadziła z Warszawy poprzez Częstochowę, Gorzów, Wrocław, Legnicę, Opole, Gliwice, Kraków i Tarnów do Przemyśla. Stamtąd zaś przez Lubaczów, Zamość, Chełm do Warszawy i z kolei przez Koszalin, Gdańsk, Olsztyn do Białegostoku i z powrotem do Warszawy. Łącznie 30 ośrodków, w tym 17 miast z uroczystościami przy udziale przeciętnie ok. 3 tys. wiernych, oraz 13 mniejszych placówek i miejscowości. Wśród tych ostatnich znalazły się Kostomłoty na Podlasiu, parafia licząca 4 wieki, której mieszkańcy, potomkowie męczenników za Unię, określają siebie do dziś dnia „my unicy”. Ta szczątkowa wspólnota błagała o pomoc, bo żyjąc otoczona prawosławnymi wsiami „natrafia na trudności”.

Abp Marusyn odwiedził nie tylko ukraińskich greko-katolików, ale również wyznawców obrządku ormiańskiego. Liczbę pierwszych szacuje się na ok. 250 tys., drugich zaś na ok. 15 tys. W tej podróży w charakterze oficjalnego przedstawiciela Stolicy Apostolskiej i Jana Pawła II oraz na zaproszenie Prymasa Polski jako ordynariusza obrządków wschodnich, towarzyszył mu ks. Sławoj Głódź, pracownik Kongregacji Kościołów Wschodnich, pochodzący z archidiecezji w Białymstoku.

„Wizyta była bardziej niż korzystna”, stwierdza abp Marusyn w serdecznej rozmowie, w czasie której naświetlił szereg interesujących aspektów swej podróży. Ta wizyta była bardzo dobrze

przyjęta przez Episkopat i duchowieństwo. Podkreśla „rozumienie, przychylność i braterstwo”, okazywane mu na każdym kroku i wyraża wdzięczność ks. Prymasowi i biskupom odpowiednich diecezji za opiekę nad wiernymi obydwu obrządków wschodnich. Niektórzy biskupi zaprosili go do ponownego przyjazdu. W czasie obecnej podróży udzielił święceń kapłańskich pięciu diakonom w Przemyślu. Abp Marusyn wyraża się ponadto z uznaniem o swym spotkaniu w Urzędzie d/s Wyznań. Wydaje się, że to spotkanie, jak również przebieg całej jego wizyty w Polsce, władze państwowe oceniły pozytywnie. Wizyta ta bowiem wniosła istotny wkład do rozładowania panujących dotychczas nieporozumień i zadrążeń, których reminiscencje są wciąż silne po obydwu stronach. Przyczyniła się niewątpliwie do poprawy psychologicznego klimatu w stosunkach polsko-ukraińskich. A wiadomo przecież, ile narosło resentymentów i sytuacji konfliktowych (głównie na pogranicznych terenach wschodnich) które trzeba najpierw osłabić, a potem usunąć, by doprowadzić do normalnego współżycia.

Abp Marusyn kładzie nacisk na to, co nas łączy. „Trzeba zdać sobie sprawę z pozytywnych zjawisk występujących w tym współżyciu aż do rozbiorów”, stwierdza, mając na myśli późniejsze wykorzystywanie — jeśli nie wręcz prowokowanie — waśni i antagonizmu polsko-ukraińskiego przez państwa zaborcze. Nie umniejszając zgoła tego aspektu psychologicznego i politycznego wizyty — najważniejszy był jednak na pewno jej wymiar religijny i instytucjonalny. Wizyta przyczyniła się do wzmocnienia żywotności religijnej wspólnoty ukraińskiej i — co jest równie istotne — do jej legitymizacji jako grupy wyznaniowej, posiadającej silnie odczuwaną tożsamość narodową, religijną i kulturalną, o własnym obrządku i własnych, mocno zakorzenionych w historii tradycjach.

Ukraińcy pierwszy raz po 40 latach witali *swoho władcyku*, swojego biskupa. Byli co prawda przed nim w Polsce trzej biskupi ukraińscy z diaspory — były to jednak wizyty prywatne. Obecny przyjazd abpa Marusyna był oficjalny, występował on jako przedstawiciel hierarchii grecko-katolickiej i wysłannik Stolicy Apostolskiej. Spotkania z wiernymi były wzruszające. Widział często żyły radości, witano go chlebem i solą, jak każe stary obyczaj. Przy wjeździe do niektórych miejscowości witały go „banderie” złożone z kilkunastu samochodów. Kościoły były przepełnione, chóry występowały nieraz w strojach narodowych.

Wspólnota ukraińska otrzymała osłonę ze strony Watykanu w tym sensie, że — jak precyzuje abp Marusyn — „nie chodzi już dziś tylko o przetrwanie tego obrządku, lecz o to, by mógł rozwijać się i kwitnąć tak, jak postanowił Sobór Watykański II i jak tego życzy sobie Ojciec Święty”. Wizyta otworzyła drzwi dla wzmoczonej pracy duszpasterskiej. Rozwija się ona wprawdzie na ogół prawidłowo, ale w wielu przypadkach wierni nie korzystają z regularnego życia parafialnego we własnych kościołach. Trzeba jednak zaznaczyć, że w niektórych miejscowościach adap-

towano luz remontowano świątynie dla greko-katolików (np. w Gorowie w diecezji olsztyńskiej). Trudności oczywiście nie brak. Kapłanów jest wciąż za mało (jest ich 70 i 150 siostr zakonnych), choć w seminarium duchownym w Lublinie oraz u Bazylianów, w Warszawie kilkudziesięciu greko-katolików przygotowuje się do stanu kapłańskiego, podczas kiedy — rzecz ważna do zarejestrowania — w diasporze brakuje powołań. Abp Marusyn zwraca uwagę na konieczność zwrotu, względnie odbudowy zabytkowych nieraz cerkiewek unickich, np. na Łemkowszczyźnie. I stwierdza: „te świadectwa kultury ubiegłych stuleci powinny ożyć, nie można robić z nich tylko muzeów”. Muszę tu dodać, że niemożliwiałoby to w określonych przypadkach względy polityczne. Bowiemy szereg tych cerkiewek na terenie nowoutworzonej, prawosławnej diecezji przemysko-sanockiej przejęła Autokefaliczna Cerkiew Prawosławna, która z braku wiernych próbuje tam „łowić dusze” wśród unitów.

Czy w czasie wizyty abpa Marusyna były spotkania z prawosławnymi? Oficjalnych kontaktów nie było, ale na niektóre spotkania z wiernymi tu i ówdzie prawosławni przychodzili. Prawdopodobnie nie tylko z prostej ciekawości. Wizyta ta powinna przekonać prawosławnych (także pośrednio przywódców Cerkwi Rosyjskiej), że Stolica Apostolska nie zamierza i nie może uzależnić dialogu ekumenicznego od wycofania poparcia udzielanego ukraińskim greko-katolikom. Ruch w kierunku jedności nie może ignorować czy lekceważyć różnorodności rytów i tradycji, lecz musi uznać jako pełnoprawną stronę dialogu ekumenicznego.

Aspekt instytucjonalny: wizyta abpa Marusyna posunęła na przód sprawę legalizacji obydwu obrządków wschodnich. Dalsze wizyty są zaprogramowane. Jeśli sytuacja na odcinku duszpasterskim i społecznym będzie ulegać stopniowej normalizacji, to równocześnie powinna być znormalizowana sytuacja prawna tych obrządków. „Przysługuje im bowiem szczególna opieka”, precyzuje abp Marusyn. Zachodzi możliwość nominacji biskupa jako sufragana Ks. Prymasa. Sprawa tej nominacji jest wciąż otwarta i budzi wielkie nadzieje. Powinni to rozumieć i prawidłowo ocenić Ukraińcy w diasporze. Niestety — jak się wydaje — nie brak wśród emigracji (podobnie jak i w polskiej) „gorących głów”, które patrzą na tę sprawę emocjonalnie i zarazem statycznie. A przecież sytuacja jest dziś diametralnie odmienna niż w 1945 r. To już nie mniejszość ukraińska, skoncentrowana wokół Przemysła, w Bieszczadach i na Łemkowszczyźnie, ale skupiska rozsiane po całej Polsce, choć osiedlone głównie na ziemiach północnych i zachodnich. Aspekt religijny, na ogół niedoceniany lub wręcz ignorowany przez nacjonalistyczny odłam emigracji ukraińskiej, ma w aktualnych warunkach polskich (i w ogóle wschodnioeuropejskich) implikacje polityczne, aczkolwiek nie są to skutki działające bezpośrednio i w sposób doraźny. Obecny stan posiadania ukraińskiego w Polsce jest na pewno niedostateczny: za mało jest szkół podstawowych i liceów (KUL jest dla nich od dawna otwarty), towarzystwo społeczno-kulturalne na-

trafia na sztucznie stawiane przeszkody. Ten stan rzeczy ulega jednak stałej poprawie*.

ZGON PATRIARCHY

Kiedy w sierpniu ubiegłego roku odwiedziłem kardynała Józefa Slipejy w rzymskiej klinice Gemelli (tej samej, w której był operowany Papież po zamachu), przeczynałem że jego dni są policzone. Przeszedł wtedy dwie kolejne operacje na przepuklinę i stan jego zdrowia wyraźnie się pogorszył. Tymczasem — wbrew niedobrym prognozykom — przeżył jeszcze rok czasu i kiedy po „świętej wieczery” składałem mu życzenia wraz z Ojcem Feliksem Bednarskim O.P., profesorem papieskiego uniwersytetu „Angelicum”, reagował przenikliwym spojrzeniem ale już z inwalidzkiego wózka. 17 lutego bież. roku ukończył 92 rok życia. Pod koniec lata zapadł na ciężkie zapalenie płucnej. Tym razem odporny organizm, który nie poddał się 18-letniej poniewierce w więzieniach, łagrach i na zesłaniu, nie wytrzymał. Zmarł w dniu 7 września. Po jego śmierci Święte Kolegium Kardynalskie liczy dziś 125 purpuratów, wśród których 29 przekroczyło 80 lat, a więc tym samym straciło prawo do uczestniczenia w konklawe.

Mam ciągle w oczach jego dobry, ciepły i zarazem rozumny uśmiech i grube, spracowane dłonie. Od mojej pierwszej wizyty 12 lat temu w palazzina San Carlo w Watykanie, gdzie zamieszkał po uwolnieniu w 1963 roku dzięki staraniom Jana XXIII, okazał mi stale swą życzliwość i przyjazne uczucia. Objął jakby cichą, wysoką i skuteczną protekcję ze strony ukraińskiej nad działalnością redakcji *Kultury*, zmierzającą do zabliznienia ran i pojednania dwóch pobratymczych narodów.

W sobotę 8 września, w przeddzień swego wyjazdu do Kanady, Jan Paweł II złożył pocałunek na czole i dłoni zmarłego, złożonego na katafalku w kościele św. Zofii w Rzymie (kopii bazyliki w Kijowie). A w telegramie kondolencyjnym do jego następcy abpa Lubaczińskiego, wyraził podziw dla jego „nieugiętej wiary i wierności dla Stolicy Piotrowej w przeciwnościach, przesładowaniach i cierpieniach, które znosił z przykładną godnością i mocą ewangeliczną”. A w Winnipegu na audyencji dla Ukraińców, Papież podniósł dzieło „wielkiego człowieka, wyznawcy wiary, godnego następcy świętego metropolity Andrzeja Szeptyckiego.

* Jak wiadomo, socrealizm polega na tym, że przedstawia rzeczywistość nie taką, jaka jest, ale jaka być powinna. Przykładem takiego socrealizmu są wypowiedzi Abpa Marusyna na temat sytuacji Kościoła greko-katolickiego i Ukraińców w Polsce. Taką powinna być, ale niestety nie jest.

Jest to relacja „uróżwiona”. Jesteśmy z największym szacunkiem dla abpa Marusyna, rozumiemy, że jest i musi być wyrazicielem watykańskiej *Ostpolitik*, uważamy jednak za swój obowiązek stwierdzić, że rzeczywistość wygląda inaczej — wygląda bardzo źle. Powróćmy do tej sprawy w najbliższych numerach *Kultury*.

Uroczystości pogrzebowe odbyły się 13 września na dziedzińcu przed kościołem św. Zofii obok Uniwersytetu Ukraińskiego, wybudowanego dzięki zabiegom zmarłego Kardynała. Spoczął w krypcie tego kościoła poświęconego przez Pawła VI. W uroczystości wzięli udział liczni kardynałowie z dziekanem Świętego Kolegium, kardynałem Confalonierim, który pobłogosławił trumnę w imieniu Jana Pawła II, oraz arcybiskupi i biskupi, reprezentujący Stolicę Apostolską. Abp Lubacziwsky koncelebrował nabożeństwo z 14 biskupami ukraińskimi, był także obecny biskup Wołodymyr z Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej z Anglii. Abp Lubacziwsky wyliczył w kazaniu liczne zasługi zmarłego w dziedzinie teologicznej, pastoralnej i społeczno-kulturalnej, także od chwili, kiedy, po przyjeździe do Rzymu, podjął z wielkim zapałem pracę nad utrzymaniem spójności i rozwojem żywotności Kościoła Ukraińskiego w diasporze. I przypomniał, że „jako jedyny cudownie ocalony, pozostał świadkiem męczeństwa 11 biskupów ukraińskich, ofiar prześladowań w Związku Sowieckim”. Treść tego kazania została dobrze przyjęta przez delegację ośrodków ukraińskich z diaspor, a jeden z czołowych działaczy, komentując wystąpienie abpa Lubacziwskiego na późniejszym zebraniu, powiedział: „wydaje się, że zaczął wchodzić w buty przywódcy duchowego”. Tego bowiem oczekują od niego ukraińscy emigranci na całym świecie.

W czasie obrzędu pogrzebowego przemówienie po włosku wygłosił abp Marusyn, sekretarz Kongregacji Kościołów Wschodnich (kard. Rubin, prefekt tej kongregacji był nieobecny z powodu choroby). Składając „hołd, pełen podziwu i wdzięczności, wielkiemu Pasterzowi naszego wieku”, postawił go „obok Prymasa Polski, Wyszyńskiego, abpa Pragi Berana, kard. Mindszientego i kard. Stepinaca, gdyż należał do tych Pasterzy, którzy w ciężkich latach powojennych bronili odważnie praw Kościoła i wolności religii”.

W testamencie duchowym — przesłaniu do biskupów, kapłanów i wiernych — spisywanym w latach 1970-1984, kardynał Slipyj rekonstruuje ważniejsze etapy swego życia i zarazem dziejów Kościoła Ukraińskiego. Przywołuje w pamięci dramatyczne chwile: „Areszt w nocy, zatajone oskarżenia, niedyskretne pytania i podejrzenia, presje moralne i fizyczne, bicie i głód... Przed zboczonymi łapsami i sędziami znalazłem się bezbronny więzień galernik, niemy świadek Kościoła, który wycieńczony i upokorzony moralnie i fizycznie dawał świadectwo Kościołowi milczenia, skazanemu na śmierć... Wzdłuż drogi zstąpienia widać inne napisy: nie Jerozolima, Judea, Samaria, lecz Lwów, Kiew, Krasnojarsk, Jenisejsk, Mordowia”. Przypomina swoje nieoczekiwane i nagłe uwolnienie, a także swoje głośne ongiś wystąpienie na Soborze Watykańskim oraz „petycję do Pawła VI o podniesienie metropolii Kijowa-Halicza i całej Rusi do rangi patriarchalnej”. Paweł VI oświadczył w 1969 r., że „godność Patriarchy dla Głowy Kościoła Ukraińskiego nie może być udzielona w obecnej koniunkturze”. Oznacza to tym samym, że rozstrzygające są ra-

chuby dyplomatyczne i względy ekumeniczne, a nie sporne aspekty, eklezjologiczny i historyczno-prawny tej sprawy. Kardynał Slipyj stwierdza: „z synowską pokorą i cierpliwością, ale z jasnością, powiedziałem Papieżowi Pawłowi VI: nie ogłosicie tego Wy, ogłosi to Wasz następca”. I apeluje do wiernych: módlcie się o to, przyjdzie czas, przepowiadam to, kiedy wszechmocny Bóg ześle go naszemu Kościołowi. Posiadamy jednak już nasz patriarchat w naszych sercach”. Kardynał Slipyj, Arcybiskup Większy Lwowa, przyjął godność Patriarchy w 1975 roku, kiedy Synod biskupów ukraińskich (kanonicznie nie uznany jeszcze wówczas przez Watykan) ustanowił patriarchat *de facto*. Stolica Apostolska nie uznała go jednak *de iure*, choć toleruje używanie tego tytułu w liturgii. *Nota bene* w projekcie nowego kodeksu prawa kanonicznego dla Kościołów Wschodnich godność Arcybiskupa Większego z jego prawami zrównana jest z prawami Patriarchy. Zatwierdzenie ustroju patriarchalnego w Kościele Ukraińskim, analogicznie do innych Kościołów Wschodnich pozostających w unii z Rzymem (gdzie odnośny patriarcha korzysta z jurysdykcji terytorialnej), może nabrać form konkretnych w obecnym pontyfikacie. Jan Paweł II podnosi bowiem i dowartościowuje prawo człowieka do wolności religijnej zgodnie z własnym obrządkiem i tradycjami. Papież — jak się wydaje — uważa, że pełne urzeczywistnienie tego postulatu katolików ukraińskich wymaga uwzględnienia nie tylko okoliczności historycznych i prawnych, ale również woli ukraińskich unitów, którzy swe przywiązanie do Stolicy Apostolskiej opłacili krwią i martyrologią męczenników, prześladowaniami i cierpieniami, a których liczba przekracza połowę wyznawców katolickich obrządków wschodnich razem wziętych. Droga do tego uznania nie jest zamknięta.

Dominik MORAWSKI

Pisane 14 października 1984 r.

Kulą w płót

Stosunki między światem zachodnim a Rosją Sowiecką doszły do punktu, w którym trzeba nowej inicjatywy, by ruszyć z miejsca ciężką maszyną dyplomacji międzynarodowej. Kontaktów na najwyższym poziomie między Waszyngtonem a Moskwą nie było od przeszło roku. Trwająca już dziesięć miesięcy zimna wojna — od czasu rozmieszczenia pierwszych amerykańskich pocisków nuklearnych Cruise i Pershing II w Europie i wycofania się Moskwy z rozmów rozbrojeniowych w Genewie — budzi nie-

pokój i niepewność. Przesadnie pesymistyczne wypowiedzi polityków, zwłaszcza komunistycznych, zwiększają te nastroje. Konsultantyn Czernienko korzysta ostatnio z każdej okazji, by mówić o ostatecznej katastrofie grożącej jakoby naszej cywilizacji. W tej atmosferze nawet optymiści mówią, że ciągłe zbrojenia mogą doprowadzić do tzw. wojny przypadkowej. Nic dziwnego, że w tych warunkach prezydent Reagan wystąpił z nową inicjatywą. Reagan liczy się z możliwością przegrania wyborów, jeśli społeczeństwo amerykańskie uwierzy, że nie ma on nic do zaoferowania oprócz niekończących się zbrojeń i konfrontacji ze Związkiem Sowieckim — konfrontacji, która w końcu musi doprowadzić do wojny. Właśnie dlatego Reagan od sześciu miesięcy stara się przekonać swych wyborców — a także Moskwę — że do wojny wcale nie dąży. Przeciwnie, proponuje nawiązanie innych, normalniejszych stosunków z Rosją Sowiecką.

Oczywiście nie znaczy to, że Reagan zmienił politykę tylko z przyczyn oportunistycznych. Nie ma powodu przypuszczać, że dąży on do wojny. Zbrojenia amerykańskie są odpowiedzią na nieustanne zbrojenia sowieckie; są one wyrazem przekonania, że z Moskwą można rozmawiać tylko z pozycji siły. Tylko w ten sposób można zatrzymać ekspansję sowiecką i utrzymać pokój. Ale aktywizacja polityki amerykańskiej zwiększyła obawy sowieckie. W Moskwie znowu pojawiła się znowa tzw. okrażenia. Sprzyja temu, oczywiście, znaczne zwiększenie nastrojów antysowieckich na całym świecie, a zwłaszcza w Europie. Moskwa obawia się prawdziwego, nieograniczonego wyścigu zbrojeń, który Związek Sowiecki musi przegrać. Moskwa obawia się ponadto prawdziwej konfrontacji — mobilizacji Zachodu przeciwko sobie. Jest i inne, większe niebezpieczeństwo: prawdziwa normalizacja stosunków między Wschodem a Zachodem, czyli właśnie to, co proponuje teraz Reagan. Wymiana wiadomości o zbrojeniach, stałe konsultacje między rządem amerykańskim a sowieckim, konferencje dążące do załatwienia konfliktów regionalnych, zapraszanie ekspertów wojskowych na manewry (sowieckich do Ameryki, amerykańskich do ZSSR) i tym podobne propozycje wysuwane obecnie przez Reagana mają na celu wciąż gnieć Rosję Sowiecką do normalnego życia międzynarodowego. To z kolei ma stworzyć możliwość spokojnego omówienia spraw spornych i, po pewnym czasie, dojście do porozumienia co do stopniowego zmniejszenia arsenałów nuklearnych. Tak sobie wyobrażają nowe stosunki Amerykanie. Sęk w tym, że Moskwa nigdy nie wykazywała najmniejszej chęci do tego rodzaju szerokiej współpracy, która wymagałaby stałych kontaktów między licznymi zespołami różnych ekspertów z jednej i z drugiej strony. Wymagałaby także dopuszczenia specjalistów amerykańskich na terytorium Związku Sowieckiego oraz ustalenia procedury sprawdzania umów międzynarodowych. Przy takim stanie rzeczy doszłoby do coraz większego współdziałania w poszukiwaniu rozwiązań dla konfliktów regionalnych — co oznaczałoby, na przykład, udział Amerykanów w załatwianiu konflik-

tu w Afganistanie. W czasie nowojorskiego spotkania z ministrem spraw zagranicznych Izraela, Szamirem, Gromyko zaproponował — po raz dwunasty — zwołanie międzynarodowej konferencji dla rozpatrzenia problemów Bliskiego Wschodu, ale na konferencję międzynarodową w sprawie Afganistanu na pewno by się nie zgodził. Dla Moskwy plan Reagana wcale nie jest atrakcyjny — mógłby bowiem doprowadzić do tego, że dyplomacja sowiecka straci swobodę działania. Obecnie Moskwa nie może liczyć na to, że będzie mogła kontynuować swoją politykę ekspansji, ale chce mieć możliwość skonsolidowania tego, co zagarnęła, a także zagarnięcia czegoś więcej, jeśli się nadarzy okazja.

We wstępie swojej mowy, wygłoszonej na Zgromadzeniu Narodów Zjednoczonych, Reagan wyraził nadzieję, że nadejdzie dzień, gdy wszyscy ludzie naszej planety będą mogli liczyć na to, że podstawowe prawa ludzkie i swobody obywatelskie wszędzie będą szanowane. Ale zachowanie tych swobód — będących fundamentem ustrojów wszystkich demokracji liberalnych — wcale nie jest potrzebne kierownictwu sowieckiemu. Przeciwnie, stanowi niebezpieczeństwo dla reżymu sowieckiego, bo gdyby rzeczywiście doszło do zabezpieczenia tych praw i swobód w Związku Sowieckim — reżym obecny musiałby zniknąć.

Kilka dni temu b. amerykański sekretarz stanu, Henry Kissinger, powiedział, że stoimy w przededniu nowej sowieckiej ofensywy pokojowej. Być może, bo Rosja Sowiecka znajduje się teraz w dość trudnej sytuacji. Ale nie znaczy to wcale, że kierownictwo sowieckie przyjmie propozycje Reagana. Gdyby Związek Sowiecki był państwem normalnym w naszym rozumieniu tego słowa — można by mieć pewność, że Moskwa przywita inicjatywę Reagana z radością. Ale Związek Sowiecki nie jest państwem normalnym. Dla kierownictwa sowieckiego „normalne” stosunki — to zabezpieczenie praw nabytych przez Moskwę i pełna swoboda działania nawet wtedy, gdy takie działanie jest sprzeczne z zobowiązaniami dobrowolnie przyjętymi przez rząd sowiecki. Typowym przykładem takiego postępowania jest stosunek Moskwy do Aktu Końcowego Konferencji Państw Europejskich, Kanady i Stanów Zjednoczonych, podpisanego w Helsinkach w 1975 roku. Stanowi on, razem z „umową” jałtańską, podstawę podziału Europy na dwie części i uznania tego podziału przez Stany Zjednoczone, Kanadę i wszystkie państwa europejskie. Jednocześnie najważniejsza część aktu, w której mowa o swobodach obywatelskich i prawach człowieka, po prostu nie jest przez Moskwę i jej sojuszników wykonywana. Gdy tylko ktoś, powołując się na Akt helsiński, wspomni o swobodach obywatelskich, Moskwa protestuje i mówi, że nikt nie ma prawa ingerować w wewnętrzne sprawy państw komunistycznych.

Oto słowa Czernienki z jego przemówienia na jubileuszowym posiedzeniu Związku Pisarzy Sowieckich w dniu 25 września:

„W Stanach Zjednoczonych albo nie chcą zrozumieć, albo jeszcze nie doszli do zrozumienia tego, że normalizacja stosunków sowiecko-amerykańskich może mieć miejsce tylko przy za-

chowaniu zasad równości, wzajemnego szacunku i nieingerencji w sprawy wewnętrzne”.

Ta formuła nabiera coraz większego znaczenia. Polityka sowiecka stoi na zasadzie „wolność Tomku w swoim domku”, a domek Tomka to nie tylko Związek Sowiecki, lecz cała Europa środkowa i wschodnia. Innymi słowy, Moskwa wymaga, ażeby jałtańskie pojęcie sfer wpływów było rozumiane dosłownie i absolutnie. Tymczasem pojęcie to budzi w Stanach Zjednoczonych i w Europie coraz większe wątpliwości. Wspomina o nich Reagan w swoim przemówieniu (co prawda tylko mimochodem). Jego mowa, nadzwyczaj łagodna i pokojowa, wywołała podobno entuzjazm większości delegatów Zgromadzenia oraz nadzieje w kołach politycznych wielu państw, że zostanie przyjęta przychylnie także w Moskwie. Tymczasem — z wyżej wymienionych powodów — należy w to wątpić.

Wspominałem o trudnościach, z jakimi walczy kierownictwo sowieckie. Wrócimy do nich jeszcze; tymczasem chcę podkreślić, że oprócz trudności starych są i nowe. Gdy w zeszłym roku Reagan wystąpił ze swoim planem obrony przed ewentualną agresją sowiecką przez użycie satelitów krążących dookoła Ziemi, dowiedzieliśmy się że między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Sowieckim toczy się wyścig zbrojeń nie tylko na Ziemi, ale również w kosmosie. Nie mamy wiarygodnych wiadomości o tym, co zostało zrobione w tej dziedzinie. Niektórzy specjaliści od tych spraw mówią, że obie strony mogą się już pochwalić poważnymi, ale daleko nie ostatecznymi sukcesami. Otóż Moskwa żąda obecnie zawarcia układu o „demilitaryzacji kosmosu”, czyli o zaprzestaniu wszelkich eksperymentów związanych ze stworzeniem tej nowej broni. Według opinii ekspertów Moskwa chce „zamrozić” sytuację dlatego, że jest bardziej zaawansowana na tej drodze niż Ameryka. Być może, żądając zaprzestania tych prac, kierownictwo sowieckie liczy na to, że będzie mogło nie dotrzymać układu, tj. postąpić tak, jak z umową helsińską. Ale najbardziej prawdopodobnym wytłumaczeniem inicjatywy sowieckiej jest obawa przed przegraną w tym nowym wyścigu. Chodzi tu oczywiście o pieniądze, o olbrzymie pieniądze, a także o możliwości naukowe i techniczne. Kontynuowanie wyścigu w chwili obecnej może być dla Moskwy po prostu niewygodne. W każdym razie Moskwa, jak wiadomo, sama zaproponowała spotkanie z Amerykanami w tej sprawie, ale do spotkania dotychczas nie doszło, bo Amerykanie chcieliby włączyć do porządku dziennego obrad także inne sprawy, a Moskwa się na to nie zgadza. Konferencja wisi więc w powietrzu.

Wróćmy do Czernienki. Czytając jego mowę, dochodzimy do wniosku, że wojna ideologiczna przeciwko „zgniętemu Zachodowi”, a zwłaszcza przeciwko Stanom Zjednoczonym, doprowadzona jest obecnie do najwyższego napięcia. Pochwały — zdawałoby się dawno zmarłego śmiercią naturalną — socrealizmu, całkowitego posłuszeństwa pisarzy i intelektualistów wobec partii, bezwzględnej obrony ideologicznych pozycji systemu sowieckiego — oto

czego żąda Czernienko. „Dysydenci — mówi — nie mają żadnej roli do odegrania w naszym społeczeństwie. Nie mogą też liczyć na przebaczenie”. Tu mała dygresja. Te groźne słowa mają najprawdopodobniej związek ze sprawą znanego dziennikarza sowieckiego, Olega Bitowa, który właśnie „wrócił” do Moskwy po 11-miesięcznym pobycie w Londynie. Oleg Bitow, jeden z redaktorów wpływowego pisma sowieckiego *Literaturnaja gazeta* znalazł się w Wenecji jako członek delegacji sowieckiej i zniknął. Wypląnął po pewnym czasie w Londynie. Pozwolono mu swobodnie pracować. Po paru przesłuchaniach wywiad angielski doszedł widocznie do wniosku, że Bitow nic ciekawego nie może opowiedzieć, więc dano mu spokój. W Londynie Bitowowi powodziło się całkiem nieźle. Pojechał do Ameryki na dziesięć dni na zaproszenie *Reader's Digest*, odwiedził Francję, napisał kilka artykułów o cenzurze sowieckiej dla *Sunday Telegraph*. Za zarobione pieniądze kupił sobie japoński samochód, dwie maszyny do pisania i wiele innych rzeczy, o których w Moskwie mógł tylko marzyć. Ludzie z którymi miał do czynienia mówią, że bardzo sobie cenił swoją londyńską wolność i dobrobyt i że bardzo lubił whisky. Tęsknił podobno za zostawioną w Moskwie rodziną, zwłaszcza za 16-letnią córką, ale wracać do sowieckiego raję nie miał zamiaru. 16 sierpnia zniknął. Po dwóch tygodniach wystąpił na konferencji prasowej w Moskwie. Opowiadał dziennikarzom różne brednie o tym, jak wywiad angielski wykradł go z Wenecji, jak go torturowano, zmuszano do pisania antysowieckich artykułów itd. Po wystąpieniu Czernienki na posiedzeniu Związku Pisarzy Sowieckich nie można mieć wątpliwości, że Bitow należy do tych, dla których „nie ma przebaczenia”. Jego wyprawa po złote runo skończyła się tragicznie, bo przedsięwzięta została w najgorszym z możliwych momentów. Znaczenie sprawy Bitowa polega na tym, że wykazuje ona strach kierownictwa sowieckiego przed „zarazą” zachodnią. Bitow będzie teraz straszakiem dla tych, którzy odważyliby się odmówić posłuszeństwa partii.

O trudnościach gospodarczych Związku Sowieckiego pisałem już niejednokrotnie i nie będę się powtarzał. Chcę tylko zaznaczyć, że sytuacja się nie poprawiła. W tym roku Moskwa musi zakupić 40 milionów ton zboża za granicą, by wyżywić ludność imperium — wyżywić jako tako. Nawet Chiny nie mają tak wielkich trudności żywnościowych!

Jak już powiedziałem, Moskwa już nie będzie mogła, nie narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo, kontynuować swej polityki ekspansji, która doprowadziła do obecnej konfrontacji. W swym przemówieniu na walnym Zgromadzeniu Narodów Zjednoczonych Gromyko zważył całą odpowiedzialność za obecny stan rzeczy na Stany Zjednoczone, oskarżając je o wszystkie możliwe grzechy: militarystkę, ekspansjonizm, dążenie do opanowania całego świata, mieszanie się do spraw wewnętrznych wszystkich państw, „prowokacyjną politykę wobec Afganistanu” itd., itp. Czyny, nie słowa są potrzebne, mówił Gromyko. Jakie czyny?

Zgoda na „demilitaryzację kosmosu”, zniesienie wszelkich sankcji i ograniczeń eksportowych dotyczących materiałów strategicznych, bezkrytyczne przyjęcie systemu socjalnego państw komunistycznych i zaprzestanie wszelkiej ich krytyki. Jednym słowem bez ustępstw ze strony Stanów Zjednoczonych nie będzie porozumienia i współpracy. Po wystąpieniu Gromyki amerykański sekretarz Stanu, George Shultz, dał wyraz swemu ubolewaniu i rozczarowaniu. Powiedział, że Gromyko przeinacza historię i wypacza konstruktywną rolę Stanów Zjednoczonych w stosunkach międzynarodowych. To prawda, ale czego można było spodziewać się po Gromyce? Propozycje Reagana były dla Moskwy nie do przyjęcia, bo prowadziłyby w rezultacie do likwidacji systemu komunistycznego. Trudno wymagać od przywódców sowieckich, żeby przykładali rękę do likwidacji imperium.

A więc — kompletne fiasko inicjatywy Reagana. Nie znaczy to jednak, że odmowa Moskwy zwiększa niebezpieczeństwo wojny. Wojny nie będzie, bo wbrew mniemaniu Gromyki państwa zachodnie nie mają żadnych agresywnych zamiarów wobec świata komunistycznego. Przeciwnie, wojny nikt nie chce. Pozostaje więc tymczasem bardziej lub mniej aktywna konfrontacja lub po prostu stagnacja. Jeśli będzie ona trwała, może doprowadzić do coraz większych sprzeczności w kierownictwie sowieckim. Że takie bardzo poważne sprzeczności już istnieją, świadczy chociażby nagłe usunięcie marszałka Ogarkowa ze stanowiska szefa sztabu generalnego sowieckich sił zbrojnych.

Witold RYSER-SZYMAŃSKI

W A W E L
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Kraj

Sierpień 1984

Sierpień minął pod znakiem amnestii. Zwolnienia zaczęły się jeszcze w lipcu, ale ludzie czekali na jedenastkę. Andrzeja Gwiadę wypuszczono na przepustkę 21. VII, w kilka godzin po amnestyjnym posiedzeniu Sejmu. Reszta zaczęła wychodzić z mokotowskiego więzienia dopiero w sierpniu, jako ostatni Henryk Wujec 13. VIII.

Władzy ogromnie zależało na tym, żeby nie było wybuchów entuzjazmu na powitanie wychodzących z Rakowieckiej, toteż niemal od razu po amnestii ustawiła pod bramą radiowóz, a umundurowani funkcjonariusze legitymowali tych, którzy przystawali pod bramą. Dlatego co wytrwali przenieśli się na drugą stronę ulicy, na podwórze SGPiS-u. Jedenastkę wypuszczano pojedynczo, wywołując dyskretnie samochodami do miejsca zamieszkania. Karolowi Modzelewskiemu, który chciał zobaczyć się z mieszkającą w Warszawie matką, nie pozwolono na to; ubecki samochód odwiózł go do Wrocławia, skąd — nie mając kluczy do mieszkania — musiał wrócić do Warszawy, bo tam czekała na niego żona.

Starannie obstawiano nie tylko jedenastkę, ale i innych ważniejszych działaczy „Solidarności” opuszczających więzienia, np. Słowika czy Frasyniuka (kilku do kilkunastu samochodów, mnóstwo tajniaków, punkt obserwacyjny w instytucji naprzeciwko jego mieszkania, podsłuch od sąsiadów).

Z wyjściem przywódców „Solidarności” ludzie wiązali duże nadzieje. Działacze z Huty im. Lenina mówili, że w zakładzie panuje nastrój oczekiwania, że obecność zwolnionych musi coś zmienić. I rzeczywiście, żaden z amnestionowanych przywódców nie zrezygnował z publicznego istnienia. 1. VIII na mszy w rocz-

nię wybuchu Powstania Warszawskiego we wrocławskim kościele przy ul. Bujwida pojawił się Władysław Frasyniuk — wychodzący z kościoła utworzyli szpaler aż do jego domu (milicja nie dopuszczała ludzi do kościoła, zatrzymano tego dnia około 300 osób). Owacyjnie witano też na mszach dwóch następnych przewodniczących podziemnej „S”, Józefa Piniora i Piotra Bednarza, który był na przepustce ze szpitala.

W kościele w Leśnej Podkowie pod Warszawą po mszy św. 19. VIII przemówili Jacek Kuroń i Andrzej Rozpłochowski, który powiedział: Zostaliśmy tu zapowiedziani jako przedstawiciele jedenastki, przedstawiciele tak zaszczytnej czołówki. Nie myśmy sobie to zrobili. Zawdzięczamy to Państwu, wszystkim naszym wyborcom. (...) Wychodząc przed kilkoma dniami z więzienia zostawiłem w celach prawie trzy lata mojej biografii, natomiast udało mi się zabrać wolną duszę, którą przynoszę Państwu”. Z wystąpienia Jacka Kuronia: „... byłem w więzieniu w czasach gomułkowskiego dobrobytu i gierkowskiego dobrobytu i marzyły mi się chleb i margaryna. A dzisiaj już takich marzeń w więzieniu nie ma. Jest inny chleb, biały, taki jaki państwo kupujecie w sklepie. I margaryny dają sporo. I w ogóle są grzeczni. To jest nie to samo więzienie. Coś się zmieniło. A w międzyczasie były te kilkanaście miesięcy 'Solidarności' i bunty więzienne. I to dokonało zasadniczej zmiany więzienia. Jest to wielka lekcja. Lekcja tego, że można zmieniać świat na lepsze, tu i teraz — nie czekając na jakąś tam lepszą przyszłość — i że jedynym sposobem tych zmian jest zdecydowany społeczny nacisk. (...) Proszę Państwa, my z tym naszym najgłębszym przeświadczeniem, że racja jest po naszej stronie, że nie ma innych racji jak nasza — możemy śmiało odbudować ten sam ład, który nas teraz gniecie. Oczywiście, można powiedzieć, że oni przeciw Bogu, a my w imię Boga. Ja tylko chcę przypomnieć, że wojska hitlerowskie miały na klamrach napisane *Gott mit uns*. Ja tylko chcę przypomnieć, że faszyzm włoski i hiszpański były ultrakatolickie i arcy-narodowe i robiły to wszystko w imię Boga. Bo nie wystarczy przywołać Chrystusa, żeby było już dobrze. Trzeba jeszcze zrozumieć Jego wołanie, a to jest najtrudniejsze. Trzeba umieć znaleźć człowieka tam, gdzie nam się wydaje, że już go nie ma, że już jest samo zło (...). To bardzo trudno zrozumieć, ale bez tego nigdy nie będziemy wolni, bez tego nigdy nie wyjdziemy z tego więzienia, w którym wszyscy razem siedzimy. (...)”.

W kościele oo. Jezuitów w Bydgoszczy Jan Rulewski, witany przez kilka tysięcy osób, odczytał nocną modlitwę Lechonia, dedykując ją górnikom z „Wujka” i Lubina. Podziękował też wszystkim tym, którzy przyczynili się do uwolnienia więźniów

politycznych i tym, którzy 17 czerwca odwrócili się od urn wyborczych.

Na mszę dziękczynną w kościele św. Stanisława Kostki w Warszawie 21 sierpnia przybyło kilka tysięcy ludzi. W modlitwie wierni prosili o uwolnienie nie objętych amnestią więźniów politycznych. Seweryn Jaworski podziękował biskupowi Miziołkowi za dotychczasową opiekę nad Prymasowskim Komitetem Pomocy Uwięzionym i prosił o wstawiennictwo za nieobjętych amnestią. Biskup Miziołek wyraził radość z powodu zwolnienia więzionych z przyczyn ideologicznych i patriotycznych, powiedział też, że ma nadzieję, iż zwolnieni będą mogli nadal pracować dla pomyślności Ojczyzny. Oklaskiwani owacyjnie A. Walentyłowicz, S. Jaworski, J. Kuroń, A. Michnik, A. Rozpłochowski, R. Szeremietiew, L. Moczulski, M. Jurczyk, Z. Teliga, Z. Romaszewski, T. Rzeszółtko, M. Bednarkiewicz i inni przeszli na plebanie, gdzie kolejno ukazywali się w oknach, wznosząc palce w znaku V. W okolicy kościoła ściągnięto znaczne siły ZOMO i MO, które nie interweniowały.

2. VIII Józef Pinior wraz z przewodniczącym zakładowej „Solidarności” wrocławskiego „Mostostalu” obszedł hale fabryczne, rozmawiając z pracownikami. W jednej z hal zorganizowano wiec powitalny. Dwugodzinna wizyta odbyła się bez przeszkód ze strony kompletnie zaskoczonych SB. Seweryna Jaworskiego powitało 8. VIII radio Tymczasowej Komisji Wykonawczej „Solidarności” jego zakładu — Huty Warszawa: „... To nasze nieugięte głośnie wołanie 'Uwolnić politycznych!' wyważyło więzienne drzwi. To nieugięta postawa samych uwięzionych zmusiła władze do takiej decyzji. Próbowano naszych przywódców zastraszyć, przekupić, zmiękczyć — oni byli twardzi jak hartowana stal...”. Seweryna Jaworskiego, Andrzeja Słowika, Władysława Frasyniuka nie przyjęto z powrotem do pracy w ich macierzystych zakładach.

Uwolnieni działacze — m.in. Gwiazda, Michnik, Kropiwnicki, Słowik, Rulewski — pojechali do Gdańska, by spotkać się z Lechem Wałęsą. Jackowi Kuroniowi 23. VIII SB uniemożliwiła wyjazd: zabrano go z domu i trzymano w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych na Rakowieckiej do momentu, aż odleciał samolot do Gdańska (spotkanie to odbyło się na początku września; Kuroń zgubił obstawę i niezapowiedziany zjawił się u Wałęsy).

Wszystkie te publiczne wystąpienia i wizyty u przewodniczącego „Solidarności” stanowiły demonstracyjne podkreślenie, że Związek żyje i działa nadal, że zwolnieni przywódcy dołączają do tych, którzy byli na wolności. Z oczywistych względów nie tak liczne i nie tak głośnie, jak spotkania z Lechem Wałęsą były

kontakty amnestionowanych z podziemiem. Serię spotkań z członkami TKK zapoczątkowała jeszcze w lipcu brawurowa eskapada Władysława Frasyniuka do Zbigniewa Bujaka. Bezpośrednio z więzienia w Łęczycy, jeszcze przed zobaczeniem się z rodziną, Frasyniuk przy pomocy łódzkich ogniw „Solidarności” urwał się obstawie. Następnie został przetransportowany do Warszawy, by już w niedzielę 28. VIII, w dwa dni po wyjściu spotkać się z Bujakiem na wielogodzinną rozmowę.

O łączności z podziemiem zwolnionych działaczy świadczą także ich liczne wypowiedzi w prasie związkowej, gdzie udzielają wywiadów i składają oświadczenia. Wspólnym mianownikiem ich wypowiedzi oraz poamnestyjnych oświadczeń struktur „Solidarności” (większość z nich poprzez gazetki podziemne dotarła do czytelników w sierpniu) jest żądanie zwolnienia więźniów politycznych nie objętych amnestią oraz deklarację dalszej walki o demokrację i pluralizm związkowy. Trudno sądzić, by władza liczyła na to, że po amnestii podziemie ujawni się i „Solidarność” przestanie istnieć, zapewne jednak miała nadzieję, że jakaś część związkowców uzna w tym momencie walkę za zakończoną. Jednak powszechne głosy o kontynuowaniu działania wskazują na to, że jej rachuby okazały się płonne.

Próby wykazania się choćby garstką dobrowolnie ujawnionych nie powiodły się. Przy poprzedniej amnestii (lipiec 1983) rezultaty były mniej niż mierne, ale przecież jakieś były. Tym razem nie ma kogo pokazywać w TV i opisywać w prasie. Szczeciński *Obraz* nr 15 pisze co prawda, że zakładowe komórki SB czepiają się pracowników i że ludzie masowo dostają wezwania do Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych, jednak żadnych skutków tej akcji w mass-mediach nie widać — zapewne okazały się zbyt skromne. Nie uratował sytuacji Ludwik Głuza z Lublina, który 22. VIII przed kamerami telewizji przyznał się do redagowania podziemnego pisma *Roztocze*. W rzeczywistości, jak poinformowała podziemna „Solidarność” regionu środkowo-wschodniego, po 13. XII. 1981 Głuza nie miał nic wspólnego ze Związkiem, za to jako represjonowany wyludzał pieniądze od osób prywatnych.

Nawiasem mówiąc, nie powiodła się inna jeszcze akcja władzy. Jak okazało się po amnestii, kampania propagandowa zmierzająca do zohydzenia przywódców, zwłaszcza członków KOR-u, przyniosła wręcz przeciwne rezultaty. Telewizja spopularyzowała ich tak szeroko, że dzisiaj Kuroniowi czy Michnikowi kłaniają się na ulicy dziesiątki nieznanym ludzi.

Reakcję społeczeństwa na amnestię można określić jako ambiwalentną: z jednej strony radość, że tylu ludzi wypuszczono na

wolność, z drugiej — pełna świadomość, że jest to manewr polityczny, obliczony na przekonanie o postępach normalizacji zarówno polskiego społeczeństwa, jak i Zachodu (by uzyskać zniesienie sankcji, nowe kredyty, przyjęcie do Międzynarodowego Funduszu Walutowego). Zrozumienie intencji władz najlepiej oddaje oświadczenie Zb. Bujaka i Wł. Frasyniuka (29. VII): „... Krok ten mógłby stać się początkiem nowego etapu w życiu naszego kraju. Jest jednak próbą załatwienia doraźnych interesów władzy. Zwalnając więźniów politycznych, rządzący wciąż deklarują walkę ze społeczeństwem”.

Dowodem na to, że władza zamierza trzymać się dotychczasowej linii politycznej, jest przede wszystkim przetrzymywanie w więzieniu Bogdana Lisa — w początku września przedłużono mu sankcję prokuratorską na następne trzy miesiące — i Piotra Mierzewskiego. Ich sprawa znana jest najszerzej, ale amnestia nie objęła także kilkunastu innych więźniów politycznych. Są wśród nich skazani za przygotowanie wybuchów bombowych górniczy z Lubina: P. Korczowski, M. Młodecki, S. Zabielski; górniczy ze Śląska, którzy podłożyli materiały wybuchowe pod monument w kształcie sierpa i młota w Wodzisławiu Śląskim: Cz. Lipska, A. Pokorski, L. Zubik; wreszcie pracownicy Huty Katowice, oskarżeni o korzystanie z urządzeń poligraficznych zakładu: A. Kisieliński, M. Luty, L. Lorek, J. Milanowicz, A. Niewiara, A. Stolarczyk. Amnestia nie objęła też skazanych jesienią 1982 roku w procesie o zabójstwo sierzanta MO Karosa: księdza S. Zycha, R. Chechłacza, S. Matejczuka i R. Łupanowa.

Jeszcze wyraźniejszą deklaracją „twardego kursu” są nowe aresztowania. Najbardziej demonstracyjne było zamknięcie Frasyniuka i Piniora po uroczystościach rocznicowych 31 sierpnia we Wrocławiu. Można to potraktować jako jednoznaczne ostrzeżenie, że władza nie zamierza tolerować prób wybicia się na jawną publiczną działalność i że nie może sobie na to pozwolić nikt poza Wałęsą. Przemawia za tym również fakt ostrzegania działaczy, iż ich aktywność może spowodować „cofnięcie dobrodziejstwa amnestii”. Frasyniuka i Rulewskiego wzywano w tej sprawie do prokuratury, o Kuroniu i Rozpłochowskim mówił Urban na konferencji prasowej. „Jeśli władza nie zgadza się na jawną działalność ‘Solidarności’, to mamy tylko przerwę na wietrzenie cel dla następnych więźniów politycznych” — czytamy w sierpniowym numerze pisma *Termit*, wydawanego przez Tajną Komisję Zakładową „Solidarności” warszawskich zakładów im. Waryńskiego.

W sierpniu wszczęto śledztwo przeciwko kilku osobom pod zarzutem działania w podziemnej „Solidarności”. Najgłośniejszą sprawą było zatrzymanie 27. VIII A. Karpińskiego i M. Kotow-

skiego przy przewożeniu materiałów poligraficznych i zagranicznych wydawnictw bezdebitowych; jeden otrzymał sankcję prokuratorską, drugi — dozór milicyjny. Janowi Józefowi Lipskiemu, w dzień po otrzymaniu zawiadomienia o umorzeniu sprawy z amnestii, przysłano zawiadomienie o nowym zarzucie.



Sierpniowe obchody rocznicowe zapoczątkowały uroczystości na Cmentarzu Powązkowskim. 1. VIII ściągnęły tam tysiące ludzi, by uczcić rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego. Przez cały dzień wokół Obelisku Armii Krajowej i tzw. dołka katyńskiego gromadziły się tłumy, postawiono tam krzyż drewniany i ułożono wielki krzyż z kwiatów. Owacyjnie witana Anna Walentynowicz odmówiła litanie za więźniów politycznych, których nie objęła amnestia. Uroczystości stały się wielką manifestacją „Solidarności”. Z oświadczenia RKW Mazowsze: „... Raz jeszcze i wciąż zgodnie z tradycją lat niewoli kościoły i cmentarze pozostają jedynymi miejscami, w których Polacy dają wyraz rzeczywistej i niezafałszowanej narodowej pamięci”.

W 64-tą rocznicę „cudu nad Wisłą” w Warszawie przeszedł pochód od kościoła św. Anny do Grobu Nieznanego Żołnierza. Tam Wojciech Ziemiński wygłosił przemówienie, za które skazany został przez kolegium d/s wyrok na 3 miesiące aresztu (zwolniono go po odwołaniu i w sądzie ma odpowiadać z wolnej stopy).

O rocznicy agresji na Czechosłowację pisała niemal cała prasa związkowa. W okolicy Ośrodka Kultury CSRS w Warszawie rozrzucone zostały 30. VIII ulotki, m.in. z hasłem: „Czesi, Słowacy, Polacy! Wspólny wróg: imperializm sowiecki. Wspólny cel: niepodległość”. W związku z rocznicą podpisania paktu Ribbentrop - Mołotow kolportowano ulotki w warszawskich Zakładach Mechanicznych im. Nowotki.

Wraz z zbliżaniem się rocznicy podpisania Porozumienia Gdańskiego w całym kraju nasiliły się akcje ulotkowe na ulicach i w zakładach, pojawiły się obficie nowe napisy na murach. Oprócz oświadczeń TKK i haseł rocznicowych — „Nie oddamy Sierpnia!”, „Porozumienia społeczne obowiązują”, „Solidarność żyje i walczy”, „Sierpień — pamiętamy” — powtarzało się: „Uwolnić politycznych”, „Uwolnić Lisa”. Wszędzie, gdzie działa Radio „Solidarność”, nadane zostały audycje rocznicowe. W Pruszkowie (23. VIII) i w Milanówku (28. VIII) udało się wejść na wizję TV z planszą „Solidarność żyje”. Jedną z najbar-

ziej efektownych akcji była uliczna audycja warszawskiego Radia „Solidarność”, tak oto relacjonowana przez jej uczestnika:

„31 sierpnia, śródmieście Warszawy, godzina 17-ta. Wzdłuż ul. Widok kolumna ZOMO. Na Pasażu Śródmiejskim za domami 'Centrum' aż niebiesko od patroli. Legitymują, sprawdzają torby, lustrują podejrzliwym wzrokiem przechodniów. Przy kawiarni 'Zodiak' na ciągnące się wzdłuż pasażu zadaszenie wchodzi dwóch młodych ludzi ubranych w robocze dreluchy. W rękach trzymają wiadra, szczotki na długich kijach, jeden niesie dużą torbę. Wygląda na to, że mają myć okna domów 'Centrum'. Idą po zadaszeniu aż do kawiarni 'Amfora'. Pod nimi mrowie ludzi i zomowców. Jeden z patroli przygląda im się bacznie, idzie razem z nimi, a właściwie pod nimi po chodniku. Wreszcie skręca do budki z hot-dogami. Chłopcy zostawiają wiadro, szczotkę i coś dużego wyjętego z torby. Wolno, z uśmiechem wracają po zadaszeniu do 'Zodiaku', gdzie schodzą na dół i znikają w tłumie. Po kilku minutach znad 'Amfory' rozlewa się sygnał Radia 'Solidarność'. Audycja trwa ok. 20 minut, są w niej piosenki, m.in. 'Wyrwij murom zęby krat', oraz teksty komunikatów TKK. Zomowcy próbują zdobyć zadaszenie, na którym ustawione są urządzenia nagłośniujące. Każda próba zdobycia dachu, m.in. po aluminiowych kolumnach, witana jest salwami śmiechu przez licznie zgromadzony tłum”.

Uroczyste msze święte odprawione zostały 31 sierpnia w wielu miastach Polski. Zgromadziły one tysiące ludzi. W Szczecinie w Bazylice nad tłumem wiernych wznosił się olbrzymi transparent z napisem „Solidarność”, po mszy zgotowano wielką owację Marianowi Jurczykowi. Zatrzymano kilkadziesiąt osób, którym kolegia zasądziły wysokie grzywny.

Do ulicznych manifestacji wezwał jedynie Regionalny Komitet Strajkowy Dolny Śląsk oraz Tajna Komisja Robotnicza Hutników kombinatu nowohuckiego. We Wrocławiu trasa wyznaczona przez RKS była tak silnie obstawiona kordonami ZOMO, że nie zdołano utworzyć pochodu. Tylko w okolicy Rynku zebrali się ok. 2 tysięcy ludzi, wnosząc okrzyki „Solidarność!”. Tłumy natomiast uczestniczyły w odprawionej w Katedrze w intencji Ojczyzny mszy świętej, po której 2-3-tysięczny pochód przeszedł do Placu Dzierżyńskiego, gdzie został rozproszony. Wieczorem w mieście pałowano i wyłapywano przypadkowych przechodniów. Łącznie zatrzymano ponad 200 osób, z czego 14 otrzymało sankcje. Wcześniej aresztowani zostali Władysław Frasniki i Józef Piniór, którzy po złożeniu kwiatów pod tablicą upamiętniającą strajk robotników wrocławskich w Sierpniu 1980, umieszczoną

przy wejściu do Zajezdni MPK nr 7 na ul. Grabiszyńskiej, wygłosili krótkie przemówienie do ok. 30 znajdujących się tam osób (ich wystąpienie nie było zapowiedziane). Następnego dnia kolegium d/s wykroczeń orzekło karę dwóch miesięcy aresztu dla obydwu.

W Nowej Hucie w bieńczyckiej Arce zgromadziło się 5-6 tysięcy ludzi. Po wyjściu z kościoła pojawiło się wiele ulotek oraz transparenty „Solidarności”. Ludzie przeszli kilkaset metrów, by na miejscu śmierci Bogdana Włosika składać kwiaty, skandować hasła i śpiewać pieśni patriotyczne. Następnie rozeszli się w spokoju. (Funkcjonariusze Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych uprzedzili wcześniej księdza, że manifestacja nie może przenieść się spod kościoła, gdyż inaczej milicja będzie interweniować).

Tak więc nawet we Wrocławiu i Nowej Hucie, gdzie spodziewano się solidarnościowych pochodów i walk z milicją, uroczystości przebiegły spokojnie. Czy oznacza to: żegnaj, ulico?

Obchody rocznicy Sierpnia w Gdańsku miały zupełnie inną formułę: nie ograniczono się do mszy św., jak w innych miastach, nie było wystąpień ulicznych, jak w poprzednich latach. Były natomiast imprezy artystyczne w kościołach Trójmiasta, trwające cały tydzień, od 26. VIII. Oddajmy głos ich uczestnikom:

„Obok licznego udziału aktorów tym razem widoczni też byli plastycy i muzycy. Było dużo wielkich nazwisk z całej Polski. U św. Michała w Sopocie po prezentacji III symfonii Witolda Lutosławskiego odbyło się spotkanie z kompozytorem. W gdańskim kościele oo. Dominikanów — koncert Stefani Woytowicz, tamże następnego dnia wystąpiła Halina Mikołajska z tryptykiem maryjnym 'Święta Panno nad pannami'. Krzysztof Knittel z młodymi muzykami prezentowali muzykę inspirowaną przez poezje Zbigniewa Herberta i Ryszarda Krynickiego.

26. VIII w kościele św. Michała w Sopocie otwarta została sierpniowa wystawa malarstwa, rzeźby i grafiki plastyków Wybrzeża.

Czynny udział w obchodach wzięli trzej prezesi zdelegalizowanych związków twórczych: Jerzy Puciata (Związek Polskich Artystów Plastyków), Andrzej Szczepkowski (Związek Artystów Scen Polskich) i Stefan Bratkowski (Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich). Ten ostatni w czasie prelekcji w sopockim kościele Gwiazda Morza powiedział: '... To my jesteśmy większością, to my jesteśmy tu u siebie, to my, nawet bici i ganiani po ulicach, stanowimy o obliczu tego narodu'.

Lech Wałęsa dwoił się i troił, aby uczestniczyć we wszystkich koncertach. W ślad za nim gnała wataha reporterów i liczne ekipy telewizyjne. Raz tylko zmylił pogonie i w spokoju wysłuchał pieśni powstań narodowych w interpretacji Piotra Szczepanika, którego koncert odbył się w niepowtarzalnej atmosferze budującego się kościoła na Zaspie (parafia Wałęsów).

31. VIII Lech Wałęsa złożył kwiaty pod Pomnikiem Poległych Stoczniovców. Przemówienia, podanego wcześniej do wiadomości publicznej, nie wygłosił — słuchaczami byłiby głównie milicjanci i SB-cy, którzy nie dopuścili pod pomnik ludzi z miasta.

Główny koncert rocznicowy 31 sierpnia w kościele oo. Dominikanów prowadził Jacek Fedorowicz. Rozpoczął słowami: '... Miejmy świadomość, że na naszych oczach i z naszym udziałem powstała tradycja, która pozostanie na zawsze — obchodzimy dziś nowe, prawdziwe święto narodowe'. Następnie powitał: zwykłego obywatela PRL — Lecha Wałęsę (burzliwe oklaski), poetę, który nie kłaniał się żadnej władzy — Zbigniewa Herberta (burzliwe oklaski) oraz prawego obrońcę z naszej reprezentacyjnej jedenastki, która po blisko trzech latach treningu nie przegrała na własnym boisku — Adama Michnika (burzliwe oklaski). Występowali aktorzy gdańscy i warszawscy. Koncert zakończył się otwarciem ogólnopolskiej wystawy malarskiej 'Artyści plastycy — stoczniovców' i jakby happeningiem: olbrzymi krzyż, malowany przez J. Puciatę, składał się z 21 elementów, które okazywały się historycznymi postulatami strajkowymi, odczytywanymi kolejno do mikrofonu przez wiernych zgromadzonych w kościele.

Ostatni już akcent obchodów: uroczysta msza święta stoczniowa u św. Brygidy. Po mszy wszyscy czekali pod kościołem na Wałęsę, który się nie pojawił, i wszyscy się rozeszli”.

Dodajmy, że podczas wszystkich mszy rocznicowych odczytywano list pasterski biskupa gdańskiego o doniosłości Sierpnia.

Władze do uroczystości w zasadzie się nie wtrącały, a gęsto krążący po ulicach milicjanci nie zakłócali spokoju w sposób rażący. Jednak ludzi do pomnika nie dopuszczono, pod św. Brygidą jeździły milicyjne nyski, a do biskupa gdańskiego dzwono no z Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych z zapytaniem, czy wie, że w kościołach mają się odbywać wiece. Po zapoznaniu się z programem uroczystości sufragana diecezji gdańskiej udzielił zgody na imprezy w kościołach.

Nie przypadkiem z datą 31. VIII ogłoszono wspólne oświadczenie przedstawicieli zdelegalizowanych związków zawodowych — „Solidarności” (wśród sygnatariuszy Lech Wałęsa), związków branżowych, autonomicznych i Związku Nauczycielstwa Polskiego: „... Działanie na rzecz przywrócenia praw związkowych

uwazamy za swój obywatelski obowiązek i zobowiązanie wobec naszych wyborców”.

W sierpniowych obchodach nie zabrakło głosu księdza Jerzego Popiełuszki, który 26. VIII na mszy za Ojczyznę w Warszawskim kościele św. Stanisława Kostki powiedział: „... Nadzieje z Sierpnia 1980 roku żyją. A my mamy moralny obowiązek pielęgnować je w sobie i z odwagą umacniać w naszych braciach. (...) Mamy obowiązek dawania świadectwa prawdzie o Sierpniu 1980 roku, tak jak to świadectwo dawali przez prawie trzy lata przywódcy związku zawodowego 'Solidarność'. Mamy obowiązek domagać się, by nadzieje narodu zaczęły się wreszcie realizować. Trzeba to czynić z odwagą i z rozważą. Trzeba zdawać sobie sprawę z sytuacji geopolitycznej, w jakiej się znajdujemy, ale jednocześnie ta sytuacja nie może być wygodną zasłoną do tego, by zrezygnować z należnych narodowi praw”.

/ja/

Szczęśliwe rozwiązanie

(ROZMOWA Z BOGDANEM BORUSEWICZEM)

MARCIN POLNY: — *Jak się zostaje zawodowym rewolucjonistą?*

BOGDAN BORUSEWICZ: — *Dlaczego akurat mnie o to pytasz?*

M.P.: — *Ponieważ nawet funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa uważają Cię za zawodowca w tej branży. Co sprawiło, że obrateś taką profesję?*

B.B.: — *Trudno powiedzieć, bym w świadomy sposób wybrał drogę życiową, która w konsekwencji doprowadziła mnie do podziemia i Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej. Zdecydował splot przypadków, ale nie tylko. Także predyspozycje osobiste i wychowanie wyniesione z domu. Nie przypadkiem bowiem w 1975 stanąłem w obronie kolegi, Staszka Kruszyńskiego (tak jak i ja studenta Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i członka grupy samokształceniowej przy duszpasterstwie akademickim), areszto-*

wanego za to, co pisał w prywatnych listach. To właśnie od tamtej pory systematycznie walczę z władzą komunistyczną w PRL, więc może miano „zawodowego rewolucjonisty” jest jakoś uzasadnione.

Po studiach wróciłem na Wybrzeże i — znów nieprzypadkowo — włączyłem się wraz z grupą kolegów — którzy później stworzyli Ruch Młodej Polski — w pomoc dla Radomian, w związku z czym zostałem członkiem KOR. Dlaczego właśnie ja? Zbieg okoliczności. Po prostu miałem najwięcej lat z naszej grupy. Później był strajk sierpniowy i „Solidarność”, o czym nie chcę mówić, bo to sprawy powszechnie znane, a najpóźniej stan wojenny, który sprawił, że jestem w sytuacji, w jakiej mnie zastałeś, tzn. ukrywam się i działam w podziemiu. I znów przypadek zdecydował, że akurat ci a nie inni zdołali uniknąć aresztowania.

M.P.: — *Więc nie przeznaczenie albo wrodzone kwalifikacje?*

B.B.: — *Chyba że uważasz, że ktoś przychodzi na świat predestynowany do walki, inny do myślenia, a jeszcze inny do bezmyślności? Oczywiście, rodzą się ludzie mądrzejsi, głębsi, a także upośledzeni umysłowo. I tylko w tym zakresie jesteśmy zdeterminowani.*

M.P.: — *Jaki wpływ na Twoje późniejsze losy wywarło pierwsze poważne życiowe doświadczenie, a więc Marzec 68?*

B.B.: — *A rzeczywiście! Jeszcze rok 1968. Zupełnie zapomniałem. To tak odległy czas. Widzisz, nawet okres „Solidarności” jest już dla mnie historią, okres korowski to zgoła prehistoria, a to, co wydarzyło się wcześniej, ginie gdzieś w mej pamięci: Żyję dniem dzisiejszym. O nim myślę, mówię. Tak, w 1968 roku miałem 19 lat. Przeszedłem wówczas taką inicjację, jaką przechodzi w pierwotnym plemieniu młody chłopak, by stać się mężczyzną. Przedtem czułem, że coś jest nie w porządku, no i kiedy zobaczyłem, jak moich rówieśników — uczniów i studentów — pałują na ulicach, bardziej odruchowo niż w wyniku głębszych przemyśleń zrobiłem ulotkę i z kolegami rozkolportowałem. Zostałem aresztowany. Ku zaskoczeniu, również własnemu, w areszcie rozwinąłem się fizycznie, bary mi wyrosły, o takie! Przede wszystkim jednak dojrzałem psychicznie. Podczas śledztwa, w więzieniu poznałem od kulis funkcjonowanie systemu. Zobaczyłem małość, nikczemność i kompletną bezideowość ludzi, którzy mnie przesłuchiwali. Oświadczyli wprost, że są urzędnikami i mają za zadanie wsadzić mnie do więzienia. Płacą im za to. Je-*

den twierdził nawet, że jeśli władza tylko każe, będzie wspierał opozycję, jemu wszystko jedno.

Wstrząsem był dla mnie list gończy, ogłoszony w miejscowej prasie, gdy uciekłem z transportu. Wtedy ukrywałem się po raz pierwszy.

M.P.: — *Gdzie?*

B.B.: — W lesie. Dosłownie w lesie. Przez pięć dni, z bochenkiem chleba. Koledzy się bali, nie miałem gdzie mieszkać. Noce były mroźne, rano wstawałem oblepiony przymarzniętymi liśćmi. Jakiś ksiądz, którego proszono by mi pomógł, zgodził się schronić mnie w podziemiach kościelnych. Pomyślałem, że wolę już więzienie, niż siedzenie dzień i noc między trumnami. Tak to sobie wyobrażałem. W liście gończym oczywiście nie podano, za co jestem poszukiwany, tylko zrobiono ze mnie „groźnego przestępcę”. A podczas rewizji w orłowskim Liceum Plastycznym, gdzie się uczyłem, w internacie, ubecy opowiadali niestworzone rzeczy, a to że ukradłem, a to że zgwałciłem. Bali się, żeby mi ludzie nie udzielali pomocy.

Z półtorarocznego więzienia (dostałem trzy lata, ale w 1969 objęła mnie amnestia) wyniosłem dużo doświadczeń i dlatego nie żałuję czasu spędzonego za kratami.

M.P.: — *Może więc powinieneś swój staż liczyć od 1968, a nie od 1975 roku?*

B.B.: — Nie. W sposób ciągły zająłem się działalnością opozycyjną od 1975 roku. Po wyjściu z więzienia po prostu wróciłem do szkoły. Jeszcze gdy siedziałem, zdałem — ku wściekłości ubeków obiecujących, że zgniję w kryminale albo co najmniej wylecę ze szkoły — do następnej klasy. Zawdzięczam to Adolfowi Popławskiemu, nieżyjącemu już nauczycielowi literatury. On właśnie wynalazł kruczek prawny, pozwalający promować ucznia, który w trzech okresach był dobrze oceniany, zaś ostatni okres opuścił... nie ze swej winy, i przeforsował pomyślną dla mnie decyzję na posiedzeniu Rady Pedagogicznej.

M.P.: — *Nie bał się?*

B.B.: — Czegóż jeszcze miał się bać człowiek, który jako były żołnierz wileńskiej AK przesiedział 12 lat w łagrze? Człowiek, którego w tym okresie jako „wroga ludu” wyparła się żona i córka? Nie raz opowiadał nam na lekcjach, co przeżył za drutami. Myślałem, że to też na mnie oddziaływało.

M.P.: — *Tryb życia, jaki od wielu lat — nieważne, 10-ciu czy 15-tu — prowadzisz wymaga chyba specjalnych predyspozycji?*

B.B.: — Fizycznych — może. Jeśli ktoś ma dobrą kondycję, łatwiej może ganiać, gubić obstawę, mniej się boi ewentualnych napaści czy zaczepek ze strony śledzących go ubeków. Natomiast psychicznych — raczej nie. Ja w każdym razie nie czuję się specjalnie naznaczony.

M.P.: — *Większość Polaków jest przeciw komunie, ale na ogół kontestuje tłukąc kapciami w telewizor. Co sprawia, że nieliczni nie zadowolają się taką formą sprzeciwu?*

B.B.: — Mogę mówić za siebie. Dla mnie pierwszą przyczyną była niezgoda na kłamstwo. Czemu jeszcze jako młody chłopak stanąłem po drugiej stronie? Bo ciekawiła mnie historia. Czułem, że kłamię, ale brakło mi dowodów. Dzięki historii je znalazłem. I wtedy nastąpił odruch moralny: chciałem powiedzieć prawdę. Ale mój sprzeciw wobec fałszu dotyczył nie tylko przeszlósności, lecz także współczesności. Widziałem, jak bito, krzywdzono, poniewierano ludźmi. I to wszystko w państwie klasy robotniczej, ludu pracującego. Trzeba było być ślepym, by nie dostrzegać różnicy między facetem, który rządzi — w kołnierzyku i krawacie — a robotnikiem w wyswinionym kombinezonie. Jasną dla mnie wskazówką, że mam rację, był grudzień 1970. Zapomniałem wcześniej o tym powiedzieć, a tu, na Wybrzeżu, grudzień tkwi w biografii każdego z nas.

Niezgoda na kłamstwo, która popchnęła mnie do działania, w dalszym ciągu jest motorem mojego postępowania. Ja się nie boję przeciwstawić. To znaczy ma do mnie dostęp taki zwykły, fizyczny strach, ale nie przytłumia on chęci walki. Sądzę, że ludzie, którzy zachowują się obojętnie, widząc jak innych gnębją, biją, wsadzają do więzienia, będą — prędzej czy później — mieli kaca moralnego. Mogą sobie z tego dziś nie zdawać sprawy, ale kiedyś ich własne dzieci każą im zdać rachunek. To dotyczy nie tylko tak zwanej milczącej większości, ale także zdeklarowanych zwolenników komuny: oficerów, policjantów. Słyszałem o wypadkach, kiedy w czasie stanu wojennego syn pluł na ojca w mundurze.

M.P.: — *Za wszystko trzeba płacić. Za przyjęcie opozycyjnego modelu życia też. Ludzie z Twojego pokolenia, między trzydziestką a czterdziestką, porobili kariery zawodowe, założyli rodziny, dorobili się mieszkań, samochodów. Nie żal Ci tego?*

B.B.: — Sam powiedziałeś, że za wszystko trzeba płacić. Gdyby

nie ta cena, sprawa byłaby prosta — całe społeczeństwo działałoby w opozycji. Jeśli czegoś mi żal, to głównie życia osobistego. Mniej kariery, bo cóż za karierę mógłbym zrobić?

M.P.: — *No, jako historyk. Jesteś dziesięć lat z tyłu za rówieśnikami ze studiów...*

B.B.: — O ile pracują w swoim zawodzie. A takich jest, pamiętaj, maksimum 20 %. Najwięcej historyków pracuje w policji. Wolę już być zawodowym rewolucjonistą niż zawodowym policjantem. Poza tym nie studiowałem dla kariery, tylko by się czegoś dowiedzieć. A więc nie mam uczucia, że pogrzebałem jakieś wielkie szanse. Co innego z życiem osobistym. Choć przyznaję, przyzwyczałem się do stanu kawalerskiego. A zarazem, choć ma on swoje plusy, ciągnie mnie do rodziny. W moim wieku takie tęsknoty są całkiem normalne. Wcale nie urodziłem się na bojownika, sytuacja mnie wykreowała. A ponieważ przełomowy punkt dla mojego życia wypadł dość wcześnie, nie bardzo wiem, co straciłem.

M.P.: — *Może to właśnie jest najgorsze?*

B.B.: — *Starałem się i staram żyć w miarę normalnie.*

M.P.: — *Co to znaczy „w miarę normalnie”? W Twoim kalendarzu rubryka każdego dnia wypełniona jest bez reszty.*

B.B.: — *Zapisków nie jest tak dużo. Nie będę dokładnie zdradzał ile, ale wiadomo, że dziennie można odbyć ze dwa spotkania, jeśli mają one coś dać. Po nich jest człowiek zbyt zmęczony, by następne przyniosły efekt. Dziś, po tak długim czasie ukrywania się, każdy z nas usiłuje żyć normalnie w sytuacji nienormalnej. Jakie mechanizmy obrony wykształciły się w nas i umożliwiły adaptację, to już sprawa dla psychologa. Mówię: ja usiłuję żyć normalnie.*

M.P.: — *Powtarzam więc: co to znaczy?*

B.B.: — *Normalnie śpię, jem, nie siedzę w piwnicy, mam rozrywki i jednocześnie pracuję też w sposób normalny. Rozkładam robotę, żeby się nie piętrzyła, bo denerwuje mnie tak zwany nawał pracy. Czyli...*

M.P.: — *... jakbyś chodził do biura?*

B.B.: — *Nie, nie. Po prostu moim działaniom nie towarzyszą emocje, dreszczyk.*

M.P.: — *Rutyniarstwo też jest niebezpieczne.*

B.B.: — *Zdaję sobie sprawę. Ale chyba mi ono nie grozi, bo — jak sam zauważyłeś — spóźniam się, na przykład.*

M.P.: — *W porównaniu z wieloma „nielegalnikami” Twoja sytuacja osobista, mimo trwałych związków z bliską Ci osobą, była do niedawna komfortowa. Teraz uległa ona zmianie. Zostałeś ojcem. Jak czujesz się jako młody tata?*

B.B.: — *Bardzo dobrze! I to dowód mojej normalności. Kiedyś tam, gdy rozpoczynaliśmy działalność, niektórzy reprezentowali postawy heroiczne, a właściwie heroikomiczne: zakonnika rewolucji, co to poświęca się dla Sprawy, nie ma bliskich, takiego, wiesz, Dzierżyńskiego. Bzdura. Może Dzierżyński tak żył, trudno mi powiedzieć, ale wiem, że np. Waryński miał życie osobiste bogate, choć — jak mówią jego biografowie — „nieuporządkowane”. Ja zaś dążę, by moje maksymalnie uporządkować i nie mam zamiaru odgrywać spiżowego bojownika. Rodzina powiększyła mi się, można rzec, planowo. Są oczywiście związane z tym dodatkowe kłopoty, obciążenia, ale niezależnie od tego, co przyszłość przyniesie, chciałem mieć dziecko.*

M.P.: — *Jeśli sytuacja polityczna pozostanie bez zmian, nie będziesz mógł normalnie uczestniczyć w rozwoju Twojego dziecka, tak jak ojciec powinien.*

B.B.: — *Nie będę. Ale marynarz z linii dalekowschodniej też widuje rodzinę raz, dwa razy w roku. Specyfika zawodowa.*

M.P.: — *Na ile to, że masz dziecko może wpłynąć na Twoją działalność opozycyjną?*

B.B.: — *Nie widzę żadnego związku.*

M.P.: — *Ale masz ochotę wrócić do domu, wziąć wózek i pojechać na spacer?*

B.B.: — *Naturalnie. Jeżeli jednak przekroczyło się pewną linię graniczną, w zasadzie nie ma odwrotu.*

M.P.: — *Powiedziałeś to dziewczynie?*

B.B.: — *Tak.*

M.P.: — *I co?*

B.B.: — *Nic. Wszystko w porządku. Powiedziałem to na grubo*

przed urodzeniem dziecka i dziewczyna nie miała żadnych złudzeń. Dziewczyna a raczej żona, bo czuję się z nią związany nie tylko uczuciowo, choć bez pieczętka. Poza tym, pamiętaj, że wcześniej też miałem bliskich i nie wpływało to na moje decyzje.

M.P.: — *Rodzice czy rodzeństwo to jednak co innego.*

B.B.: — Moja mama jest koło 70-ki, a ojciec jeszcze starszy. Razem z matką mieszkalem i widzialem, jak boi się o mnie. Jeśli ktoś nie chce działać, zawsze znajdzie jakieś wytłumaczenie — matka, ojciec, żona, dzieci, choroba, studia, kariera.

M.P.: — *A zatem zmiana Twojej sytuacji osobistej nie zmieni Twoich poglądów również w dyskutowanej obecnie kwestii ewentualnego rozwiązania TKK i ujawnienia jej członków?*

B.B.: — Nie zmieni, choć sądzę, że w pewnych warunkach TKK może się rozwiązać. Przede wszystkim musi istnieć możliwość podjęcia działalności jawnej (przynajmniej w takim stopniu tolerowanej, jak za czasów Gierka) przez zespół, który przejmie rolę TKK. W skład zespołu powinni wejść członkowie dawnej Komisji Krajowej.

M.P.: — *Czy spełnienie tego warunku jest realne?*

B.B.: — Rozwiązanie, o którym mówię, ma dla władzy pewne pozytywy. Zapewnia jej możliwość lepszej kontroli opozycji, przynosi nadzieje na cofnięcie sankcji. Ale stawiamy też drugi warunek: wypuszczenie reszty więźniów politycznych. Inaczej nasze ujawnienie w ogóle nie wchodzi w rachubę. Jaruzelski powinien się nad tym poważnie zastanowić. Ma szansę do końca grudnia.

M.P.: — *On twierdzi, że to Wy macie szansę, o ile oczywiście weźmiecie na plecy powielacze, a w kieszeń adresy współpracowników.*

B.B.: — Jeżeli nie zostanie stworzona płaszczyzna do pracy jawnej, jesteśmy zdecydowani działać dalej, dopóki nas nie wyłapią, a nawet powiększyć skład i zaktywizować robotę.

M.P.: — *Jaruzelski parokrotnie zapewniał, że nie ma powrotu zarówno do czasów przedgrudniowych jak i przedsierpniowych, czyli wedle oficjalnej wykładni: do anarchii mas i woluntaryzmu władzy, a wedle nieoficjalnej: zarówno do modelu opozycji nielegalnej, lecz jawnej i tolerowanej przez państwo, jak i do legalnej*

na wzór „Solidarności”. Czy nadzieje na zmianę jego poglądów w tej sprawie nie są złudne?

B.B.: — Rozumiem, że Jaruzelski i Rakowski chcieliby spijać wyłącznie śmietankę swej władzy, ale rządzenie to nie tylko przyjemność rozkazywania. Trzeba mieć jakąś perspektywę polityczną. Jeżeli ma nią być policyjne zniszczenia podziemia, to po dwu i pół roku powinni wiedzieć, że to perspektywa mglista. Po pierwsze podziemie to nie tylko kilka osób, które podpisują oświadczenia, po drugie — nawet wyłapanie tych kilku osób sprawia bezpieczeństwo dużych kołopot.

M.P.: — *Tym niemniej łapią.*

B.B.: — Ale na miejsce aresztowanych ciągle wchodzi nowi. Tak więc samolikwidacja czołówek byłaby, jak myślę, dużym profitem dla władzy. Ale musi ona przystać na nasze warunki. Dopóki nie przystanie, istnienie TKK ma sens. No i dopóki będzie nas popierać społeczeństwo.

M.P.: — *Z kilkoma osobami, które usiłowały podjąć działalność jawną przeprowadzono rozmowy ostrzegawcze, zaś Frasyński i Piniór kolegium ukarało aresztem. Niedługim co prawda, na skali represji lokującym się gdzieś między Gierkiem a WRON-ą. Nie 48 godzin, nie 48 miesięcy — 48 dni. To raczej sygnał negatywny.*

B.B.: — Wedle przepisów PRL-owskiego prawa sąd powinien cofnąć im amnestię. Władza wybrała kolegium, czyli nie chce iść na całość.

M.P.: — *Jest i drugie ostrzeżenie w postaci projektu ustawy o banicji.*

B.B.: — Zgadza się. Ale TKK powinna myśleć o sposobach wyjścia z sytuacji i próbować. Jeśli się nie uda, zawsze pozostaje dalsza konspiracja.

M.P.: — *Jeśli dojdzie do rozwiązania TKK, a potem nastąpi zaostrzenie kursu, to ewentualne odtworzenie struktur będzie niezwykle ciężkie.*

B.B.: — Musimy uzyskać gwarancje prawne.

M.P.: — *Czy likwidacja TKK nie sprawiłaby wrażenia kapitulacji i nie wpłynęłaby ujemnie na opór społeczny?*

B.B.: — W pierwszym okresie chyba tak. I przecież władza idąc na kompromis na to by liczyła. Dla nas też nie ma absolutnie dobrego rozwiązania. Pamiętaj, że przez długi czas TKK dzięki samemu istnieniu wpływała na społeczeństwo hamująco. Gdyby nie TKK, po której ludzie spodziewali się hasła do wybuchu, taki wybuch mógł w stanie wojennym nastąpić kilkakrotnie. Klasyczny przykład naszej roli hamulcowego, to strajk w październiku 1982, po delegalizacji związku. Ale i w innych momentach stopień mobilizacji społecznej był bardzo wysoki. Jeśli jednak w powszechnej świadomości istniał zespół, który miał dać sygnał, ludzie na ten sygnał czekali. Do połowy 1983 roku społeczeństwo spodziewało się decyzji, których TKK nie była w stanie podjąć.

M.P.: — *Dlaczego?*

B.B.: — Bo nie potrafiła udźwignąć odpowiedzialności za ewentualną przegraną. Dlatego jeśli będziemy dalej konspirować, musimy rozszerzyć nasze grono. W obecnym składzie żadna z koncepcji nie bierze góry, więc dominuje ta: trwanie, działanie, długi marsz. Ale marsz musi mieć cel.

M.P.: — *Ten cel jest w świadomości społecznej zatarty.*

B.B.: — W naszej też. Więc trwamy, rozwijamy poligrafię i to wszystko. Opór społeczny będzie słabnął. Nigdy fala rewolucyjna nie utrzymuje się dłużej niż 2-3 lata. U nas i tak wolno opada. Ruch społeczny jest w stanie wygrać z organizacją państwową tylko na krótką metę. Musimy więc wiedzieć, jak długo trwać.

M.P.: — *Skoro likwidacja TKK byłaby aktem nieodwracalnym, czy nie lepiej zamiast alternatywy „podziemie albo opozycja jawna” przyjąć wariant dwubiegunowy?*

B.B.: — Trzeba uzupełniać jedno działania drugimi, wciskać się we wszystkie przestrzenie, gdzie można coś rzetelnie zrobić dla społeczeństwa. Problem jednak w tym, co ma być dominantą, gdzie umiejscowić autorytet koordynujący, bo ludzie nie będą wiedzieli, kogo słuchać. Trudno zaś precyzyjnie wytyczyć niepokrywające się obszary działań podziemia i opozycji jawnej. Oba ośrodki prędzej czy później zaczęłyby konkurować.

M.P.: — *Do tej pory członkowie TKK i Wałęsa przemawiali w zasadzie jednym głosem. Dlaczego obecnie obawiasz się dysansu?*

B.B.: — Z Wałęsą mogliśmy dograć wszystko. Zespół złożony z większej grupy działaczy Komisji Krajowej będzie rządzić się własną wewnętrzną dynamiką. Względy socjologiczne, psychologiczne i czysto techniczne sprawią, że nasze drogi się rozejdą.

M.P.: — *Może więc zamiast rozwiązać TKK lepiej ją wzmocnić?*

B.B.: — W przypadku dalszej działalności personalne wzmocnienie TKK i ogień regionalnych będzie niezbędne.

M.P.: — *Ale niezbędne są też nowe pomysły.*

B.B.: — Te przynoszą nowi ludzie. Warto jednak sięgnąć i po stare pomysły, które się sprawdziły, jak na przykład aktywizacja prasy zakładowej. Tam gdzie wychodziła i wychodzi gazetka, „Solidarność” żyje, tam gdzie Tajna Komisja Zakładowa zbierała się tylko na posiedzenia, działalność zaczęła zamierać. Po pewnym czasie każdy z członków Komisji znał już poglądy pozostałych. Podobnie jak my w TKK. Gdybyśmy nie publikowali oświadczeń, w ogóle przestalibyśmy się zbierać. I tak podstawową robotę wykonuje się w regionach. Na początku stanu wojennego TKK-y spotykały się regularnie, debatowały, ale jeśli nie ogłaszały plonów swej dyskusji, co mądrzejsi dochodzili do wniosku, że na próżno tracą czas. W każdym większym przedsiębiorstwie musi więc wychodzić gazetka. One organizują opór. Redagując, drukując i kolportując ludzie zyskują poczucie współczesności.

M.P.: — *Jak oceniasz obecnie poparcie społeczne?*

B.B.: — Na podstawie wyborów do rad narodowych (w Trójmieście głosowało nieco ponad 50 % uprawnionych) twierdzę, że jest ono widoczne. Ale aktywność, jak mówiłem, będzie słabła. Oczywiście do pewnego momentu krytycznego, po którym gwałtownie wzrośnie, zmierzając do kolejnego wybuchu.

M.P.: — *Co powinniśmy w związku z tym stawiać za cel?*

B.B.: — Utrzymanie oporu społecznego.

M.P.: — *Ale opór jest środkiem...*

B.B.: — Obecnie powinien być naszym celem. Nie będę przecież mówił po raz 366 o strajku generalnym, do którego już dawno należało doprowadzić i albo wygrać, albo przegrać. Nie powiem też, że znowu należy wystąpić pod adresem władzy z 588 ofertą kompromisu i poważnych negocjacji. Zamiast określać

cele generalne, trzeba, moim zdaniem, wskazywać cele cząstkowe, możliwe do realizacji. Przejść od całkowitego bojkotu do częściowego uczestnictwa w tych konkretnych inicjatywach, na które można wywrzeć wpływ. Czekają nas wybory do rad pracowniczych. Jeśli się w nie włączymy, zyskamy szansę przekształcenia samorządów w autentyczne ciała społeczne. Oczywiście władza może rady rozwiązać i zastąpić KSR-ami. Ale na KSR-ach reforma daleko nie zajędzie, choćby Baka nie wiadomo co o niej mówił. Zapis ustawy dotyczący samorządów jest bardzo korzystny. Możliwe, że Jaruzelski go zmieni, czego domagają się wronie związki, oburzone szczupłością własnych prerogatyw i szerokością uprawnień rad. Ale według mnie powinniśmy robić takie posunięcia, których i akceptacja, i zniszczenie będzie dla władzy niewygodne. Likwidacja rad skompromituje władzę, tolerowanie ich doprowadzi do uzyskania przez załogi realnego wpływu na zakłady.

M.P.: — *Obok prezentacji celów cząstkowych potrzebne są jednak odpowiedzi na pytania generalne. Ludzie chcieliby wiedzieć, czy walczyć jeszcze o „Solidarność”?*

B.B.: — Walczymy. Absolutnie nie czas na rezygnację z „Solidarności” jako organizacji, choć takie tendencje widać wśród części działaczy. Zastąpienie „Solidarności” jakimś nieokreślonym „pluralizmem” uważam za błąd. „Pluralizm” jest dobry, gdy mówi się o nim w sposób ogólny, mając na myśli „Solidarność”, nie wtedy, gdy podtekście jawi się jakiś inny związek, nazwany „Praca”, „Rozwaga” czy zgoła „Dyscyplina”. Życie jawne powinno się koncentrować w samorządach, a nie w nowych związkach. Można co najwyżej spróbować „na rybkę” stworzyć w jakimś zakładzie grupę inicjatywną i poczekać na reakcję władzy.

M.P.: — *Co sądzisz o próbach zorganizowania katolickich związków zawodowych, podejmowanych przez Kazimierza Świtonia?*

B.B.: — Jestem pełen podziwu dla samozaparcia Świtonia, ale jeśli ktoś podejmuje taką akcję, używając w dodatku głódówki jako środka nacisku, powinien zapytać Kościół o zdanie. Można zwyciężyć władzę. Mając przeciw sobie i władzę, i Kościół, można co najwyżej leżeć i głodować.

M.P.: — *Uważasz, że można zwyciężyć władzę?*

B.B.: — Tak. Myślę również, że władza nie jest ślepa. MSW ma orientację w skali oporu. Skutkiem tego oporu były dwie

przecież amnestie: rok po roku. Komuna zdaje sobie sprawę, że samymi metodami policyjnymi społeczeństwa nie spacyfikuje.

M.P.: — *Dlaczego więc wypuścili z więzień wszystkich „politycznych” i nie zamknęli nam ust?*

B.B.: — Może dlatego, że musieliby oddać punkty w walce frakcyjnej, którą widać nawet w prasie i w telewizji? Prawdopodobnie nie mogli pójść na całość. Tak czy owak popełnili błąd polityczny, po raz kolejny zresztą.

M.P.: — *Czy władza podejmująca wyłącznie połowiczne decyzje będzie zdolna do akceptacji dużego ryzyka związanego z jawnym działaniem członków „Solidarności”, wszystko jedno, w jakiej formie?*

B.B.: — Gdybym był teoretykiem, odpowiedziałbym: nie wiem. Ale jako praktyk mówię: trzeba spróbować.

Rozmawiał Marcin POLNY
(wywiad autoryzowany)

Gdańsk, 1 września 1984

Coś się przecież musi zdarzyć

Nie jest tajemnicą, że niezależny ruch chłopski w Polsce był i jest mocno rozczłonkowany. Toteż trudne jest opisanie jego aktualnego stanu w skali ogólnopolskiej.

Inaczej sprawy się mają na Podhalu, inaczej na Rzeszowszczyźnie i Lubelszczyźnie, a odmienny charakter ma konspiracja chłopska w zachodniej części Polski; wszędzie na ogół występują silne powiązania z konspiracją w miastach.

Dodatkowa trudność ogarnięcia całości obrazu wypływa z rozczłonkowania ruchu chłopskiego, jakie nastąpiło po wprowadzeniu stanu wojennego w kraju i zejściu ruchu do podziemia. Zajmijmy się więc tą częścią podziemia chłopskiego, która swój rodowód wywodzi z dawniejszej „Solidarności Chłopskiej”, wchłoniętej na Zjeździe Zjednoczeniowym w Poznaniu (1981) w ogólnopolski NSZZ RI „Solidarność”. Geograficznie obejmuje ona Kujawy z całym Włocławskiem, duże partie Toruńskiego, Bydgoskiego i część Wielkopolski oraz Dolnego Śląska wraz z całą Opolszczyzną, tudzież — inne regiony.

Generalnie ruch oporu na wsi jest słaby i — można rzec — ciągle jeszcze w powijakach, na skutek braku jasnego i realnego programu dającego rzeczywistą nadzieję i przez to organizującego oraz podtrzymującego konkretne działania.

Dotychczasowe myślenie o przyszłości organizuje się wokół dwóch haseł: doraźnie — przetrwać, perspektywicznie — tworzyć fundamenty, aby być przygotowanym na przyszłość (ale jaką?!, w jakim dającym się przewidzieć czasie?!).

Te dwa hasła, czasami szumnie zwane „programem”, powtarzają się jak *leitmotiv* przy każdym spotkaniu, w każdym środowisku wiejskim.

Kiedy twierdzi się, że opozycja na wsi jest słaba, bo nie ma rzeczowego programu (a może mieć go nie może ze względu na faktyczną niemożność, nie tylko przez brak wyobraźni i idei?), a przez to jest niewielka liczebnie, to nasuwa się myśl, że wynika to także z chłodnej, realistycznej — chciałoby się powiedzieć „gospodarskiej” — kalkulacji, której podstawą jest ekonomika przetrwania: „nie czas jeszcze, nie należy się bezproduktywnie szarpać”. Jest to wyjaśnienie oparte o mentalność i tzw. „psychologię chłopską”.

Innym punktem odniesienia dla oceny siły konspiracji chłopskiej jest okres tworzącej się po Sierpniu ogólnopolskiej organizacji NSZZ RI „Solidarność”.

Tu wchodzimy w gąszcz nieporozumień, wynikłych z niezajomości wsi przez ogół społeczeństwa (zarówno w kraju jak i tu na emigracji) geografii i siły ruchu chłopskiego. Obraz deformowało dodatkowo wyolbrzymianie rozmiarów, znaczenia i sprawności organizacyjnej „Solidarności” wiejskiej.

Na Zachodzie, który nie miał kontaktu z codziennym życiem wiejskiego związku, tłumy chłopów przed sądem na Lesznie w Warszawie, manifestacje żądające rejestracji, głodówki itp. musiały robić ogromne wrażenie. My sami dodawaliśmy im ogromu, jak gdyby chcąc zdetonować bolszewika. Niestety, ofiarą tej auto-propagandy padali nie komuniści, którzy mieli doskonałe rozeznanie, lecz często sami działacze. Wieś żywo interesowała się „Solidarnością” nie tylko chłopską, lecz także robotniczą, bacznie obserwowała przemiany, ostrożnie kalkulując, co się da uzyskać i na jak długo, ale zainteresowanie a powszechność uczestnictwa w ruchu to dwie różne kwestie.

Wszystko więc sprowadza się do tego, jaką miarę przyłoży się do tamtego okresu.

Nurt był żywy i wartki, a miejscami nawet żywiołowy, ale nie tak powszechny i wcale nie tak ogólnopolski jakby się zdawało (prześledzenie geografii oraz podłoża historyczno-socjologicznego aktywności chłopów wydaje się obecnie bardzo trudne, choć oczywiście jest to zagadnienie pasjonujące).

Owszem, szybko powstawały koła wiejskie, ale na tym poziomie impet organizacyjny się wytracał i koła gminne już wolniej, a struktury regionalne często wegetowały w oparciu o „Solidarność” miejską. Jeśli natomiast miernikiem aktywności

Związku miałyby być świadczenie składek na OKZ, to zwartość szeregów wyglądała mizernie.

Po założeniu kół, a właściwie od początku, celem strategicznym ruchu była jego rejestracja i prawne uznanie przez państwo. Problem prawnego usankcjonowania Związku przesłonił wszystko, w szczególności brak zdecydowanego programu, możliwości finansowych, technicznych, lokalowych, organizacyjnych itp. Spektakularnym przykładem może być niezatawna sprawa ogólnopolskiego pisma *Solidarności rolników*. Skłócony i rozczłonkowany wcześniej ruch na okres kampanii o rejestrację połączył się (skonfederował), *nota bene* odbyło się to w dramatycznej oprawie i okolicznościach, ale sojusz był chwilowy.

Ruch wiejski był skłócony w sposób najgorszy z możliwych, tzn. na mocy zadawnionych antagonizmów i resentymentów o często tragikomicznym podłożu: np. na Lubelszczyźnie, często w tych samych wsiach — istniały dwie, identyczne z nazwy „Solidarności” chłopskie, tyle że jedna składała się z „kułaków”, a druga z... „biedniaków”.

Odezwały się stare urazy „rozbiorowe”, np. „Kongresowiacy”, „Galicjanie”, „Prusacy” itp. To znowu jakaś okolica fatalnie spięła się w okresie kolektywizacji i już drugie pokolenie było wykłete.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że zebranie i opracowanie tych konfliktów nie leży w gestii historyków czy socjologów, lecz Sławomira Mroźka. Tak czy inaczej skłócenie nie niosło za sobą tzw. twórczej rywalizacji, ponieważ mniej spierano się o program działania czy koncepcje ideologiczne, a więcej tracono czasu na wzajemne podchody i oskarżenia. Dochodziło do takiego zapamiętania w tych sporach, że zapomniano o wspólnym wrogu. Oczywiście bezpieka próbowała — i wydaje się, że skutecznie — uprawiać to poletko chłopskich antagonizmów. Mimo całej swojej nieufności chłopci okazywali się niestety często podatni na tzw. „fałszywkę”.

Szczególnie antysemicka nuta, na której grała SB, oraz dopisywanie czystych intencji Jaruzelskiemu i mundurowi LWP znalazły pewien oddźwięk. Z kolei możliwości poligraficzne „Solidarności” wiejskiej były nader skromne i uzależnione niemal całkowicie od „Solidarności” miejskiej.

Po rejestracji chłopskiego związku (12 maja 1981) nastąpił na wsi okres wyciszenia (wyszło zmęczenie szarpaniną o prawne uznanie „Solidarności Rolników Indywidualnych” oraz wejście w okres intensywnych prac polowych), za to „na górze” odżyły ze zdwojoną energią rozgrywki między przywódcami. Wszystko wskazywało na to, że NSZZ „Solidarność” RI ma niewielkie szanse na dłuższe przetrwanie w tym kształcie, brak było jasno sformułowanego realistycznego programu i jego realizacji. Od maja (rejestracja) do grudnia 1981 trudno by się dopatrzeć nawet spektakularnych sukcesów NSZZ „Solidarność” RI: wieś niczego nie uzyskiwała. Najbardziej palące problemy, jak uznanie prawne własności ziemskiej, ustawa o samorządzie na wsi czy o spół-

kach i spółdzielczości były blokowane przez władze i odsuwane *ad calendas Graecas* (a raczej do 13 grudnia, kiedy to komuniści za jednym zamachem załatwili wszystkie swoje problemy).

Znamienne, że przy wszystkich silnych tendencjach separatyistycznych w łonie NSZZ „Solidarność” RI nie pojawiło się ugrupowanie, które byłoby zdolne „od zaraz” przeobrazić się w partię chłopską o wyraźnym i czytelnym programie na najbliższą i dalszą przyszłość.

Kiedy 13 grudnia internowano przywódców, chłopski ruch związkowy zamarł, odżyły za to konspiracyjne umiejętności i doświadczenia wsi polskiej.

Wielu chłopskich działaczy starszego pokolenia miało za sobą rodowód AK-owski, wielu młodszych wywodzi się z rodzin o tradycjach niepodległościowych.

Upraszczając nieco, można by wyodrębnić na wsi trzy podstawowe grupy działaczy konspiracyjnych:

Pierwsza — o największym stopniu wtajemniczenia — to działacze na skalę ogólnopolską, wcześniej b. aktywni przy tworzeniu „Solidarności”, najczęściej byli internowani, mają kontakty i powiązania z różnymi kręgami konspiracyjnymi w całym kraju. Posiadają szeroką wiedzę ogólną i głębsze zainteresowania, często — szczególnie ci młodszy — są po studiach, głównie rolniczych. Tutaj prawie regułą jest posiadanie dużego, nowoczesnego warsztatu — gospodarstwa rolnego, często wspólnie z ojcem lub bratem. Rozpiętość wieku różna, ze sporą jednak przewagą ludzi młodych, starsi to głównie PSL-owcy.

Druga — to działacze na miarę gminy i regionu, często dointernowywani w późniejszych terminach, wielu ma za sobą sprawy i wyroki w procesach politycznych. W tej grupie przeważają zdecydowanie ludzie młodzi.

Trzecia — to aktywna politycznie część społeczności wiejskiej, która spotyka się wieczorami i czytuje „bibułę”, uczestniczy w mszach religijno-patriotycznych w pobliskim mieście. Spotkać ich można na procesach politycznych działaczy chłopskich. Tutaj przekrój wieku nie jest taki wyraźny, przeważają raczej starsi rolnicy (mniejsze możliwości mobilne, niezbyt duża wiedza ogólna i polityczna ograniczają ich aktywność do rejonu swojej i sąsiedniej wsi), ale trafiają się i wytrawni politycy, którzy świadomie ograniczają działalność do obrębu swojego otoczenia.

Stopień wiedzy i wtajemniczenia w meandry konspiracji i umiejętność oceny aktualnej sytuacji społeczno-politycznej są w tych trzech grupach bardzo różne.

Działacze grupy pierwszej są najczęściej mocno inwigilowani przez UB i dlatego są szczególnie ostrożni. Ubocznym zjawiskiem takiego stanu rzeczy jest spora hermetyczność tej elitarnej grupy: tutaj zwłaszcza widoczne są tendencje do „szanowania” tajemnic i wiedzy konspiracyjnej dla potrzeb swojej „kasty”, tutaj bariery nieufności wobec obcych są największe. Trochę to wyizolowuje tę grupę i stawia ją ponad społecznością wiejską, ale to ci właśnie działacze mają „kontakty na bibułę”, którą

z kolei rozprowadzają ludzie z drugiej i trzeciej grupy. Zapotrzebowanie na bibułę na wsi jest ogromne, środowisko wiejskie jest bodaj najbardziej chłonne jeśli idzie o niezależny tytuł: pismo czy książkę. Największym zainteresowaniem cieszy się najnowsza historia PRL, stosunki polsko-sowieckie i oczywiście wszystko co dotyczy wsi. Nieliczne podziemne gazety chłopskie (poza chyba jedną *Placówką*) wychodzą nieregularnie, mają niewielki zasięg i nakład, często kiepski poziom.

Częściej można spotkać na wsiach — zwykle tutaj drukowane — ulotki jednorazówki, apele, odezwy, listy otwarte. Słowo niezależne docierało na wieś i było drukowane (głównie ramką) już od początku stanu wojennego. Również za sprawą drugiego i trzeciego rzutu działaczy wieś organizowała pomoc — poprzez Kościół — dla rodzin więzionych działaczy „Solidarności”. Prawie zawsze gospodarstwo internowanego rolnika znajdowało się pod życzliwą opieką sąsiadów i działaczy „Solidarności”.

Na wsiach panuje na ogół przychylny klimat dla opozycji, duży stopień gotowości do niesienia pomocy krzywdzonym, a często tylko braki organizacyjne czy transportowe nie pozwalają w pełni wykorzystać tej chłopskiej ofiarności.

Spółeczność wiejska ma bardzo wyraźny przekrój i czytelny stopień wzajemnego zaufania, bo w sumie wszyscy tutaj się znają. Stąd np. bardzo bezpieczny jest obieg bibuły, ale już trudniej zorganizować dyskretnie większe zebranie konspiracyjne, czy np. afiszować się gośćmi przybyłymi spoza terenu.

Na obrzeżach tejże społeczności funkcjonuje typ proreżymowego działacza wiejskiego; najczęściej są to ludzie, z których niewielkie synekurki (kierownik szkoły, GS-u, zlewni mleka, gmina, posterunek MO itd.) czynią wiernych pretorianów PZPR-u. Bardziej szkodliwym i powszechnym zjawiskiem jest instytucja aktywnego wiejskiego szpicla — ORMO-wca; takiego zawodowego donosiela można znaleźć w każdej niemal wsi.

Osobną pozycję w tym tradycyjnym już układzie wsi polskiej zajmuje Kościół; ideałem jest, jeśli wieś ma mądrego, politycznie wyrobionego proboszcza czy wikarego, któremu przełożony nie przeszkadza i nie nakłada hamulców. Jeżeli o takiego duchownego jest trudno na wsi, to prawie zawsze można znaleźć takiego kapelana „Solidarności” w pobliskim mieście — „powiecie”.

Najbliższe miasto (tenże powiat) jest oparciem i zapleczem dla działaczy wiejskich. Tutaj w oparciu o „przedwojenne” powiązania solidarnościowe czy powiązania rodzinne — często są to całe klany rodowe — tworzy się sieci konspiracyjne, a głównie wspomagające. Inną, kapitalną rolę spełniają wielkie ośrodki miejskie; charakterystyczne, że teraz w warunkach podziemia zmaterializowała się z powodzeniem idea powołania makroregionów. Ta tendencja, bardzo żywa w pewnym okresie jawnego funkcjonowania Związku, miała swoich zaciekłych przeciwników i zagorzałych zwolenników. Ciekawe, że w warunkach konspiracji nie tylko „Solidarność” robotnicza musi się oprzeć o te makro-

regiony, ale i konspiracja wiejska musi się do nich „przytulać”. Autentyczny solidaryzm w warunkach wyższej konieczności, zanik dawnych antagonizmów między działaczami wiejskimi i tymi z wielkiej „Solidarności” to niewątpliwy pozytywny wkład wojny polsko-jaruzelskiej. Sztandarowym przykładem może być „Solidarność Walcząca”, która ma niejako wpisana w swój program pomoc dla podziemia na wsi i skutecznie ją realizuje.

Innym świadectwem chłopskiej aktywności konspiracyjnej, a raczej zapobiegliwości, są poczynione przygotowania do prywatnej wojny chłopa-rolnika z komuną na wypadek przymusowych kontrybucji, głównie w postaci różnych skrytek i schowków na zboże.

Niepokojącym faktem jest, że rolnicy wyzbywają się inwentarza (hodowla najczęściej jest nieopłacalna na skutek zbyt dużych wahań cen na rynku, brak pasz mineralnych, prowitów itd.), bardzo często ci najbardziej świadomi rolnicy i działacze żyją tylko z uprawy roli, wyprzedają zboże i siano, a w dużych obrotach trzymają jedną krowę-żywicielek (klasyczny układ wojenny).

Działacze na wsi nie mają ochoty ani motywacji do rozbudowy gospodarstw, raczej chodzi tylko o utrzymanie w porządku tego co jest. Znacznie zmalało (tak żywe w 1981 roku) zjawisko wykupu ziemi od państwa.

Aktywny działacz „Solidarności” na wsi musi mieć świadomość (bezpieka daje mu to odczuć), że w każdej chwili może wrócić za mury. Realność tej groźby i fakt, że nie może liczyć na łaskawe oko naczelnika gminy przy rozdziale maszyn czy materiałów budowlanych (i tutaj UB patrzy na ręce urzędnikom) powoduje, że taki rolnik przestaje myśleć kategoriami przyszłościowymi.

Działacze chłopski z reguły nie wyjeżdżają na Zachód, niewiele wyjechało do tej pory, a i nie byli to ci z pierwszych szeregów konspiracji.

Zdarza się jednak — wśród młodych — myśl o emigracji. Był okres, że grupa młodych i energicznych działaczy robiła przygotowania do wyjazdu do Kanady. Była to raczej rekreacja w myśleniu, pozostawienie sobie pewnej furtki w codziennej szarpaninie.

Najbardziej odczuwalny jest na wsi nastrój powszechnego oczekiwania, że coś się w końcu musi wydarzyć, bo tak daleko żyć nie sposób.

Większość obserwuje wydarzenia w kraju chłodnym i racjonalnym okiem, widzi stale postępującą destabilizację gospodarki komunistycznej i wie, że to się w końcu musi rozsypać.

Chłopi tego oczekują tak jak się oczekuje wiosennego wiatru i burzy, które czasem niszczą — najczęściej to, co stare i zmusza — ale przynoszą również nowe życie.

I właśnie: brak jakiegos programu na dzisiaj i na najbliższe jutro, zanim przyjdzie ten wiosenny wiatr...

Takim załącznikiem programu czy raczej tylko wstępem do niego

mogłyby stać się dobrze zorganizowane i realizowane fundacje — prywatne i kościelne. Wśród działaczy wiejskich sporo ostatnio dyskutowano o projekcie fundacji prywatnych. Fundacje takie mogłyby działać w oparciu o pomoc finansową i rzeczową od organizacji zachodnich (partii i związków — głównie chłopskich i chrześcijańskich), a przygotowaniem i kierowaniem tą pomocą miałyby zajmować się aktywny komitet na emigracji.

Równocześnie należałoby powołać w Polsce specjalne komitety do rozdzielnictwa tych darowizn — trzeba by i tutaj skorzystać z pomocy Kościoła.

Gdyby władze PRL chciały blokować fundację, wtedy obowiązywałby model 1+1: nadawca z Zachodu (osoba fizyczna) do odbiorcy w kraju — konkretne gospodarstwo rolne. Pomoc tę w pierwszym rządzie kierowano by do rolników, działaczy „Solidarności”, ale podstawowym kryterium oceny takiego działacza musiałyby być wyniki gospodarcze, gwarancja, że w takich rękach pomoc ta najszybciej będzie procentować, a nie zasługi „wojenne” czy względy altruistyczne.

Trudno by jednak tak skonstruowanej fundacji nadać jakieś szersze ramy i znaczenie. Nie wiadomo również, na jaką pomoc i w jakiej ilości gotowe byłyby organizacje ofiarodawców z Zachodu.

Następną niedoskonałością tego systemu byłaby niewielka możliwość mnożenia funduszy (z opłat za maszyny np.), rolę kredytodawcy musiałyby spełniać tutaj komitety do spraw rozdzielnictwa w kraju.

Nigdy też taki rodzaj fundacji nie będzie miał większego znaczenia w skali globalnej, a efekty tej pomocy też byłyby mało wymierne. Największą wartością tych pożyczek pozostałby fakt zachowania i umocnienia pozycji dobrego rolnika i światłego działacza: tacy ludzie są rozsądnymi postępowymi i nowych prądów w gospodarce i ruchu społecznym na wsi. To wydaje się być największym kapitałem tej planowanej fundacji.

Wiele dyskusji we wszystkich chyba kręgach na wsi toczy się wokół bardzo głośnej już fundacji kościelnej i ogół wiąże z nią niewspółmiernie wysokie oczekiwania, rozbudzone dodatkowo przez niektórych proboszczów. W powszechnym odczuciu ma to być coś na kształt UNRR-y — dary rozdawane przez Kościół jak mąka czy proszek do prania.

Bardziej światli działacze konspiracyjni są sceptycznie nastawieni nie tyle do idei fundacji, co do możliwości jej zrealizowania. Od chwili ogłoszenia komunikatu o możliwości powstania takiej fundacji niewiele więcej można się było dowiedzieć o kształcie i charakterze tej pomocy. Wielu działaczy (i tak wcześniej związanych z Kościołem) w miarę upływu czasu dostrzegało coraz więcej niewiadomych w tym przedsięwzięciu.

Zdawano sobie sprawę z tego, że dla Episkopatu efekty gospodarcze są na razie na drugim miejscu; że dla Kościoła sprawą daleko ważniejszą jest sformułowanie jakiegos programu i od-

budowa więzi społecznych wokół procesów ekonomicznych, których stymulatorem będzie fundacja.

Dla wielu działaczy takie myślenie to trochę odwrócenie pojęć, bo bez prawnego zabezpieczenia się (instytucja niezależnych banków) od bankowego systemu państwowego nie da się zbudować trwałej konstrukcji ekonomicznej; na słabej zaś nie da się budować mocnych więzów społecznych.

Jednak żeby uruchomić taki naturalny obrót ekonomiczny na wsi, żeby wieś mogła przejąć całą infrastrukturę (mleczarnie, wytwórnie pasz, przetwórnice i warsztaty rzemieślnicze) w postaci spółek akcyjnych, prywatnej własności i spółdzielni, trzeba by powołać instytucję prywatnych banków, kierującą i regulującą wszystkie związane z tym procesy ekonomiczne.

Załamanie państwowego monopolu bankowego w PRL to już prawie rewolucja. Wiadomo, że takie posunięcie daleko mocniej uderza w doktrynę komunistyczną niż powstanie najliczebniejszego nawet niezależnego związku zawodowego, który w dziedzinie ekonomii (a więc ewolucyjnego przeobrażenia systemu) nie miał nic do powiedzenia. A więc coś się musi wydarzyć, co spowoduje powrót do ekonomii naturalnej (może to będzie tylko program małego NEP-u na 16 miesięcy na przykład?).

Krzysztof STACHOWSKI

BBC — POLISH SECTION

The BBC requires a Programme Assistant (journalist-translator) for its Polish Section in London. Applicants with perfect Polish must have: a degree level education, a thorough knowledge of English, the ability to translate quickly and accurately, a good microphone voice, an interest in current affairs. Journalistic and/or broadcasting experience would be an advantage.

Write, giving brief c.v., within 14 days to:

RECRUITMENT OFFICER LANGUAGE SERVICES,
BBC, P.O. BOX 76, BUSH HOUSE, STRAND,
LONDON WC2B 4PH, ENGLAND.

Please quote reference X2888/K and enclose an addressed envelope for reply.

Sprawy i troski

Uwagi o rozgłośni monachijskiej

Autor wyraża swe podziękowanie pani Ewie Mieroszewskiej za przejrzenie artykułu i wiele cennych uwag. Tylko autor jest odpowiedzialny za poglądy, wyrażone w artykule.

Odpowiedź na pytanie, jakie jest zadanie polskiej sekcji Radia Wolna Europa (RWE), jest na pozór prosta: przekazywanie do Polski informacji i opinii, nie dopuszczanych przez cenzurę władz PRL. Chodzi więc o częściowe choćby wypełnienie luki, jaka istnieje na skutek braku niezależnych środków przekazu w Polsce. Bezpośrednim zadaniem rozgłośni monachijskiej jest udostępnienie społeczeństwu informacji o faktach i wydarzeniach, które go dotyczą, oraz wszechstronne omawianie spraw, które społeczeństwo obchodzą, a więc zagadnień polityki, historii, kultury, gospodarki, spraw społecznych jak i międzynarodowej oprawy, w której ramach toczy się życie Polaków.

Przełamywanie barier, utrudniających dopływ informacji do Polski, nie jest wyłącznie zadaniem rozgłośni monachijskiej. Wiele innych stacji radiowych nadaje programy w języku polskim; osoby, które znają języki obce, mogą słuchać niezagłuszanych audycji z całego świata. Poza tym dochodzą do Polski pisma zagraniczne, co prawda w niewielu egzemplarzach, do wybranych miejsc i często z dużym opóźnieniem. Gdy się jednak porówna ilość godzin nadawania przez radiostację monachijską, a więc i ilość wiadomości przez nią udostępnianych z innymi źródłami, gdy się porówna ilość czasu poświęcaną sprawom polskim w RWE z tym, co można usłyszeć z Paryża, Madrytu, czy Kanady, nie można kwestionować pierwszorzędного znaczenia rozgłośni monachijskiej dla społeczeństwa w kraju. Biuro stu-

diów sekcji polskiej oraz konsekwentne zbieranie materiałów archiwalnych o życiu w Polsce nie mają sobie równych wśród innych środków przekazu, starających się dotrzeć do Polski. Toteż programy radiowe RWE winny się stać przedmiotem troski całej emigracji. Nie są one jednak często dyskutowane na łamach pism polskich, ukazujących się na Zachodzie.

Informacja i komentarz rozgłośni winny sięgnąć całego społeczeństwa; powinny być użyteczne dla każdego Polaka, dla różnych grup społecznych. Tak jak w każdym kraju, słuchacze w Polsce dzielą się na podgrupy zależne od dzielnicy kraju, zawodu, stopnia wykształcenia, specjalnych zainteresowań — od sportu do polityki międzynarodowej. Także i stopień zagłuszenia nie jest równomierny; jest funkcją położenia geograficznego i pory dnia. Także i informacja, przekazywana przez reżymowe środki informacji, nie jest jednolita. Pisma, wydawane oficjalnie, różnią się co do ilości i jakości materiału rzeczowego oraz poziomu komentarza. I tak czytelnicy artykułów profesora Manteuffla o rolnictwie polskim, zamieszczonych w *Życiu Gospodarczym*, mają inny i dokładniejszy obraz sytuacji aniżeli ci, którzy są skazani na lekturę, powiedzmy, *Żołnierza Wolności*. Toteż dopasowanie audycji rozgłośni monachijskiej do potrzeb i zainteresowań oraz stanu dezinformacji poszczególnych grup stawia przed nią zadanie nielada.

W dziedzinie dziennika radiowego zróżnicowanie słuchaczy nie powoduje większych trudności; o swoistych piszę poniżej. Dziennik jest redagowany dla wszystkich słuchaczy, a specjalne audycje informacyjne o rolnictwie, filmie, czy sprawach zdrowia nadawane są w określonych godzinach, by każdy słuchacz mógł dopasować swój terminarz nasłuchu do swoich zainteresowań.

Natomiast dział komentarzy stoi przed zagadnieniem nielatawym. Ma on za zadanie omówić tło wydarzeń, przedstawić ich interpretację zakładając duże różnice w poziomie wiedzy i zainteresowań słuchaczy. Poza tym środki przekazu mają przedstawiać nie tyle komentarz *ex cathedra*, ile brać udział w szerszej dyskusji na temat bieżących zagadnień. W warunkach panujących na Zachodzie i tak powszechnych, że się o tym już nie myśli, wielość dzienników, tygodników, radiostacji i kanałów telewizyjnych stwarza podstawy do dyskusji, do ścierania się różnych poglądów. Zaspokaja też potrzeby różnych grup słuchaczy i odbiorców. Żadna radiostacja nie musi dbać o stwarzanie warunków do dyskusji w ramach własnego zespołu. Krytyka dziennikarzy innych radiostacji, nie mówiąc już o słowie drukowanym, wytknie podejrzaną jakość fakty i błędy w rozumowaniu, napiętnuje skrajność poglądów. Natomiast w warunkach, w jakich

pracują radiostacje takie jak Wolna Europa, Głos Ameryki, Watykan, BBC czy Paryż trudno mówić o dyskusji między rozgłośniami; każda zdana jest na własne siły. Pracownicy tych radiostacji rzadko i z poważnym opóźnieniem dowiadują się o poglądach, wypowiedzianych przez ich kolegów, nadających na innej fali. Stacje nie wymieniają swych komentarzy; nie mogą więc ze sobą dyskutować. Różnice w podejściu do jakiegoś zagadnienia wychodzą na jaw dopiero wtedy, gdy Londyńczyk z BBC w drodze na wakacje narciarskie w Alpach zawita do Monachium i w towarzyskiej rozmowie wspomni o tym, jak w BBC reagowano na nowe reżymowe prawo prasowe czy nowe pociągnięcia wobec samorządu pracowniczego. Każda radiostacja dbać więc powinna o argumentację i debatę we własnym zakresie.

Dziennikarze rozgłośni monachijskiej reprezentują cały wachlarz poglądów na sprawy polityczne, sytuację w Polsce czy stosunki międzynarodowe. Powstaje więc pytanie, jak przekazać do kraju żywość dyskusji wewnątrz-redakcyjnej. Czy najlepsze byłyby komentarze redakcyjne, które odzwierciedlają i reasumują poglądy nie zgadzających się ze sobą redaktorów? Czy dyskusje przy okrągłym lub trójkątnym stole? Czy sygnowane komentarze poszczególnych członków redakcji, wypowiadających osobiste poglądy? Czy wreszcie rozmowa na żywo o wydarzeniach dnia lub tygodnia? A może najlepiej nagrać układem na taśmę dyskusje przy kawie po porannym zebraniu redakcyjnym? Prawie wszystkie te metody były stosowane w Monachium, ale ostatnio¹ dominuje opatrywanie każdego wydarzenia komentarzem jednej osoby. Komentarze te piszą osoby o różnych temperamentach, zainteresowaniach, poglądach politycznych i punktach widzenia na sytuację w Polsce. Różnice te wynikają między innymi stąd, że niektórzy redaktorzy opuścili Polskę w okresie wojny lub powojennym, a inni przed dwoma czy trzema laty. Toteż wypowiedzi są zróżnicowane, ale poznanie całego wachlarza poglądów na jeden temat wymagałoby zestawienia uwag, wygłaszanych przez różnych redaktorów przez tygodnie jeśli nie miesiące. Słuchacz radia tego zwykle nie robi, a w wypadkach zagłuszenia nie może, nawet gdyby chciał i miał po temu czas. Są więc różnice zdań ale zbyt mało dyskusji, są bieguny o różnych znakach ale iskier nie widać.

Za ilustrację tych ogólnych uwag może posłużyć ustosunkowanie się zespołu redakcyjnego do wydarzenia, które w lecie

1. Niniejsze uwagi spisałem w formie brulionu jesienią 1982, po moim ostatnim pobycie w rozgłośni. Zarówno wizyty prywatne w Monachium latem 1983 jak i kontakty osobiste ze znajomymi z RWE wskazują na to, że w sprawach poruszanych w tym artykule nie zaszły zasadnicze zmiany i uwagi moje — mam nadzieję nie straciły na aktualności.

1981 r. przykuło uwagę opinii polskiej i zagranicznej. W dniach 3-5 sierpnia kierowcy aut i ciężarówek zablokowali ruch na skrzyżowaniu ulicy Marszałkowskiej i alei Jerozolimskich w chwili, gdy w atmosferze napięcia toczyły się rozmowy między przedstawicielami Solidarności z Wałęsą na czele a delegacją rządu PRL pod przewodnictwem Rakowskiego. W redakcji można było słyszeć różne poglądy na temat celowości tej formy protestu i jej znaczenia politycznego. Wszyscy byli zafascynowani żywością i fantazją ulicy warszawskiej oraz powszechnym poparciem różnych grup ludności dla strajku drogowego. Ale niejeden redaktor zastanawiał się nad tym, czy chwilowy triumf doprowadzi do czegoś więcej niż wygranej taktycznej.

Rozgłosnia nadała komentarz redakcyjny, który był wypadkową wyrażanych poglądów. Słuchacze RWE usłyszeli podsumowanie różnych punktów widzenia, ale nie mieli okazji do zapoznania się z każdym argumentem w całości. Nie dowiedzieli się, jak poszczególni redaktorzy interpretowali wydarzenia na ulicach Warszawy w oparciu o analizę procesów politycznych, zachodzących w Polsce. Kilka komentarzy na ten sam temat przyczyniłoby się do ożywienia wymiany zdań w Polsce, połączyłoby niejako dyskusję w łonie redaktorskim z ogólnopolskim myśleniem politycznym.

Celem dyskusji, prowadzonej za pomocą wielogłosu komentarzy, byłoby nie tylko ukazanie wachlarza poglądów, lecz również przedstawienie techniki i atmosfery dialogu, metody dochodzenia poprzez konfrontację do umotywowanej różnicy zdań. W trakcie takiej dyskusji wychodzą na jaw przemilczane założenia, różnice w stanie wiedzy o faktach oraz hierarchia ważności celów każdego komentatora. Byłaby to niezła zachęta do gruntownej dyskusji publicznej, dla której brak w Polsce warunków od roku 1939. Poza okresem Solidarności oraz poza paru miesiącami po październiku 1956 roku, nie było w Polsce danych po temu, by mogła się rozwinąć publiczna wymiana zdań, która jest szkołą myślenia o sprawach społecznych i politycznych. Nie znaczy to bynajmniej, by w Polsce brak było ludzi myślących i zdolnych do wnikliwego spojrzenia na każdy temat tego rodzaju; dyskusje pomiędzy nimi toczą się jednak w gronach prywatnych, na użytek kilku czy kilkunastu osób, biorących w nich udział. Dyskusje te nie sięgają społeczeństwa, chyba że spisane wnioski zostaną jakoś przekazane na Zachód i stamtąd podane do Polski przez rozgłosnie radiowe lub nieliczne egzemplarze prasy emigracyjnej, które docierają do kraju. Dla historyka myśli różnica między dyskusją prywatną i publiczną może być niewielka, ale dla myślenia politycznego całego społeczeństwa jest to rozróżnienie zasadnicze. Powszechna świadomość stale toczącej się debaty

o społeczeństwie, polityce, rządzeniu jest szczególnie ważna tam, gdzie władza wykonawcza nie jest poddawana wnikliwym pytaniom dziennikarzy; tak zwane dyskusje parlamentarne są tasiemcowymi wynurzeniami ostrożnych biurokratów, a interpelacje poselskie brzmią jak laurki ze szkoły powszechnej.

Przyjęcie zasady wielogłosu komentarzy na każdy ważniejszy temat daje również odpowiedź na pytanie, dotyczące trafiania do różnych grup odbiorców Wolnej Europy. Kilka komentarzy na jeden temat będzie się różniło między sobą stylem, nastawieniem i poglądami autorów; a więc niektóre z nich lepiej trafią do jednych grup słuchaczy, inne do innych. Jeden komentarz mógłby być nadany w audycji „Fakty, Wydarzenia, Opinie”, a drugi w „Panoramie”. Jeśli takie rozwiązanie mogło być przyjęte, każda audycja komentarzowa mogłaby uzyskać równą wagę w programie; ba, programy mogłyby rywalizować ze sobą i w ten sposób przyczynić się do przemiany rozgłosni z wyroczeni w trybunę myśli ożywionej codzienną kontrowersją.

Rozgłosnia od początku swego istnienia wzięła na siebie zadanie informowania kraju o wydarzeniach, zachodzących w kraju. Choć w innych warunkach niż przed trzydziestu laty, jest to nadal potrzebne. Służba informacji PRL rozporządza lepszymi środkami niż agitatorzy z czasów Bieruta czy Gomułki. Obok przemilczania wydarzeń, która to metoda cieszy się nadal powodzeniem, propaganda PRL stara się nieraz przekazać dobrze spreparowaną mieszankę faktów i przeinaczeń. Starczy porównać obraz świata i Polski wedle Jerzego Urbana z tym, czym Polska i świat naprawdę są i jak naprawdę myślą.

Informacja radiowa o Polsce, nadawana z Zachodu nie mogłaby się ograniczać do tego, co podają agencje zachodnie i dziennikarze prasy wolnej. Pominięto by wiele ważnych faktów i wydarzeń. Trzeba więc sięgnąć do informacji, dochodzących wprost z kraju, a to natychmiast stawia problem wiarygodności. Rozgłosnia monachijska stosuje kryteria rzetelnego informowania i nie podaje w dzienniku żadnej wiadomości, jeśli nie ma jej potwierdzenia z co najmniej dwu źródeł, na których można w pełni polegać, na przykład dwu agencji prasowych. Chodzi o to, by unikać nadawania czegokolwiek, co nie zostało w pełni sprawdzone. Tego standardu wiarygodności nie można jednak zawsze stosować do informacji, dochodzących z Polski. O wielu wydarzeniach redakcja dziennika dowiaduje się tylko z jednego źródła, np. z gazetki podziemnej, przemyczonej na Zachód, czy rozmowy telefonicznej lub listu osoby, która niedawno przybyła z kraju. Brak jest potwierdzenia informacji; nie wiadomo, jak dokładnie przekazano pierwotną informację, czy osoba informująca jest

wprawnym obserwatorem. Demonstracja, w której wzięło udział 50 czy 100 osób może łatwo urosnąć do wymiaru wielkiego tłumy. Toteż łatwo dojść do konkluzji, że podobnych informacji nie należy podawać w dzienniku, a co najwyżej w rubryce pogłosek.

Ostrożność, sama w sobie słuszna, może jednak wzbudzić brak zaufania do radia monachijskiego. Wyobraźmy sobie, że na przykład w Bochni odbyła się manifestacja; milicja pobiła kilkanaście osób, aresztowała kilka. Ktoś z Bochni zdołał swoimi drogami zawiadomić redakcję polskiej sekcji RWE. Ale zgodnie z zasadą podwójnego źródła informacji, dziennik milczy o zajściach, albo co najwyżej radio poda wiadomość w ramach pogłosek i przypuszczeń, czyli w audycji pozbawionej autorytetu dziennika. Ludność Bochni dobrze wie, co się stało; niektórzy wiedzą, że rozgłośnia monachijska została poinformowana, a milczy. W imię słusznej zasady, by nie ryzykować podania informacji, która może się okazać nieprawdziwa, sito redakcyjne nie przepuściło prawdziwej informacji o fakcie, który się wydarzył. W Bochni zaufanie do RWE zostało podważone. Na takie rozczarowania wystawieni są mieszkańcy wielu miast i wsi, gdzie nie goszczą stale przedstawiciele Reutera czy Agence France Presse, a więc ponad 80 % ludności Polski.

U podstaw tej trudności leży przekonanie, że przemilczenie faktu prawdziwego jest mniejszym błędem niż podanie faktu nieprawdziwego. A więc, że sprawie informacji lepiej się służy przemilczając niż ryzykując niedokładność. Takiemu założeniu warto się przyjrzeć dokładniej. Zagadnieniem tym naukowo zajmuje się statystyka, nauka o traktowaniu wydarzeń stochastycznych, czyli podległych prawom prawdopodobieństwa; statystyka ostrzega na równi przed obu błędami, przemilczeniem prawdy i głoszeniem nieprawdy. Statystyk może przedstawić argumenty, że obu typów błędów (błędów typu pierwszego i typu drugiego, jak się to nazywa) należy unikać na równi. Skoro się specjalnie unika wystawienia na ryzyko popełnienia jednego z nich, zwiększa się prawdopodobieństwo popełnienia drugiego. Wyjście z tego dylematu istnieje i jest ono bardzo proste: można przemilczeć wszystko. Jeśli się nie informuje, niczego się nie ryzykuje.

Oczywiste jest, że nie argumentuję tutaj za milczeniem ani za bezkrytycznym powtarzaniem każdego strzępu informacji. Natomiast pragnę podkreślić, że kroczenie kładką prawdziwej i sprawdzonej, ale jak najbardziej pełnej informacji wymaga nie tylko ostrożności, ale i doświadczenia redakcyjnego. Decyzja o podaniu informacji z Polski często wymaga doskonałej znajomości warunków, w jakich dochodzą wiadomości z kraju. Zarówno jej

powtarzanie jak i przesuwanie na mniej lub więcej poczesne miejsce ma swój wydźwięk. Redakcja nie powinna obawiać się straty uznania u słuchaczy, jeśli im wytłumaczy warunki, w jakich się zbiera informacje z Polski, i zaapeluje do ich wyrozumiałości.

Wartość komentarzy, nadawanych do Polski, zależy nie tylko od ich formy literackiej i stylu, lecz również od kategorii pytań, jakie będą sobie stawiać dziennikarze Wolnej Europy. Oczywiście jest, że się wiele mówi o Polsce, o sytuacji wewnętrznej i tych elementach sytuacji światowej, które mają bezpośredni wpływ na to, co się dzieje nad Wisłą. W dziedzinie stosunków zagranicznych uwaga zespołu RWE koncentruje się na tym, co można by nazwać „osią Waszyngton-Warszawa-Moskwa”, czyli na sprawie polskiej jako funkcji stosunków między dwoma supermocarstwami. Powstaje pytanie, czy koncentracja na tych istotnych ale nie jedynych czynnikach międzynarodowych nie prowadzi do pewnego zamglania innych spraw. Gdy się szereguje i klasyfikuje wydarzenia wokół owej osi, można łatwo zasugerować się, iż tylko wydarzenia, zachodzące na tej osi zasługują na pełną uwagę. W rzeczywistości trudno nie zgodzić się z twierdzeniem, że waga stosunków sowiecko-amerykańskich jest ogromna; nie znaczy to jednak, by sprawa polska była li-tylko funkcją nastawień i tendencji, panujących w Waszyngtonie i Moskwie.

I tak na przykład sowieckie próby wbicia klina między Stany Zjednoczone i Europę zachodnią zależą również i od stanu umysłów w Europie zachodniej. Trudności gospodarcze Polski w latach siedemdziesiątych i obecnie nabierają innego znaczenia, jeśli się zestawi je z kłopotami państw członkowskich RWPG. Wybory brytyjskie, które odbyły się w czerwcu 1983 roku, nie tylko potwierdziły mandat dla konserwy w polityce zagranicznej i gospodarczej, ale także wskazały na zmaganie się między dwoma tradycjami lewicowymi, wywodzącymi się z myśli socjalistycznej. Przemyślenie tych zagadnień na równi z konfrontacją między supermocarstwami wzbogacałoby treść komentarza politycznego, redagowanego w Monachium, i co ważniejsze, pozwoliłoby spojrzeć na zagadnienia nurtujące Polaków w innym i pełniejszym świetle.

Z innej strony poświęcenie uwagi sprawom Trzeciego Świata jest ważne nie tylko dlatego, że mogą one stanowić ciekawą ilustrację strategii politycznej Kremla. Trudności krajów rozwijających się mogą naświetlić powody, dla których czynniki decydujące w świecie zachodnim nieskoro reagują na zły stan wyżywienia ludności Polski. Sytuacja żywnościowa w Beninie, Bangladeszu czy Haiti, jest dużo bardziej alarmująca aniżeli stan rolnictwa w Polsce i to nawet w okresach najniższego poziomu zaopatrzenia. Niedożywienie czy wprost głód w krajach rozwijających się ma niemały wpływ na decyzje o przesyłaniu żywności

do Polski na specjalnie dogodnych warunkach. Poszerzenie kontekstu, w jakim się przyglądamy sprawom polskim, może zwiększyć zrozumienie postępowania innych wobec bolączek polskich. Pomogłoby to w bardziej realistycznym rozpatrywaniu spraw polskich.

Ale zwrócenie uwagi na szerszy świat jest ważne nie tylko dla rzucenia pełniejszego światła na bieżące posunięcia polityczne. Jeśli nawet instytucje społeczne poszczególnych państw nie dają specjalnego wglądu w bieżące wydarzenia, mogą dla społeczeństwa polskiego stanowić materiał do przemyślenia funkcjonowania instytucji istniejących w Polsce oraz dróg wiodących do ich naprawy. Ramy życia politycznego w Polsce nie dopuszczają ani pełnej dyskusji takich zagadnień, ani prób eksperymentowania z jakimikolwiek pomysłami, które nie pasowałyby do ograniczonego repertuaru państw komunistycznych. Warto więc zapoznać słuchaczy w Polsce ze szwedzkimi metodami organizacji pracy w fabryce, z amerykańską koncepcją rozdziału Kościoła od państwa, z zasadami organizacji gospodarstw rolnych w Holandii lub Brazylii, czy wreszcie z różnymi zachodnioeuropejskimi formami samorządu robotniczego i współzarządzania zakładem przez robotników. Wszystkie te sprawy omawiane są i to dużo dokładniej niż potrafiłaby dokonać tego radiostacja, w publikacjach, które trafiają na półki polskich bibliotek, ale nie sięgają do robotnika, księgowego czy publicyści.

W okresie Solidarności jej działacze, spotykani na Zachodzie, podkreślali brak własnych doświadczeń, niemożność sprawdzenia, jak konkretne instytucje działają w określonych warunkach. Nie spodziewali się oni i nie chcieli, by ktokolwiek z Zachodu pouczył ich, jak i co mają robić; bardzo chętnie jednak widzieli przekazywanie do Polski informacji o tym, jak sobie inne społeczeństwa radzą z analogicznymi problemami. Polacy w kraju sami dokonaliby wyboru z katalogu rozwiązań i pomysłów światowych. Na skutek istnienia monopolu informacji w Polsce zapożyczanie sugestii i doświadczeń praktycznych stało się koniecznością dla społeczeństwa, które się zastanawia nad ulepszeniem swoich instytucji.

Stacja monachijska, jak wszystkie inne stacje nadające do Polski, mogłaby dostarczyć rzetelnej informacji i jednocześnie neutralizować wysiłki reżymu, zmierzającego do wyłącznego formowania poglądów i nastawień, związanych z dziedziną życia społecznego. A pamiętać należy, że wpływ dezinformacji i propagandy reżymu na formowanie poglądów i sposobu myślenia w Polsce jest niemały. Ileż to razy zdarzało się, że przybysz z kraju, po celnej i świetnie sformułowanej krytyce reżymu i jego spraw,

dodawał na zakończenie rozmowy, że zamiast rozwiązań reżymowych należałoby wprowadzić rozwiązania „prawidłowe”. W wyniku rozmowy z naszym gościem nieraz okazywało się, że ma on jedną, jedyną koncepcję, którą uważa za jedynie słuszną i właściwą linię polityczno-społeczną. Próby argumentowania, że konkretne problemy społeczne rozwiązywać można na różne sposoby i że brak podstaw, by tylko jedno z rozwiązań uznawać za prawidłowe, spalały na panewce. Powstawała nieraz obawa, że totalitaryzm pochodzenia sowieckiego w pewnej mierze swoje cele osiągnął. Mało Polaków przyjmuje koncepcje marksistowskie, ale niejeden wydaje się akceptować potrzebę jednej, jedynej, niezawodnej koncepcji.

Stąd potrzeba omawiania alternatyw ustrojowych, rozważania różnych tradycji przejawiających się w historii Polski i Zachodu, przyglądania się funkcjonowaniu innych społeczeństw. Rolę tę sekcja polska RWE spełnia już od wielu lat, ale często ma się wrażenie, że audycje na takie tematy traktowane są raczej jako zapchajdziury niż jako ważne i dobrze przemyślane programy. Opinie takie szczególnie często słyszy się od przyjeżdżających z Polski, którzy zresztą z dużą sympatią odnoszą się do radiostacji.

Od programu warto przejść do jego wykonawców. Tak się złożyło, że okres Solidarności i stanu wojennego spowodował wyjazd z Polski na Zachód niemałej liczby ludzi pióra i ludzi radia. I to właśnie wtedy, kiedy stary zespół RWE, który rozpoczął pracę w latach 1950-tych, odchodził na dobrze zasłużoną emeryturę. Luka, powstała na skutek działania czynników biologicznych, została nagle wypełniona. Siła ciężkości przeszła z rąk emigracji okresu wojennego do emigracji niedawnej, a w wielu wypadkach bardzo niedawnej. Nagłość i masowość tej zmiany niewątpliwie wpłynęła i wpływa na charakter sekcji polskiej i na jej program oraz ton wypowiedzi. A już Francuzi dawno docenili ten fakt i stwierdzili: *c'est le ton qui fait la chanson*.

Odchodzi, czy już odeszło pokolenie, które przeważnie nieźle znało Zachód, często i Amerykę, natomiast nie przebywało w Polsce od czasu drugiej wojny światowej. Zostało ono zastąpione przez zespół, dobrze poinformowany o stosunkach i nastawieniach w kraju, ale znający Zachód bardzo powierzchownie. Nowoprzybyli cieszą się swobodą poruszania się i wypowiedzi, ale bardzo niewiele z nich wzięło czynny udział w funkcjonowaniu instytucji demokratycznych; niewiele z nich głosowało w prawdziwych wyborach, zasiadało w jury, brało udział w kampaniach przedwyborczych, starało się o przeprowadzenie swego poglądu w instytucjach takich jak związek filatelistów czy stowarzyszenia nauczycieli i rodziców w szkołach, gdzie zapoznali się, że tak

powiem, na własnej skórze, z demokratyczną procedurą podejmowania decyzji przez ciała zbiorowe. Nie jest to oczywiście zarzutem wobec rodaków, którzy niedawno pojawili się na Zachodzie, a ogromną część życia, a często całe życie, musieli spędzić w warunkach, narzuconych przez totalizm komunistyczny czy hitlerowski. Rządy komunistyczne odebrały im możliwość nabrania doświadczeń, kluczowych dla zrozumienia zachowania się świata zachodniego w dziedzinie polityki czy funkcjonowania instytucji demokratycznych.

Taki stan rzeczy utrudnia nowoprzybyłym objaśnianie słuchaczom w Polsce metod działania w warunkach rzeczywistego samostanowienia przez odpowiedzialne społeczeństwo. Istnieje różnica między najlepszym nawet wykładem a refleksjami osoby, która z codziennej praktyki zna demokratyczną procedurę decyzji i działania.

Co można by zrobić, by zmiana warty w rozgłośni nie tylko nie zmniejszyła użyteczności radiostacji, ale ją powiększyła, by wykorzystwała w pełni wielki zasób bezpośredniej znajomości społeczeństwa i jego życia w Polsce, przy utrzymaniu rozumienia Zachodu i jego specyficznych dróg i metod? Jak umożliwić nowemu zespołowi zapoznanie się z rytmem życia społecznego na Zachodzie, korzystając jednocześnie z pełni wglądu w sprawy polskie, co jest wielkim atutem nowoprzybyłych? Warto się przyjrzeć, jak starało się swym brakom zapobiec pokolenie poprzednie, które brało udział w zakładaniu radiostacji. Rozumiejąc swe braki, jeśli idzie o znajomość warunków, panujących w Polsce w pierwszych latach istnienia reżymu komunistycznego, ludzie ci łapczywie czytali wszelkie dostępne materiały o sytuacji w Polsce i życiu społeczeństwa; dbali o sprawdzanie własnego wycucia i sądu w jak najczęstszych kontaktach z ludźmi, przybywającymi z Polski, zarówno Polakami jak i cudzoziemcami. Nowoprzybyłych z Polski członków zespołu kooptowano nie tylko w sensie formalnym, ale przez pełne włączenie nowych kolegów i koleżanek do debaty o Polsce, jaka się toczyła nie tylko w pokojach redakcyjnych, lecz również podczas odwiedzin towarzyskich i spotkań prywatnych. Ponadto członkowie sekcji polskiej brali również — w miarę możliwości — udział w konferencjach międzynarodowych, poświęconych sprawom Polski i wschodniej Europy oraz utrzymywali bliskie stosunki z działaczami emigracyjnymi innych narodów, sąsiadujących z Polską. Ludzi tych charakteryzował głód każdego okruszka informacji o Polsce i dociekliwość w poszukiwaniu jego znaczenia; warto przypomnieć, że przed rokiem 1956 informacja o sytuacji w Polsce dochodziła rzadko i była bardzo ogólnikowa. Dowodów tego nastawienia nie brak; są nimi setki jeśli nie tysiące teczek z opracowa-

niami i materiałami, które znaleźć można w archiwach sekcji polskiej RWE. Trzeba tutaj dodać, że zarówno polski jak i amerykański zarząd rozgłośni w pełni rozumiał ten właśnie warunek właściwego funkcjonowania rozgłośni iłożył niemałe sumy na podróże celem spotykania przybyszów z Polski, pobyty na zjazdach, czy na pracowite zbieranie i zestawianie informacji. Skutek tych wysiłków jest wszystkim znany; nie darmo rozgłośnia monachijska zyskała sobie przydomek Warszawa Zachodnia.

Analogiczną, ale oczywiście inną, akcję trzeba by podjąć obecnie celem zapoznania nowego pokolenia redakcji i biura studiów z życiem politycznym, społecznym i intelektualnym Zachodu, a szczególnie Stanów Zjednoczonych. I to poznaniem od podszewki. Trudno jest zadośćuczynić temu wymaganiu w Monachium, gdzie swoiste getto radiowe wciąga pracowników w swój maelstrom. W budynku radiostacji można spędzić tylko osiem godzin dziennie, ale sprawami radia żyje się 24 godziny na dobę. Trzeba więc pomyśleć o umożliwieniu członkom personelu dłuższych pobyków w krajach zachodnich, a przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych. W ostatecznym rozrachunku uwarunkowania polityki amerykańskiej mają największy wpływ na RWE, a polityka amerykańska bardziej niż jakiegokolwiek innego zachodniego kraju ma wpływ na kształtowanie się stosunków z blokiem sowieckim.

Praktyczne wprowadzenie tego postulatu w życie mogłoby przybrać różne formy; tutaj chciałbym się zająć trzema spośród nich. Po pierwsze, pracownicy rozgłośni otrzymywaliby roczne urlopy, wzorowane na amerykańskim *sabbatical*, a więc spędziliby rok na jakiejś amerykańskiej uczelni. Taki rok poświęcony odświeżaniu myślenia i sposobu patrzenia na świat jest szeroko stosowany przez wiele amerykańskich przedsiębiorstw prywatnych oraz niejedną instytucję rządową, jak na przykład przez Departament Stanu. Uważa się to w Stanach Zjednoczonych za najlepszą metodę „ładowania akumulatorów” umysłowych i uzyskiwania szerszego poglądu na świat i życie przez ludzi, koncentrujących się na wąsko zdefiniowanej pracy zawodowej. Osoby, korzystające z wolnego roku studiów mogą słuchać wykładów, brać udział w seminariach, jakie je interesują; często piszą monografie na interesujące je tematy. Głównym celem takiego eksperymentu jest włączenie ich do życia wspólnoty uniwersyteckiej, zajmującej się najróżniejszymi problemami, wspólnoty, która poświęca wiele czasu argumentacji, ale jednocześnie bardzo silnie reaguje na problemy otaczającego ją społeczeństwa. Nieco złośliwy epitet: wieża z kości słoniowej nie pasuje obecnie do instytucji i wspólnot ludzkich, gdzie rodzi się wiele ruchów społecznych, gdzie kwitnie krytyka gospodarki, polityki i zwyczajów, gdzie

jednocześnie prowadzi się wiele badań w odpowiedzi na potrzeby rządu, przemysłu, związków zawodowych czy grup obywatelskich. Społeczność akademicka jest nastawiona na absorbowanie nowych przybyszów: przepływ studentów jak i pracowników naukowych jest wartki. Mimo pewnego skostnienia, właściwego każdej instytucji, atmosfera zaciekawienia i dyskusji przeważa znakomicie nad nawykami biurokracji. Samo to byłoby ciekawym przeżyciem dla osób, skazanych przez lata na życie zorganizowane wedle zasady przeciwnej: przewagi biurokracji nad innymi przejawami ludzkiego istnienia.

Drugim sposobem wyjścia naprzeciw potrzebie zapoznania się z Zachodem byłaby wymiana pracowników sekcji polskiej RWE z pracownikami redakcji Głosu Ameryki w Waszyngtonie lub sekcji polskiej BBC w Londynie. Mam na myśli roczny pobyt redaktorów na czasowym zatrudnieniu w innych radiostacjach. Korzyści byłyby obopólne. Pracownicy RWE byłiby wystawieni na życie społeczne i polityczne dwu ważnych i bardzo ożywionych stolic; natomiast goście z Londynu czy z Waszyngtonu mieliby możliwość zapoznania się z bogatymi materiałami informacyjnymi o Polsce i pogłębienia znajomości wybranych przez siebie dziedzin komentarza. Bliższe przyjrzenie się polityce zachodnoniemieckiej również nie byłoby pozbawione pewnych awantury. Trzy rozgłoszenie, nadające wiele godzin programu do Polski, zapoznałyby się ze swoimi metodami pracy, ze swymi specyficznymi nastawieniami i punktami widzenia, co na pewno nie pogorszyłoby jakości wykonywanej przez nich pracy. Fakt, że taka wymiana wymagałaby raczej skomplikowanych rokowań, nie powinien zrażać do jej podjęcia, jeśli prace trzech radiostacji uważa się za wysiłek długofalowy.

Trzecia metoda polegałaby na czynnym popieraniu wyjazdów pracowników RWE na międzynarodowe konferencje, zjazdy, sympozja, poświęcone Europie wschodniej a przede wszystkim Polsce. Bywając co jakiś czas na takich spotkaniach zdają sobie sprawę, że przynajmniej niektórzy członkowie zespołu polskiego znają sytuację w Polsce i rozumieją ją nie gorzej niż niejedyn powszechnie znany ekspert. Formalne dyskusje redakcyjne, jak i niejedna rozmowa przy kawie po porannej konferencji, mogą śmiało konkurować z tym, co się słyszy na seminariach waszyngtońskich.

Jeśli pobyt na konferencji miałby spełnić zadanie zapoznania dziennikarza z RWE z szerszym światem, trzeba by stosować liberalną politykę urlopów dla przygotowania referatów i poznania środowiska naukowego lub publicystycznego, w którym się ma występować publicznie. Pobyty takie miałyby pozytywne skutki dla całego Radia Wolna Europa. Sekcja polska stałaby

się częścią szerszej grupy specjalistów od spraw wschodniej Europy. Takie kontakty umożliwiłyby przedstawianie poglądów, rodzących się w łonie zespołu polskiego, na szerszym forum; zespół polski jest świetnie poinformowany, ale kształtuje swe poglądy bez poddawania ich ożywczej krytyce innych znawców zagadnienia. Nie należy przy tym zapominać, że z drugiej strony wkład specjalistów z RWE mógłby się stać pożytecznym przyczynkiem do prac naukowych, prowadzonych na Zachodzie. Radio zyskałoby uznanie wśród kół ekspertów od spraw wschodniej Europy nie tylko z powodu posiadania dobrych, a czasami bardzo trudnych do osiągnięcia informacji, lecz także jako partner w stale toczącej się wymianie zdań.

Potrzeba pozytywnej polityki personalnej i uzyskania środków na jej finansowanie przypomina, że „Warszawa Zachodnia” nie tylko znajduje się na Zachodzie, ale że jej budżet jest uchwalany przez Kongres Stanów Zjednoczonych. Budżet radia staje się automatycznie przedmiotem obrad Kongresu, a więc i dyskusji w prasie amerykańskiej. Budżet sekcji polskiej stanowi część budżetu Radia Wolnej Europy, a ten z kolei jest zawarty w budżecie Urzędu dla Spraw Radiofonii Międzynarodowej (Board for International Broadcasting, w skrócie BIB). Statut tego ostatniego określa ramy działania radiostacji monachijskiej. Tak więc utrzymanie radiostacji, jej rozwój, nabywanie ekwipunku technicznego, wszystkie te sprawy zależą od decyzji budżetowych, zapadających w Waszyngtonie. A więc także i od dynamiki i problemów amerykańskiego życia politycznego. Nie wchodząc bliżej w te sprawy, bo trzeba by im poświęcić osobny artykuł, naświetlający funkcjonowanie władz ustawodawczych i wykonawczych Stanów Zjednoczonych, chciałbym poświęcić kilka uwag ramom politycznym działalności programowej polskiej sekcji RWE.

Rozgłoszenie narodowe działają jako sekcje Radia Wolna Europa - Radia Swoboda. To ostatnie, Radio Swoboda, nadaje programy w kilkunastu językach używanych przez różne narodowości, zamieszkujące Związek Sowiecki oraz kraje bałtyckie. Obie radiostacje mają za zadanie „nawiązać konstruktywną wymianę poglądów z narodami wschodniej Europy i Związku Sowieckiego poprzez szerzenie wiedzy o wydarzeniach na szerokim świecie i w ich własnych krajach”, jak to stwierdza oficjalny tekst². Różne ograniczenia i zastrzeżenia sprowadzają się do trzech zasad:

1. zadaniem obu radiostacji (RWE i RS) jest informacja i przekazywanie opinii, a nie prowadzenie akcji politycznej;

2. „The mission of Radio Free Europe and Radio Liberty broadcasts”, Appendix No. 1, The Board for International Broadcasting, Seventh Annual Report 1981, str. 31.

2. radiostacje nie mogą reprezentować jednej wyłącznej grupy emigrantów z krajów ujarzmionych, ani też służyć wybranym grupom ideologicznym czy politycznym w tych krajach;
3. radiostacje nie mogą działać w sposób sprzeczny z ogólnymi celami polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych³.

Dla uwypuklenia tego ostatniego punktu warto przypomnieć, że Głos Ameryki ma za zadanie przedstawianie, naświetlanie i popieranie polityki rządu Stanów Zjednoczonych.

Nasuwa się więc oczywiste pytanie, w jakiej mierze rozgłośnie narodowe RWE są niejako tubą rządu amerykańskiego, a w jakiej wyrazem niezależnego myślenia politycznego Polaków, Węgrów, czy Słowaków na emigracji. Odpowiedź na to pytanie zależy od interpretacji wymienionych zasad i od wzajemnego zrozumienia między zarządem amerykańskim rozgłośni a kierownictwem sekcji narodowych.

Należy tu przypomnieć, że do roku 1982 funkcjonował Komitet Wolnej Europy, którego członkami było wiele wybitnych osobistości z amerykańskiego świata nauki, kultury i polityki. Komitet stanowił niejako bufor między organami rządowymi a zarządem radiostacji. Istnienie Komitetu gwarantowało radiostacji dużą autonomię, jak długo poszczególne radiostacje narodowe trzymały się ogólnych wytycznych, ustalonych przez ustawodawstwo amerykańskie. Niezależność RWE objawiała się między innymi w tym, że zarząd radia i kierownictwo sekcji narodowych pozostawały na swych stanowiskach niezależnie od tego, czy władza w Waszyngtonie przechodziła do rąk partii Demokratycznej czy też Republikańskiej. Mody polityczne w Waszyngtonie nie wpływały na program radiostacji. Próby interwencji ze strony członków Kongresu, podejmowane niekiedy pod presją swych wyborców, szczególnie tam, gdzie nie brakowało osób pochodzenia wschodnioeuropejskiego, musiały przejść przez filtr Komitetu, zanim mogły wpłynąć na radiostację. Często też w Komitecie grzęzły. Wpływ Kongresu na radiostację sprowadzał się głównie do wysokości uchwalanego budżetu.

Obecnie, gdy Komitet przestał istnieć, nic nie stoi na przeszkodzie temu, by BIB wpływał na radiostację. BIB z kolei, jako jedno z biur rządu Stanów Zjednoczonych, nie może pozostawać nieczułe na sugestie administracji, czyli rządu, oraz na interwencje kongresmanów. Pole do popisu dla interwencjonistów jest więc niemałe. Zaczyna się zaznaczać wpływ rozgłośni na program a skład osobowy zarządu rozgłośni uległ daleko idącym zmianom.

3. *Op. cit.*, strony 31-37.

Kilku spośród najwyższych urzędników amerykańskiego zarządu z dyrektorem Radia Wolna Europa na czele ustąpiło ze swych stanowisk. Nowe mianowania odzwierciedlają poglądy ekipy obecnie rządzącej w Waszyngtonie. Skutek dotychczasowych zmian jest zapewne miły niejednemu emigrantowi i niejednemu słuchaczowi radia w Polsce. Polityka rządu Reagana jest nacechowana nie tylko nastawieniem antysowieckim, ale także ferworem ideologicznym, któremu sam prezydent dał wyraz w mowie do parlamentu brytyjskiego, ogłoszonej w czerwcu 1982 r.

Ale należy spojrzeć w przyszłość i zastanowić się, co te zmiany mogą oznaczać dla żywotnych interesów narodów wschodniej Europy. Nie wchodząc w meritum sprawy, jaka partia polityczna w Ameryce bardziej dba o interesy narodów wschodniej Europy, trzeba zastanowić się nad wpływem zmian w partii rządzącej w Białym Domu na program i personel Radia Wolna Europa. Jeśli reformy „republikańskie” zajdą dość daleko, Demokraci po powrocie do władzy mogą się poczuwać do obowiązku zmiany personelu i wytycznych programowych na bardziej „demokratyczne”. Wśród słuchaczy radia może to wzbudzić podejrzenie, jeśli nie przekonanie, że radio jest przedmiotem wewnętrznych amerykańskich rozgrywek politycznych. Niewątpliwie propaganda reżymowa wykorzystałaby takie podejrzenia, by starać się zdyskredytować rozgłośnie nie tylko jako tubę rządu Stanów Zjednoczonych, ale jako narzędzie polityki partyjnej. Czy do tego dojdzie, zależy w dużej mierze od umiaru i rozsądku obecnego zarządu BIB i od stanowiska naczelnego dyrektora RWE-RS. Jest nim obecnie James Buckley, były senator amerykański ze Stanu Nowy Jork, człowiek posiadający szerokie kontakty w amerykańskich kołach politycznych i wypróbowany sympatyk ujarzmionych narodów Europy Wschodniej.

Drugi szczebel, na którym można obserwować wpływ polityki amerykańskiego personelu zarządu radia na działy narodowe, to codzienna współpraca między dyrektorem RWE, odpowiedzialnym za program, a kierownikiem i personelem sekcji polskiej, czy innej sekcji narodowej. Dużą, jeśli nie decydującą rolę grają stosunki osobiste, wzajemne zrozumienie i zaufanie obu kierowników. Opierać się one muszą na przestrzeganiu kilku prostych zasad, które wymieniłem poprzednio. James Brown, do niedawna kierownik programowy i dyrektor Radia Wolna Europa, tak je kiedyś sformułował: „Rozgłośnia polska, jak i każda inna rozgłośnia narodowa, winna się trzymać wyraźnie zakreślonych ram działania, które zresztą każdy redaktor przyjmuje obejmując pracę w Wolnej Europie. Celem RWE jest informacja, komentarz, ocena, krytyka, dyskusja; natomiast nie ma w Wolnej Europie miejsca na podsuwanie programów czy wytycznych lub na

sugerowanie jakichkolwiek akcji. Jak długo sekcja polska będzie się trzymała tych wytycznych, nieporozumienia, jakie życie codzienne stale nasuwa, można rozstrzygnąć w drodze osobistego kontaktu między mną a kierownikiem polskiej sekcji". Sprawa sprowadza się więc do tego, czy obaj kierownicy mają wzajemne pełne zrozumienie poglądów na rolę radia oraz problemów, które powstają, gdy myśli przekłada się na język mówiony, oraz czy mają podobne wyczucie granicy między żywo, a nawet gorąco wypowiedzianym argumentem słownym, a podsuwaniem programu działania.

Gdy mowa o wzajemnym zrozumieniu, daleki jestem od sugerowania, by kierownik sekcji polskiej miał przyjmować każdą sugestię swego amerykańskiego zwierzchnika, by wpływ był wyłącznie jednokierunkowy. Przeciwnie, historia polskiej sekcji w Monachium obfituje w przykłady wypadków, w których kierownik sekcji polskiej przekonywał swych amerykańskich kolegów. Jest to niewątpliwie sprawa obustronnego wpływu, stanowiącego gwarancję autonomii sekcji polskiej, czy każdej innej sekcji narodowej. Utrzymanie takich stosunków z zarządem amerykańskim a więc i autonomii sekcji wymaga znajomości techniki radiowej, umotywowania własnych poglądów na sytuację w Polsce, poparcia całego zespołu redakcyjnego i, co nie jest sprawą najmniejszej wagi, rozumienia sposobu myślenia zarządu amerykańskiego.

Historia sekcji polskiej jest dowodem, że partnerstwo polsko-amerykańskie jest osiągalne. Zakłada ono istnienie stałego kontaktu, umożliwiającego natychmiastowe usuwanie nieporozumień, wynikających z różnego stopnia uczuciowego zaangażowania personelu polskiego i amerykańskiego oraz z nieznamościami języków wschodnioeuropejskich wśród amerykańskiego zarządu. Każdy członek zarządu zna najwyżej jeden język wschodnioeuropejski, co stawia go w niewygodnej sytuacji wobec tych sekcji, których języka nie zna. Kierownicy i członkowie sekcji narodowych takich trudności nie mają; wystarczy im znajomość własnego języka oraz angielskiego, co jest sprawą dużo łatwiejszą aniżeli poznanie gamy języków od węgierskiego po bułgarski czy rumuński. Nie jest to sprawa błaha. Na punktach styku językowego ktoś musi przekazywać, a więc i interpretować teksty polskie, by poinformować zarząd amerykański radia, co się mówi na falach rozgłośni i za co tenże zarząd jest odpowiedzialny przed Urzędem dla Spraw Radiofonii Międzynarodowej i przed Kongresem. Idzie przecież nie tylko o zwykłe tłumaczenie słów i zdań, ale również o wychwycenie nastroju, tonu wypowiedzi, tradycji, które wyrażają się przez niełatwo uchwytnie porównania i aluzje.

Nieporozumień może być wiele. Oto przykład jednego z nich: w audycji, nadawanej latem 1981 roku, w okresie rocznicy Pow-

stania Warszawskiego, użyto jako przerywnika muzycznego słów: „Hej chłopcy, bagnet na broń...”. Dosłowne tłumaczenie bez podania historycznego tła piosenki wywołało u urzędnika zarządu amerykańskiego obawę, że audycja polska RWE mogłaby być rozumiana jako nawoływanie do czynu zbrojnego w lecie 1981 roku. Zgłosił on więc poważne zastrzeżenia odnośnie nadawania tego właśnie przerywnika. W intencji polskiej było odtworzenie nastrojów sierpnia 1944 roku. Powstała więc różnica zdań. Formalne notatki niewiele wyjaśniły, ponieważ nie ujawniły powodu nieporozumienia. Mgła niejasności rozвіiała się jednak szybko, gdy dwaj panowie wypili pół czarnej i szybko zorientowali się, że spór był bezprzedmiotowy.

Podczas gdy wspomniany wypadek można zakwalifikować do kategorii anegdot niegroźnych, a raczej zabawnych, nie znaczy to, by czasami nie pojawiały się poważniejsze różnice. Następuje to wtedy, gdy jakieś posunięcie polityki amerykańskiej uznane jest za niekorzystne dla społeczeństwa polskiego przez cały personel sekcji, a przynajmniej przez jego znakomitą większość, tym bardziej gdy takie posunięcie jest sprzeczne z opiniami redakcyjnymi, wyrażanymi przez sekcję polską. Za przykład może posłużyć odwołanie przez prezydenta Reagana zakazu eksportu zboża do Związku Sowieckiego, mimo że nacisk wojsk sowieckich na Afganistan nie zelżał, a ani rząd Jaruzelskiego, ani Moskwa nie zrobiły żadnych kroków celem złagodzenia stanu wojennego w Polsce. Jak wiadomo, wewnętrzne względy polityczne skłoniły rząd amerykański do cofnięcia embargo na eksport zboża; koła rolnicze w Ameryce bezsilnie przypatrywały się, jak Argentynczycy, Francuzi, Kanadyjczycy i Australijczycy dzielili między siebie rynki opróżnione przez eksporterów amerykańskich, siedzących na przepelnionych śpichlerzach. Można było zrozumieć siłę presji politycznej na prezydenta Reagana; niemniej posunięcie Białego Domu było sygnałem nie uzasadnionym przez stan rzeczy w Polsce.

Cofnięcie embargo na zboże wywołało w sekcji polskiej zamieszanie. Sekcja stanęła przed nielada dylematem. Powstało pytanie, czy ten krok poddać krytyce, czy ograniczyć się do wspomnienia go w dzienniku i powstrzymać się od komentarza; czy może omówić całe zagadnienie z dużą dokładnością, nie pomijając ani stron pozytywnych, ani negatywnych. Mówiło się o możliwości użycia przeglądu prasy zachodniej dla przedstawienia argumentów za i przeciw decyzji Białego Domu, pozostawiając słuchaczom wyciągnięcie wniosków. W ten sposób przedstawiono by rzeczowy ale chłodny stosunek zespołu do decyzji prezydenta Stanów Zjednoczonych. Na tym też ostatecznie stanęło. Chłodna neutralność była sygnałem sekcji polskiej w owym czasie.

Mogą jednak zajść wydarzenia, kiedy chłodna neutralność nie jest wystarczającą postawą, kiedy członkom sekcji polskiej trudno byłoby powstrzymać się od zajęcia stanowiska, sprzecznego z wyrażoną definicją roli radia. Dla zilustrowania takiej możliwości warto omówić przykład, na szczęście hipotetyczny. Wróćmy myślą do wczesnych dni grudnia 1980 roku, kiedy to istniały poważne obawy, że wojska sowieckie wkroczą do Polski. Nie jest w tej chwili ważne, czy obawy te były uzasadnione; wówczas wydawały się bardzo realne. Gdyby doszło do interwencji sowieckiej, kierownictwo radia stanęłoby wobec dylematu. Zgodnie z wytycznymi działania rozgłośni, musiałaby się ona ograniczyć do informowania słuchaczy o wydarzeniach, do krytyki najezdźcy i potępienia aktu zbrojnego; sekcja polska nie mogłaby wszakże dawać Polakom rad, co mają robić w danej sytuacji. Za takim stanowiskiem przemawiałyby wyraźnie sformułowane ramy działania radia jak i wspomnienia z roku 1956, kiedy wyrazy żywej sympatii dla Węgrów zostały uznane przez nich za obietnicę pomocy. W grudniu 1980 roku, gdyby wypadki potoczyły się inaczej, cała sekcja czy niektórzy jej członkowie mogliby dojść do wniosku, że ich patriotycznym obowiązkiem byłoby danie ludności Polski konkretnej rady; walczyć lub nie, na przykład. Gdyby doszło do takich kroków, dalsza współpraca tych osób a może i całej sekcji (przynajmniej w jej dotychczasowym składzie) z radiem Wolna Europa stanęłyby pod znakiem zapytania. Miejmy nadzieję, że kierownictwo polskiej sekcji nigdy nie stanie wobec takiej alternatywy. Roważanie to jest wszakże pomocne dla próby odpowiedzi na pytanie, czy sekcja polska RWE jest tylko rządowym radiem amerykańskim, nadającym po polsku, innym głosem Ameryki, czy raczej rozgłośnią, która w oparciu o instytucję amerykańską służy przede wszystkim interesom społeczeństwa polskiego. Jak wiadomo, w tej materii na emigracji polskiej na Zachodzie nie ma jednomyślności. Można mieć nadzieję, że przykłady tu wymienione, i te prawdziwe i te wymyślone, pozwolą na bardziej dokładne zastanowienie się, od jakich czynników zależy odpowiedź na pytanie, dotyczące charakteru sekcji polskiej. Można mieć nadzieję, że emigracja zbiorowo przemyśli kryteria, na podstawie których można by orzec, czy sekcja polska jest radiem amerykańskim, czy polską rozgłośnią.

Głosy z Polski, szczególnie te, które masowo napływały w okresie Solidarności, dowodzą, że przemożna większość słuchaczy w kraju nie ma wątpliwości co do odpowiedzi na wspomniane pytania. Wśród uwag, często krytycznych, nie było oskarżeń o brak niezależności radiostacji od polityki amerykańskiej.

Stanisław WĄSOWSKI

Uniwersytet Letni Polonii Świata

RZYM 5-24. VIII. 1984

W porównaniu z ubiegłym rokiem na Uniwersytecie lepiej się jadło. Do Domu Polskiego przyjechało mniej uczestników, mianowicie 21 osób, w tym 6 z USA, 6 z Kanady, po dwie z Anglii, Szwecji, Australii i Polski oraz jedna osoba z RFN (w ub. roku było 35 uczestników). Tegoroczna grupa była na wyjątkowo wysokim poziomie, jeśli wziąć pod uwagę sposób, w jaki została zgromadzona. Organizatorzy: prof. Henri Adamczewski — rektor, i prezes Jan Kaszuba dopiero na wiosnę zaczęli zastanawiać się, czy impreza ma się odbyć w bieżącym roku, zaś osoba, która miała współkierować uniwersyteciem i zorganizować rekrutację na terenie USA, dowiedziała się o tym dopiero w kwietniu — z gazet. Wśród przypadkowej grupy słuchaczy znaleźli się ludzie do imprezy przygotowani, na przykład dyrektor jednej z radiostacji w języku polskim, *attache* polityczny jednej z ambasad w Warszawie, wykładowca języka polskiego na uniwersytecie w Chicago; inni byli nieprzygotowani, słabo mówiący po polsku — i dla tych niektóre wykłady były niezrozumiałe.

Mimo usilnych prób ani w ubiegłym, ani w bieżącym roku nie zaopatrzone uczestników w mapkę Rzymu z wyjaśnieniami, jak trafić na odległą Via Cassia; w rezultacie kilka osób ponownie przepłaciło 50 dolarów za dojazd z lotniska taksówką.

Trzy cykle wykładów: Zbigniewa Fallenbuchla z ekonomii, Normana Daviesa z historii i Andrzeja Kawczaka z filozofii były najobszerniejsze. Nie byłem obecny na wykładach prof. Fallenbuchla, mogę więc tylko przekazać zgodną opinię uczestników — że były bardzo interesujące.

Norman Davies wykladał w chwili, gdy w Londynie weszło na półki księgarskie „Serce Europy”, jego następna po „Bożym igrzysku” książka o historii Polski. Do Rzymu zdołał przyjechać tylko szczęśliwym trafem — na imprezę zaproszono go dopiero w lipcu.

W wykładzie na temat „Kościół a państwo” prof. Davies dowodził wyjątkowo korzystnej sytuacji Kościoła katolickiego we współczesnej Polsce: przed rozbiorem katolicy stanowili ledwie 50 % ludności, przy czym w niektórych okresach większość senatorów i posłów stanowili niekatolicy; w dwudziestoleciu międzywojennym proporcja ta wzrosła do około 65 %. Dzisiejsza wyjątkowa sytuacja (dziewięćdziesiąt kilka procent mieszkańców PRL jeśli nie uważa się wprost za katolików, to przynajmniej pochodzi z rodzin katolickich) jest głównie zasługą Stalina, który przejął nacjonalistyczne pojęcie narodowości polskiej i zaraz po

wojnie, gdy Polacy wyznania rzymsko-katolickiego mogli przesiedlać się z kresów na Ziemię Odzyskane, nie pozwolili wyjechać Polakom innych wyznań, nie mówiąc już o obywatelach polskich narodowości ukraińskiej czy żydowskiej. Prof. Davies wskazał też na częściowo zapomniany aspekt etosu powstańczego przez cały XIX wiek — wobec konsekwentnej wrogości Stolicy Apostolskiej dla polskich aspiracji narodowych, Polacy musieli wybierać między patriotyzmem a ewentualnym życiem wiecznym. W dyskusji przypomniano również niesławną bullę *Cum primum* z 9 kwietnia 1832 roku, potępiającą Powstanie Listopadowe, którą papież Grzegorz XVI zredagował w ścisłym porozumieniu z księciem Gagarinem, ówczesnym ambasadorem Rosji przy Watykanie.

W wykładzie na temat historii i obecnego stanu Polonii na świecie Norman Davies podał trzy definicje polskiego wychodźstwa:

- najwęższą, obejmującą emigracje zarobkowe XIX i początku XX wieku, najpierw do Niemiec, a potem do Francji i do Ameryki,
- szerszą, obejmującą dodatkowo wojenną emigrację polityczną oraz wychodźstwo z PRL,
- najszerszą, do której zaliczyć można by nie tylko etnicznych Polaków, lecz wszystkich wychodźców z dawnych ziem Rzeczypospolitej.

Najwęższa definicja stosowana jest obecnie przez władze PRL. To dla emigrantów „za chlebem” i ich potomków organizuje się oficjalne towarzystwa łączności „z macierzą”, to ich zaprasza się do wydawania w PRL twardej waluty, to im wolno zakładać firmy polonijne... Natomiast Polonia szersza to w PRL — poza nielicznymi głosami na puszcy, jak np. poeta Edmunda Osmańczyka — temat tabu, a właśnie taka jest najszerzej przyjęta definicja Polonii poza PRL, przy czym emigracja polityczna jest jej najaktywniejszą częścią. Od siebie Norman Davies zaproponował przyjęcie trzeciej, najszerzej definicji Polonii. Faktem jest, że większość Ukraińców, Litwinów czy Żydów, zamieszkałych obecnie na Zachodzie, wyszła z terenów Rzeczypospolitej z tej prostej przyczyny, że emigrowanie z Rosji było zawsze dużo trudniejsze. Norman Davies uważa za smutne, że ludzie którzy potrafili przez wieki być sąsiadami, którzy często wyjeżdżali z Polski tymi samymi pociągami i statkami, po przybyciu do nowego kraju osiedlenia stali się wrogami i do dziś nie mogą się znaleźć porozumieć.

Norman Davies wskazał również na elementy tłumione w polskiej świadomości historycznej. Za tragiczne uważa on nie tylko to, że Polacy w obu wojnach światowych ginęli masowo. Za jeszcze boleśniejsze należałoby uznać to, że wielu ginęło nie za swoją sprawę i często z bratniej ręki. Podczas pierwszej wojny światowej były setki tysięcy Polaków w wojskach obu walczących stron — zdarzało się, że legiony Piłsudskiego musiały walczyć z Polakami wcielonymi do formacji rosyjskich. Natomiast

w drugiej wojnie na samym tylko froncie zachodnim alianci wzięli do niewoli około 80.000 Polaków — żołnierzy Wehrmachtu. Co oznacza, że na wszystkich frontach ich liczba musiała być wielokrotnie wyższa; powstaje więc pytanie, jaka była rzeczywista proporcja udziału Polaków po stronie niemieckiej i w wojskach alianckich?

W dyskusji Jan Kaszuba wskazał na najnowszą falę emigracyjną, której większość stanowią tak zwani „mormoni” (od angielskiego *more money*). „Mormoni” są na razie apatyczni i nie szukają kontaktu z organizacjami polskimi, ale jest to ponoć zjawisko normalne — tylko 10-15% ogółu ludzi, przyznających się do pochodzenia polskiego, utrzymuje jakikolwiek kontakt z organizacjami polonijnymi. Należy oczekiwać, że „mormoni” ożywią się dopiero za kilka lat, gdy urządzią się w krajach osiedlenia.

Szkoda, że mimo tak dobrej okazji kierownictwo uniwersytetu nie zezwoliło na odwiedzenie Monte Cassino — gdzie obok cmentarzy polskiego i alianckiego jest także cmentarz niemiecki, gdzie na około jednej trzeciej nagrobków widnieją nazwiska polskie — Ślązaków lub Polaków z terenów Rzeszy, siłą wcielonych do Wehrmachtu.

Profesor Andrzej Kawczak przedstawił swoją wersję charakteru narodowego Polaków — naliczył 12 wad i 7 zalet, przy czym takie cechy jak „brak respektu dla pracy, pieniądza, gromadzenia dóbr materialnych” znalazł się wśród zalet.

W innym wykładzie prof. Kawczak zaprezentował myśl Feliksa Konecznego — profesora Uniwersytetu Wileńskiego w latach 1920-1929. Koneczny dzielił społeczeństwa na cztery grupy cywilizacyjne: łańcińską, bizantyjską, mongolsko-turańską i sakralną. Stosując podział Konecznego, prof. Kawczak dowodził, że ze względu na swe tradycje Polska należy do cywilizacji łańcińskiej.

Profesor Ryszard Przybylski poruszył w swoim wykładzie temat „mitu cara w mentalności rosyjskiej”. Przekonanie o istnieniu dobrego władcy-ojca narodu, otoczonego złymi doradcami — człowieka, który mógłby polepszyć los ludu jednym aktem woli — istniało nie tylko przed rewolucją. Stosunek mas rosyjskich do Stalina był podobny; nie radowano się, lecz rozpaczano na wieść o jego śmierci.

Książd Jerzy Boniecki mówił o polskiej edycji *Osservatore Romano* — jedynym piśmie drukowanym za granicą i wpuszczanym do bloku sowieckiego w wielkich ilościach i bez cenzury; niektóre numery poszły wprawdzie na przemiał, ale większość dochodzi i jest rozprowadzana kanałami kościelnymi w ilości 110 tys. egzemplarzy miesięcznie.

Książd Michał Heller mówił o dwudziestowiecznych osiągnięciach naukowych w poznawaniu wszechświata. Ciągłe nie mamy pojęcia, co działo się przed Wielkim Wybuchem, z którego wyłoniły się galaktyki. Najłatwiej byłoby umieścić w tym punkcie

Boga i przyrównać Big Bang do aktu stworzenia. Ksiądz Heller uważa, że byłoby to nienaukowe — wiele już razy w historii ludzie umieszczali Boga tam, gdzie nie sięgała ich wiedza; horyzonty wiedzy poszerzały się, a Bóg się oddalał. Najzdrowszy wydaje się pogląd, że Boga po prostu nie można dowieść naukowo.

Jerzy Kalinowski mówił na temat polskiej szkoły logiki oraz fenomenologii Edmunda Husserla i Karola Wojtyły.

Stefan Frankiewicz, którego poproszono o przyjazd do Domu Polskiego rano w dniu wykładu, miał mówić o „Współczesnych kierunkach literatury polskiej”. W ostatniej chwili zorientowano się jednak, że prelegent nie był o tym temacie uprzedzony i przygotował odczyt o przedwojennym poecie religijnym Jerzym Liebercie.

Inżynier Jerzy Orłowski z Kanady, kontynuując zeszłoroczny wykład o „Nauce polskiej w świecie”, wskazał na niedocenioną rolę Polaków w wynalazku aeroplanu. Czesław Tański, malarz i zapoznany majster-klepka-modelarz, zbudował na przełomie stulecia samolot „Łątkę”. Maszyna miała ponoć doskonałe parametry, tyle że nie chciała latać.

Pana Stankiewicza poproszono o przyspieszony przyjazd z Kanady, a gdy dotarł do Rzymu po kilkunastogodzinnej podróży, zmieniono datę jego wykładu. Wciśnięto go dopiero na sam koniec kursu; mówił o sobie i swojej twórczości rzeźbiarskiej.

Powyższy przegląd wykładów, choć niepełny, odzwierciedla jednak przypadkowy dobór tematów i brak myśli przewodniej. Ogólny mętlik powiększył fakt, że nie ustalono z góry programu wykładów na całe trzy tygodnie. Plan zajęć ogłaszano najwcześniej poprzedniego dnia wieczorem, a często na godzinę lub mniej przed rozpoczęciem. Prowadziło to do przykrych nieporozumień: jeden z wykładowców, na przykład, musiał czekać dwie godziny na korytarzu na swoją kolej, po czym jego wykład odwołano. Rozgardiasz powiększyła jeszcze tygodniowa nieobecność rektora w połowie trwania imprezy — bez wyznaczenia zastępcy z odpowiednimi upoważnieniami.

Nie można powiedzieć, aby tegoroczny uniwersytet letni był stratą czasu. Wykłady były nierówne, niektóre jednak arcyciekawe. Ponadto sam fakt przebywania w Rzymie i nawiązywania nowych przyjaźni zaliczyć trzeba na plus. Wycieczki po Rzymie, na plażę, do Asyżu i na Monte Cassino też należały do przyjemności, choć wyprawa do Florencji — 8 godzin jazdy w dwie strony, 4 godziny galopowania po mieście plus w drodze powrotnej zaliczenie Sieny w 47 minut — nie była chyba najlepszym pomysłem.

Wszyscy byli zgodni, że pomysł uniwersytetu jest doskonały i powinien być kontynuowany w przyszłości. Ale na pewno w tym roku uczestnicy dobrze zapamiętali część wykładu prof. Kaw-

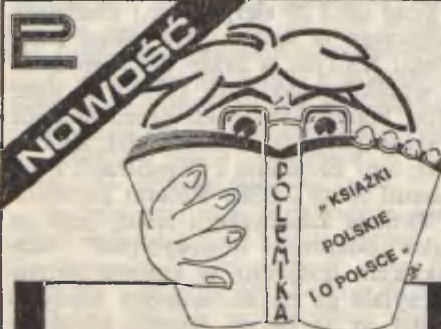
czaka o polskich cechach narodowych, w której mówił o polskim kulcie niekompetencji, braku zdolności organizacyjnych oraz klikowości.

Wydaje się, że akademicka nijakość całej imprezy jest — przynajmniej do pewnego stopnia — wynikiem braku jasnej koncepcji „uniwersytetu letniego”. Kierownictwo zdawało się mieć na oku dwie wizje. Pierwsza to program spotkania działaczy polonijnych: kierownicy zrzeszeń polonijnych, harcerze, dyrygenci chórów i zespołów tanecznych mieliby okazję do nawiązania kontaktów, wymiany doświadczeń i nauczania się czegoś o ojczyźnie swych przodków. Wizja druga ma założenia bardziej akademickie. Na imprezę mieliby przyjeżdżać ludzie z pewną wiedzą o Polsce i nacisk byłby położony na jej poszerzenie i dyskusje. Wyboru kandydatów dokonywano by pod kątem ich przygotowania, a nie przynależności organizacyjnej czy pełnionych funkcji. Uniwersytet w swojej wizji akademickiej ma dużo do zrobienia, aby sobie na to miano zasłużyć.

Pod względem organizacyjnym najważniejsze jest wczesne zaplanowanie przyszłorocznego zjazdu. Tematy i plan powinny być ustalone już teraz, ogłoszenia w prasie zamieszczone przed końcem października, a rekrutacja zakończona przed końcem roku, tak aby kandydaci wiedzieli, czy mają sobie zarezerwować trzy tygodnie urlopu w lecie, czy nie. Wczesne planowanie ułatwi też uzyskanie udziału wybitnych wykładowców — Rzym jest atrakcyjnym miastem i wielu naukowców z chęcią przyjedzie, nawet jeśli (jak dotychczas) uniwersytet nie będzie w stanie zaoferować honorariów.

Dotychczasowe doświadczenia nie budzą jednak najlepszych nadziei. Rektor, poproszony o przedstawienie planów kierownictwa na przyszły rok oświadczył, że „tak dobrze w życiu nie ma”, a dyskusję, w której wytknięto niedociągnięcia tegorocznej imprezy i zapytano, dlaczego prawie żadna z zeszłorocznych sugestii nie została podjęta, skwitował słowami: „Smacznego, idziemy na kolację”.

Radek SIKORSKI



**KSIEGARNIA
POLEMIKA**

WYDAWNICTWA POLSKIE
I OBCOJĘZYCZNE NA TEMAT
POLSKI I EUROPY
WSCHODNIEJ

ANTYKWARIAT
49, RUE GAY LUSSAC
75005 PARIS
TÉLÉPHONE : 354.25.48

METRO : LUXEMBOURG
AUTOBUS : 21-27 : FEUILLANTINES

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Trzydziestego września bież. roku sowieckie źródła informacji triumfalnie ogłosiły, że zakończono „budowę wieku” — BAM, magistralę bajkalsko-amurską. Pierwszy pociąg z Bajkału do Amuru wyruszy prawdopodobnie 7 listopada.

Budowa drugiej odnogi kolei transsyberyjskiej jest z wielu względów warta uwagi. Pozpoczęto ją w 1932 roku i powierzono Dalstrojowi — największej wyspie archipelagu GUŁag. Po wybuchu wojny roboty przerwano. W 1974 roku zdecydowano dokończyć magistralę, której budowę kontynuowano ostatnimi laty chałupniczymi środkami. Jeśli nawet za początek robót uznać rok 1974, to przez dziesięć lat położono 3.200 km szyn. Należy oczywiście wziąć pod uwagę, że warunki budowy są bardzo ciężkie: klimat, tajga, wieczna zmarzlina, a ponadto i fakt, że do najcięższych robót używano więźniów. Dla porównania należy jednak przypomnieć, że kolej transsyberyjską z Czelabińska do Władywostoku — długości 6.297 km — zbudowano za czasów reakcyjnego caratu — bez nowoczesnej techniki — w dziewięć lat, od 1891 do 1900 roku.

W dwu numerach gazety *Trud* (28 i 29 sierpnia br.) akademik Abel Aganbegian tłumaczy, dlaczego w końcu XIX wieku kolej budowano szybciej niż w wieku XX-tym, a także dlaczego BAM pochłonęła tyle niebywałych wysiłków, nakładów i ofiar na przestrzeni ponad pół wieku. Pod koniec 1983 roku przedostał się na Zachód referat na temat stanu gospodarki sowieckiej, sporządzony przez pracowników Instytutu Ekonomii i Organizacji Przemysłu sybirskiej sekcji Akademii Nauk ZSSR. Referat przedstawiła w Moskwie akademik Tatiana Zaslawska i znany jest on pod jej nazwiskiem albo jako „dokument nowosybirski”. Akademik Aganbegian jest dyrektorem instytutu, w którym sporządzono referat. Zaslawska odczytała go na zamkniętym zebraniu specjalistów. Aganbegian posłał go do prasy. Sprawa przestała

więc być ściśle tajna. Problem dotyczy ekonomicznych trudności Związku sowieckiego. Sedno sprawy leży naturalnie nie w „prześciowych trudnościach” typu braku towarów, złej jakości wyrobów itp. Akademik pisze o strukturalnych wadach sowieckiego modelu ekonomicznego. Najciekawszy w artykule Aganbegiana jest fakt, że powtarza w nim tezy, które wykładał w 1965 roku na zamkniętych seminariach w wydawnictwie „Myśl” leningradzkiego Instytutu Inżynierii i Ekonomicznego.

Dwadzieścia lat temu akademik Aganbegian wymienił dwie główne wewnętrzne przyczyny trudności ekonomicznych kraju: 1) błędny kierunek rozwoju gospodarczego państwa i 2) niezgodność sowieckiego systemu planowania, stymulowania i zarządzania gospodarką z wymogami współczesnego życia. Pierwsza przyczyna — to kurs na maksymalną industrializację. Druga — zachowanie nietkniętego stalinowskiego modelu planowania itd. Mówiąc o przyczynach zewnętrznych Aganbegian wspominał tylko mimochodem, że ZSSR wydaje na obronę mniej więcej tyle samo, co Stany Zjednoczone, przy dwukrotnie słabszym potencjale gospodarczym.

Minęły dwa dziesięciolecia i akademik znowu bije na alarm, tym razem publicznie za pozwoleniem władz. Wymienia jednak nową przyczynę trudności. W ubiegłej pięciolatce siła robocza ZSSR wzrosła o 11 milionów ludzi. W obecnej pięciolatce zaledwie o 3 miliony. Przy czym — podkreśla akademik — dwa i pół miliona tych nowych robotników wywodzi się z rdzennej ludności Azji Środkowej i Azerbejdżanu. W następnej pięciolatce przyrost siły roboczej będzie jeszcze mniejszy. Mało tego: „bazy surowcowe i energetyczne przesuwają się coraz bardziej na północ i wschód”. Aganbegian podaje, że na europejską część ZSSR wraz z Uralem przypada 9% potencjału surowcowo-energetycznego; 88% znajduje się na Syberii i Dalekim Wschodzie. Z liczb tych jasno wynika, dlaczego BAM jest niezbędna. Inne przytaczane przezeń liczby tłumaczą, dlaczego budowa magistrali trwała tak zdumiewająco długo. Akademik z naciskiem podkreśla, że „po raz pierwszy w naszych dziejach stoimy przed koniecznością oparcia całego wzrostu produkcji na zwiększeniu wydajności pracy”. Trzeba pracować znacznie lepiej, tymczasem dziś (podobnie jak wczoraj i przedwczoraj) ludzie pracują bardzo źle. Zbędne wyjaśniać, że artykuł nigdy by się nie ukazał, gdyby akademik nie zaproponował recepty na uleczenie choroby. Wygląda ona żałośnie. Jeden z najlepszych ekonomistów sowieckich, świadom bardziej niż ktokolwiek inny wad systemu, proponuje przyłożenie plastra na drewnianą nogę, czyli powrót do „reform” z początków epoki Breżniewa, o których tyle pisano i których nigdy nie wprowadzono w życie.

Ze projekty, plany i obliczenia Aganbegiana są śmiechu warte, widać najlepiej, jeśli się je zestawi z wydaną dopiero co książką Ilji Sztemlera „Uniwersum”. Dwa lata temu książkę tę, która stała się *bestseller'em*, drukowała w odcinkach prasa. Autorowi udało się obecnie po znacznych przeróbkach, wydać ją w formie

książkowej. Niewiele myśląc o literaturze, z którą książka nie ma wiele wspólnego, Ilja Sztetler stara się — skoro pozwalają — wyjaśnić, co znaczy w Związku Sowieckim słowo handel. Opisuje to na przykładzie dużego domu towarowego w dużym (nie nazwanym) mieście sowieckim, jego dyrektora, sprzedawców, kierowników wydziałów w ministerstwie i miejskim Komitecie partii, dostawców towarów, starań o wykonanie planu. Autor opisuje codzienne życie człowieka sowieckiego. Z opisu tego wynika, że człowiek sowiecki nie chce pracować, bo system jest taki, że lepiej jest nie pracować niż pracować. Najbardziej wymownym epizodem w powieści wydaje się opowiadanie o produkcji butów w miejscowej fabryce. Fabryka wykonuje i przekracza plan i dostaje premię. Obuwie przesyła do Uniwersytetu, ale nawet sowieccy nabywcy nie chcą go kupować. Dyrektor fabryki wie, że robotnik który klei podeszwy rozmyślnie niszczył „mądrą maszynę”, czyli dozator, który rozprowadzał klej tylko po określonej powierzchni podeszwy, resztę przestrzeni pozostawiając czystą. Chcąc przekroczyć plan robotnik rezygnuje z maszyny. Garściami nabiera klej, rozsmarowuje go po podeszwie, but wychodzi sztywny jak żelazo, nogi pieką... Dyrektor rozumie jednak, że i dla robotnika najważniejszy jest plan.

Partia, „przewodnia siła”, wie o tym wszystkim. Jakby w odpowiedzi na uwagi akademików-ekonomistów i pisarzy, zbyt pochłoniętych szczegółami, towarzysz Czernienko osobiście zaproponował cudowne panaceum na wszystkie biedy. Tu należy wspomnieć, że zjawiwszy się po półtoramiesięcznej nieobecności, generalny sekretarz przejawia coraz większą aktywność. Wygłasza coraz dłuższe przemówienia, chociaż dalej mówi tak niewyraźnie, jękając się i połykając słowa, że zrozumieć go może tylko ten, kto jego przemówienia przeczyta.

Najciekawsze przemówienie (ostatnich czasów) wygłosił 5 października na „Wszechzwiązkowym zebraniu kontrolerów ludowych”. Bowiem magiczne panaceum generalnego sekretarza — to kontrola. Dziesięć lat temu zorganizowano akcję „kontrolerów ludowych”, grupy *drużynników*, kontrolujących pracę sowieckich pracowników. Czernienko zażądał „dalszej aktywizacji i zwiększenia skuteczności kontroli ludowej”, którą nazwał „niezbędną, niezastąpioną częścią naszego systemu zarządzania społeczeństwem”. Czernienko zadał zebranym niezwykle interesujące pytanie. W danej chwili „oddziały kontrolerów ludowych liczą sobie 10 milionów ludzi”. „Dużo to czy mało?” — pyta generalny sekretarz. I rzeczywiście: dużo czy mało? Dziesięć milionów to dwa razy więcej niż siły armii sowieckiej. Z drugiej strony jednak ostatni spis ludności z 1979 naliczył w Związku Sowieckim 135 milionów ludzi aktywnych zawodowo. Dziś jest ich pewnie koło 150 milionów. Na jednego kontrolera wypada więc — w przemyśle i rolnictwie — 15 robotników! Nie ulega wątpliwości, że skutecznie kontrolować ich nie jest on w stanie. A kontrolować trzeba wszystkich — Czernienko nie zna litości. Przedmiotem kontroli mają być: „życie ponad stan”, pijaństwo, zła

praca. Nietrudno wyciągnąć z tego wnioski, że liczbę kontrolerów należy dwu- albo i trzykrotnie powiększyć. Kłopot jednak w tym, że „każdy ludowy kontroler powinien świecić przykładem wysokiej kultury politycznej i zawodowej, być wzorem uczciwości, pryncypialności, nieprzekupności”.

Warunki to trudne, nie można jednak powiedzieć, by były całkowicie nie do spełnienia. Idealnym ludowym kontrolerem mógłby być na przykład znany sowiecki dziennikarz Oleg Bitow, który we wrześniu ubiegłego roku przyjechał na festiwal do Wenecji, po czym zniknął. Pisałem wówczas o larum, jakie podniosła *Literaturnaja gazeta*, macierzysty organ Bitowa, o zrozpaczonych listach żony i matki, domagających się „oddania” męża, syna, współpracownika gazety. Bitow pojawił się w Anglii i poprosił o azyl, którego mu udzielono. Dokładnie w rok później zniknął z Anglii i wynurzył się w Moskwie. Na konferencji prasowej opowiadał, jak go męczono, torturowano, przesłuchiowano. I jak skorzystał z pierwszej nadarzającej się sposobności, by uciec z kapitalistycznego piekła do domu, do raj. Przedstawiam Bitowa do godności idealnego ludowego kontrolera, bo opuścił Londyn zostawiając sztuczne zęby (nie czekając na szczękę), a w banku 40 tys. funtów szterlingów, które jego dręczyciele-imperialiści zapłacili mu jako zaliczkę za nienapisaną jeszcze książkę.

Zdanie są podzielone: jedni uważają, że Bitowa wysłano na Zachód, inni (powołując się na zęby i pieniądze), że z Londynu porwali go sowieccy agenci. Jeszcze inni myślą, że Bitowa zmuszono do powrotu szantażem. Jak by nie było, ten Oleg Bitow, który wystąpił 18 września na konferencji prasowej, może być ideałem sowieckiego ludowego kontrolera lub sowieckiego pisarza.

Na jubileuszowym plenum zarządu Związku Pisarzy Sowieckich z okazji 50-lecia pierwszego zjazdu Konstanty Czernienko znowu wspominał o pisarzach i literaturze sowieckiej, podkreślając, że tylko socrealizm, „podstawowa metoda literacka naszej literatury i sztuki”, pozwala wychować prawdziwego człowieka sowieckiego, prawdziwego, by tak rzec, ludowego kontrolera. Pozostali mówcy dziękowali generalnemu sekretarzowi za „beźmiar zaufania do inteligencji twórczej”. Wszystkie wystąpienia dokładnie streszcza tytuł przemówienia sekretarza zarządu Związku Pisarzy ZSSR A. Markowa: „50 lat w służbie partii”.

Korzystając z 45-tej rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej, usłużyli pisarze jeszcze raz dowiedli w licznych artykułach i audycjach swego oddania. Zgodnie wystąpiła kohorta ulubionych dziennikarzy Stalina, którzy 45 i 40 lat temu sławili mądrość wodza, po śmierci Stalina na krótko umilkli, a dziś radośnie powtarzają stare teksty. Sowieccy specjaliści — tak jakby nikt niczego nie wiedział o okolicznościach wybuchu wojny i pakcie Hitlera ze Stalinem, głoszą: „...W tych warunkach rząd sowiecki nie mógł pozostać obojętny na los Białorusinów i Ukraińców... 17 września, powiadomiwszy odpowiednią notą posta polskiego w Moskwie, nakazał sztabowi głównemu Armii Czerwonej wydać

wojskom rozkaz do przejścia granicy i wzięcia w obronę życia i dobytku ludności Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi”.

Łatwo sobie wyobrazić, jak długo debatowano nad tym, w jaki sposób wspomnieć o pakcie hitlerowsko-sowieckim. Sądząc po tekstach, decyzja sprowadzała się do tego, by nic nie mówić o drugim pakcie (z 28 września), który nazywał się „paktem przyjaźni”, natomiast z naciskiem podkreślać, że pakt z 23 sierpnia dał narodowi sowieckiemu „dwa lata oddechu”. Naturalnie sługi partii po dziś dzień nie wspominają o tajnych załącznikach do paktów z hitlerowskimi Niemcami. O jednym z tych protokołów napisał Szymon Wiesenthal, posyłając do *Spiegla* (nr 39 z 24. 9. 1984) kilka dokumentów. Protokół o współpracy między NKWD i Gestapo, o który chodzi Wiesenthalowi, jest historykiem znany: podpisany 28 września, protokół ten przewidywał wspólną walkę przeciw polskiemu ruchowi oporu (zwanemu w protokole „polską agitacją”). Wiesenthal ujawnia pewne szczegóły współpracy między „organami” obu krajów, np. fakt, że do czerwca 1941 roku przedstawiciel NKWD przebywał w Krakowie w sztabie Franka i że gestapowcy odwiedzali swych kolegów-enkawudystów we Lwowie i Kijowie. Zdaniem Szymona Wiesenthala nie jest przypadkową zbieżnością, że wiosną 1940 roku Gruppenführer SS Bruno Streckenbach wymordował w specjalnej akcji 5 tysięcy polskich uczonych, zaś w tym samym czasie NKWD (nazwisko szefa operacji wciąż nie jest znane) mordowało w Katyniu...

Generał-gubernator Frank zanotował w swym dzienniku godne uwagi słowa generała NKWD Nabrasznikowa, który na widok powiewających obok siebie dwu flag — hitlerowskich Niemiec i pierwszego państwa socjalistycznego — trzepnął się z zachwytem po kolanie i krzyknął: „Obie flagi *sehr gut*, bardzo czerwone...”.

Subtelna uwagę generała NKWD można by uzupełnić informacją o priorytecie flagi sowieckiej: to ona pierwsza była czerwona, flaga hitlerowska tylko ją naśladowała. Pytanie, kto był pierwszy i dziś nie jest bez znaczenia. W prasie zachodniej pojawiły się ostatnimi czasy informacje o tym, że władze PRL zamierzają wprowadzić nową uprawomocnioną broń do walki z opozycją — banicję. Co prawda jednym z pierwszych teoretyków wygnania inteligencji twórczej z Utopii był Platon, ale formę prawną idei tej nadał dopiero Lenin.

Latem 1921 roku Rosja sowiecka przeżywała straszny głód — wynik wojny i polityki rządu sowieckiego. Chcąc pomóc głodującym szereg ogólnie znanych działaczy społecznych, którzy po zwycięstwie bolszewików nie wyemigrowali, zawiązało Społeczny Komitet Pomocy Głodującym. Rząd przyjął pomoc komitetu i tolerował jego istnienie do dnia, kiedy ARA (Amerykańska Administracja Pomocy), której przewodniczył minister handlu Hoover, podpisała z rządem sowieckim umowę o dostawie zboża dla głodujących. Natychmiast po podpisaniu umowy Komitet Pomocy Głodującym rozpadł się, a kierownictwo jego aresztowano. So-

wieccy wodzowie stanęli przed zagadnieniem: co robić? Ponieważ potrzebowali pomocy Zachodu i nie mogli wszystkich rozstrzelać, Lenin postanowił wysłać ich za granicę.

W 1922 roku przygotowywano pierwszy sowiecki kodeks karny. Lenin nadawał ton nowemu kodeksowi czynnie uczestnicząc w redakcji poszczególnych artykułów. W maju 1921 otrzymał od ludowego komisarza sprawiedliwości projekt nowego kodeksu. 15 maja wysłał mu odpowiedź. Cytuje w niej m.in. artykuł 5: „... Dopóki nie powstaną warunki zabezpieczające władzę sowiecką przed kontrrewolucyjnymi zakusami, rewolucyjne trybunały mają prawo stosować jako najwyższy wymiar kary rozstrzelanie za przestępstwa przewidziane w artykułach 58, 59, 60, 61, 62, 63+64 kodeksu karnego”. Lenin poleca: „Dodać artykuły 64 i 65 i 66 i 67 i 68 i 69. Dodać prawo do zamiany rozstrzelania na zesłanie za granicę, decyzją prezydium WCİK (terminowe lub bezterminowe). Dodać: rozstrzelanie za bezprawny powrót z zagranicy”. W końcu listu Lenin pisze: „T. Kurskij! Moim zdaniem trzeba szerzej stosować rozstrzelanie (z zamianą na zesłanie za granicę)...; trzeba znaleźć formułę, która ustali z w i ą z e k [podkreślenie Lenina] między takimi działaniami a międzynarodową burżuazją i jej walką przeciw nam (przekupywaniem prasy i agentów, przygotowaniem do wojny itp.)”.

Następnie Lenin napisał list do towarzysza Dzierżyńskiego, w którym sugeruje konkretne środki przygotowawcze dla „zesłania za granicę pisarzy i profesorów”; sporządza też listę „najbardziej podpadających pod ustawę kandydatów do banicji”. Nie spodziewając się pomocy ze strony towarzyszy, Lenin sam znalazł „formułę”, której się domagał w liście do Kurskiego: „Wszystko to są [mowa o pisarzach i profesorach] jawni kontrrewolucjoniści, wspólnicy bandytów, organizacja ich szlug i szpiegów i dewiantów młodzieży. Sprawę trzeba postawić tak, żeby tych 'wojennych szpiegów' bezustannie i systematycznie wyławiać i wysyłać za granicę”.

Latem 1922 „wyłowiono” i zesłano za granicę takich „wojennych szpiegów” jak N. Bierdiajew, L. Szestow, M. Osorgin, rektor Uniwersytetu Moskiewskiego prof. Nowikow, rektor Uniwersytetu Piotrogrodzkiego prof. Karsawin itd., itp. Ostatnim banitą był w 1929 roku Trocki, który czynnie uczestniczył w przygotowaniach banicji roku 1922. Po wygnaniu Trockiego tow. Stalin znalazł nowe formy walki z wrogami i o leninowskiej ustawie zapomniano. Zapomniano tak dalece, że Aleksander Sołżenicyn opowiada o osłupieniu więźniów szaraszki, kiedy usłyszeli o art. 20-tym punkt a, przewidującym tę karę, nieco tylko lżejszą od śmierci, a o niebo gorszą od dwudziestu pięciu lat katongi: „Iluż tu siedziało ludzi z bogatym stażem więziennym, a nikt nigdy nie słyszał o takim paragrafie... A co to takiego? — dobiegały ze wszech stron nieprzystojne propozycje. — Wykastrować... I ci,

1. W. I. Lenin, *Pełnoje sobranije sočinienij*, tom 45, str. 189.

2. *Tamże*, tom 54, str. 266.

co pamiętali artykuł, zgodzili się: "Właśnie, duchowa kastracja... Ogłoszą, że jesteś wrogiem ludu pracującego i wygnają za granicę ZSSR! A tam, na Zachodzie, choć zdechnij!" („W kręgu pierwszym”).

Zeki w szarazce się śmieli, sam autor ironizował. Tymczasem właśnie wobec niego zastosowano ten artykuł w 1974 roku — ćwierć wieku po wygnaniu Trockiego.

W ostatnich latach leninowska idea staje się coraz popularniejsza w kołach rządowych krajów dojrzałego socjalizmu: na wygnanie do RFN idą (za zapłatą) „niezadowoleni” z NRD; „niezadowolonych” wysłał też Castro, dodając im do towarzystwa przestępców kryminalnych; Wietnamczycy także szykują się do sprzedaży swoich więźniów politycznych. Dlaczegożby i polski sejm nie miał sięgnąć do leninowskiego skarbcza? Byłoby to jeszcze jednym dowodem niezachwianej prawdy, że Lenin umarł, ale dzieło jego żyje...

Adam KRUCZEK

10 października 1984

Kronika niemiecka

W związku z odwołaniem wizyty Ericha Honeckera w Bonn warszawskie *Argumenty* stwierdzają: „Nie tylko RFN istnieje na mapie Europy. Istnieje również Niemiecka Republika Demokratyczna, państwo socjalistyczne, sojusznicze. Trzeba je wspierać. Także z przyczyn najgłębiej patriotycznych, jak i ideowo-politycznych. Jest to również nasze przedmurze, jest to nasz przyczółek”... ■ Minister spraw zagranicznych RFN, Hans-Dieter Genscher, zapewnił w przededniu 45-tej rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej, że Republika Federalna Niemiec „uważa dziś i w przyszłości granice wszystkich państw w Europie za nienaruszalne” i Bonn nigdy nie będzie „przeciwno nikomu” wysuwać roszczeń terytorialnych. ■ Wśród laureatów IX/X Międzynarodowego Biennale Plakatu w Warszawie znalazło się aż czterech grafików zachodniemieckich: Frieder Grindler, Hans Hillmann, Günter Kieser i Gisela Cohrs. Natomiast Helmut Felix Büttner z NRD został wyróżniony przez jury za projekt plakatu reklamującego Biennale. ■ Jan Dobraczyński, przewodniczący PRON-u, snuje rozważania na temat niemieckie (*Słowo Powszechne*): „Pada nagle [z RFN] oświadczenie o rzekomym milionie Niemców żyjących w Polsce. 15 sierpnia na Jasnej Górze kardynał Prymas Glemp dał w tej mierze wyraźną odpowiedź. Niemców w Polsce nie ma. Ludność niemiecka opuściła obszary nadodrzańskie, historycznie polskie tereny — zaraz po wojnie, udając się do jednego z dwu dzisiejszych państw niemieckich. (...) RFN jako naród wymiera. Co roku ubywa tam ćwierć miliona mieszkańców. (...) Przy utrzymaniu się obecnych procesów demograficznych, za pięćdziesiąt lat dwadzieścia procent ludności będzie ludnością turecką. Bezrobocie rośnie. Zastanawia więc, skąd ta zachłanność, aby doszukiwać się Niemców tam, gdzie ich nie ma? Także

katolicyzm w RFN słabnie. (...) A tymczasem robi się wielki hałas w trosce o wychowanie religijne tych fikcyjnych polskich Niemców! (...) A ci, z prasy zachodniemieckiej, którzy pozwalają sobie pouczać Kościół w Polsce, że winien bronić języka niemieckiego, niech sobie przypomną Wrześnię”. Przypomina to znany wierszyk „Gdy Kara Mustafa, dzielny wódz Krzyżaków...”. ■ Zachodniobrzeńska agencja prasowa WONA informuje, że Ambasada PRL w Kolonii, zatrudniająca 102 pracowników, wykorzystuje do działalności wywiadowczej 29 osób. ■ W Berlinie Zachodnim powstał polski zespół teatralny pn. *Międzynarodowy Zespół Artystyczny SIGMA*. Pierwszą premierą było widowisko pantomimiczno-ruchowe *Maraton*, wystawione na scenie *Künstlerhaus Bethania* w reżyserii Zbigniewa Papisa. Scenariusz: Krystyna Korczak i Zbigniew Papis; scenografia: Małgorzata Starowiejska i Wojciech Brykalski. W kilkunastu dziennikach zachodniemieckich ukazały się przychylnie recenzje i wzmianki. ■ 9.373 Polaków w RFN jest posiadaczami PRL-owskich paszportów konsularnych. ■ *Stowarzyszenie Kulturalne POLONIA, Polski Związek Kulturalny i Misja Wojskowa PRL* zorganizowały wspólnie w Berlinie Zachodnim uroczystość z okazji 40-lecia PRL. Ponad 200 osób wysłuchało referatu o powstawaniu „władzy ludowej i zdobycach socjalizmu”. ■ Znaleźiska pochodzące z wykopalisk na wyspie Wolin zostały wystawione — po raz pierwszy w kraju zachodnim — w Lubece na ekspozycji zatytułowanej *Wolin — Vineta*. ■ Czytelnikom interesującym się sprawami polsko-niemieckimi polecam lekturę artykułu Stefana Krupińskiego pt. *Pomoc Niemców dla Polski i „Solidarności”*, zamieszczonego na łamach londyńskiego *Przeglądu Powszechnego* (nr 9/1984): „Słowo Niemiec wywołuje u wielu Polaków nowe skojarzenia. Setki tysięcy otrzymało pomoc. To nie pozostanie bez śladów”. ■ Tematyce polskiej poświęcona jest książka Güntera Schuberta, korespondenta zachodniemieckiej TV w Warszawie, pt. *Stolz, die Rüstung der Schwachen (Duma jest zbroją słabych)*. Publikacja ukazała się nakładem *Bund-Verlag* w Kolonii. ■ W Bochum czynna była wystawa pn. *SOLIDARNOŚĆ 80-84*. Jej inicjatorami i organizatorami były — *Chrześcijańska Służba Wyzwolenia Narodów* (koło w Dortmundzie) oraz *Związek Polskich Uchodźców* (oddział w Dortmundzie). Plastyką oprawę projektował i wykonał Jerzy Ludwik Janiszewski — artysta grafik z Bochum, przy pomocy Anny Arlet, architektki z Lünen. Wystawę zainaugurował koncert piosenki solidarnościowej i wojennej w wykonaniu Grzegorza Nurkowskiego z Düsseldorfa. Ekspozycją: plakaty, biuletyny, znaczki „S” i fotografie ze zbiorów Andrzeja Piwarskiego (Essen). ■ Liczba więźniów na 100 tys. mieszkańców w RFN — 100; w PRL — 300. ■ Podczas *Targów Lipskich Jesień 1984* — Polska zawarła kontrakty z NRD na wzajemne dostawy i usługi w roku 1985 na 260 mln rubli; ponadto uzgodniono na łączną kwotę 100 mln rubli dostawy na rok 1985 polskiego węgla i koksu w zamian za sole potasowe, poliuretany, ogumienie dla rolnictwa i kauczuk syntetyczny z NRD. ■ Herbert Hupka, wiceprzewodniczący *Związku Wypędzonych (BdV)* i deputowany do *Bundestagu (CDU)* twierdzi z uporem, że Polska „nie ma żadnego tytułu prawnego” do swoich ziem zachodnich i północnych. Zdaniem przewodniczącego *Ziomości Ślązaków* PRL panuje wprawdzie nad obszarami niemieckimi, ale nie sprawuje tam suwerenności terytorialnej. ■ Według porozumienia między PRL i NRD, Polacy zatrudnieni w Niemczech Wschodnich mogą 80 % zarobków wydać na towary NRD-owskie i przywieźć je do kraju. Zestaw przewożonych towarów nie może jednak wskazywać, iż są one przeznaczone na handel. Wielki problem dla większości Polaków pracujących w NRD stanowi nieznaną języka niemieckiego. Krajowe pismo *Nowości* podkreśla, iż według porozumienia każdy z pracujących w NRD Polaków powinien 200 godzin przeznaczyć na naukę niemieckiego. Niestety, zasada ta obowiązuje tylko na pa-

pierze. ■ Na zamówienie *Fundacji im. Eberta* ukazała się w zbliżonej do *SPD* oficynie *Verlag Neue Gesellschaft* (Bonn) praca zbiorowa pt. *Unge-wöhnliche Normalisierung. Beziehungen der Bundesrepublik Deutschland zu Polen* (*Niezwykła normalizacja. Stosunek RFN do Polski*). Wśród 30 autorów znaleźli się m.in.: Klaus von Bismarck, Karl Dedecius, Marion hr. Dönhoff, Erwin Kristoffersen, Antonin Meštan, Gotthold Rhode (na temat niemiecko-polskich rozmów w Lindenfels) i Hansjakob Stehle. ■ Różne organizacje charytatywne (*Niemiecki Czerwony Krzyż, Caritas, Zakon Maltański*), przedsiębiorstwa i osoby prywatne wysłały do Polski w lipcu i sierpniu br. z terenu Nadrenii-Westfalii transporty z lekami, sprzętem medycznym, żywnością i odzieżą o łącznej wartości 7,5 mln marek. W kwocie tej nie mieszczą się paczki osób prywatnych wysyłane drogą pocztową bądź za pośrednictwem specjalnych firm przewozowych (władze PRL odbierają ostatnio licencje niektórym z tych firm!). ■ Ludność NRD nie wzrosła w 1983 roku; Niemcy Wschodnie liczyły 16.701 tys. mieszkańców — trochę mniej niż rok wcześniej. ■ W ramach wymiany kulturalnej Krakowa z Norymbergą gościł w Polsce na zaproszenie krakowskiego *Teatru STU* norymberski zespół *Opernstudio* z przedstawieniem muzycznym, horror-operą *Wampir* według Heinricha Marschera. Reżyserem spektaklu był Peter B. Wyrsch, a kierownikiem muzycznym i dyrygentem — Ulrich Sprenger. Zespół wystąpił dwukrotnie w Warszawie na scenie *Teatru Małego*, a w Krakowie w namiocie przy ul. Rydla i w kopalni w Wieliczce. ■ W pierwszej połowie br. Polska osiągnęła w handlu z RFN nadwyżkę w wysokości 174 mln marek. ■ Policja zachodniobermberska odmówiła Andrzejowi Więckowskiemu, wydawcy i redaktorowi naczelnemu polskiego miesięcznika *Archipelag*, zezwolenia na kilkudniowy wyjazd do Hamburga w celu wygłoszenia odczytu. Więckowski miał mówić w *Akademii Ewangelicznej* na temat niepodzielności polskiej literatury w kraju i na emigracji. Berlińska biurokracja od pewnego czasu na różne sposoby szyskanuje tych Polaków, którzy dotąd z różnych powodów nie uregulowali spraw związanych z zezwoleniem na pobyt, np. osoby proszące o azyl są przymusowo wysiedlane do RFN. ■ We frankfurckim wydawnictwie *Suhrkamp Verlag* ukazał się kolejny tom prozy polskiej pt. *Hoffnung der Besiegten* (*Nadzieja zwyciężonych*). Jest to tom prozy pozytywizmu: opowiadania Sienkiewicza, Konopnickiej, Bałuckiego, Świętochowskiego, Prusa i Orzeszkowej w przekładach Karla Dedeciusa, Friedricha Griese, Witolda Kośnego, Olafa Kühla i Danki Spranger. Ta sama oficyna — również w serii *Polnische Bibliothek* — wydała zbiór fragmentów rozpraw Janusza Korczaka z zakresu pedagogiki pt. *Das Kind lieben* (*Kochać dziecko*), pod redakcją profesorów Ericha Dauzenrotha i Adolfa Hampela. Prace z polskiego tłumaczyli: Karl Dedecius, Armin Dross, Wolfgang Grycz, Winfried Lipscher i Katja Weintraub; z hebrajskiego — Schoshana Sachs. *Frankfurter Allgemeine* w superlatywach podkreśla celowość wydania pozycji o tej właśnie tematyce. ■ *Głos Pomorza* donosi z oburzeniem o „mszy przy drzwiach zamkniętych”, odprawionej po niemiecku przez polskiego proboszcza w Karlinie, dla kilku turystów z RFN („ile księdzu za nią dali marek?”): „Intencja musiała być nieczysta, skoro msza odbywała się przy drzwiach zamkniętych i na pewno nie była za darmo. (...) W polskim kościele niemieckie nabożeństwo! — w głowie się nie mieści. Kto pozwolił proboszczowi na taką hańbę?”. Na ciemniacką ksenofobię nie ma niestety lekarstwa. ■ Bp Alfons Nossol z Opola zaznaczył w rozmowie z korespondentem *Frankfurter Allgemeine*, że w Archidiecezji Wrocławskiej, głównie w okolicach Wałbrzycha, odprawiane są po dziś dzień msze św. w języku niemieckim. ■ Nakładem *Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza* w Poznaniu ukazała się praca zbiorowa pod redakcją Antoniego Czubińskiego — *Rola mniejszości niemieckiej w rozwoju stosunków politycznych w Europie 1918-1945*. ■ Zbiór esejów

Romana Schnura pt. *Polen in Mitteleuropa* (*Polska w Europie Środkowej*), ukazał się w *Nomos Verlagsgesellschaft* w Baden-Baden. ■ Biblioteka *Ośrodka Kultury i Informacji NRD* w Warszawie dysponuje 6 tysiącami książek i posiada reprezentatywny wybór gazet i czasopism. *Ośrodek* zorganizował w tym roku ponad 2.500 pokazów filmowych; dział sprzedaży oferuje książki, podręczniki nauki języka niemieckiego, albumy, płyty gramofonowe i przedmioty sztuki ludowej NRD. ■ Władysław Bartoszewski, „ambasador polskiej sprawy” (*Die Welt*), zakończył trwające przez dwa semestry wykłady na *Uniwersytecie im. Ludwika Maksymiliana* w Monachium. W *Institucie Rodzeństwa Scholl* (nauki polityczne) odbyło się uroczyste pożegnanie polskiego historyka i naukowca, na którym przemawiał m.in. minister Kultury rządu Bawarii — prof. Hans Maier. ■ Konsorcjum banków zachodniemieckich udzieliło Związkowi Sowieckiemu zrowanego przez rząd RFN kredytu w wysokości 500 mln marek na okres siedmiu lat. Spłata kredytu ma się rozpocząć za cztery lata w półrocznych ratach. ■ 300-osobowy chór i orkiestra *Związku Muzyków* z Düsseldorfu wystąpiły we wrocławskim kościele św. Magdaleny w ramach Festiwalu *Wratlavia Cantans*. W programie m.in. oratorium według kompozycji Arnolda Schönberga — *Ten co przeżył Warszawę*.

Andrzej J. CHILECKI

KRONIKA LITEWSKA

Grób Emilii Plater, znajdujący się na terenie Litewskiej SSR, we wsi Kapcziamiestis, jest w stałym zaniedbaniu. Porastające go zielsko bywa usuwane w momencie oczekiwania na przybycie oficjalnej wycieczki z Polski, co dzieje się nader rzadko. Wycieczek jest mało i nie każda otrzymuje zezwolenie zobaczenia grobu dowódcy powstania, które raz jeszcze połączyło naród litewski i polski w walce ze wspólnym wrogiem. ■ Litwa, w oparciu o pozostawioną jej autonomię w ramach imperium sowieckiego, nadal gospodaruje lepiej od innych republik związkowych. Widać to po zaopatrzeniu sklepów i po sposobie życia Litwinów. Ludzie z innych republik starają się przyjeżdżać do Wilna w celu dokonania zakupów. ■ 8 lipca odbył się w Sejnach WIEC PRZYJAŹNI młodzieży polskiej i litewskiej, na który miało przyjechać 800 osób z Litwy, oczywiście odpowiednio dobranych. Część z nich zatrzymano na granicy z powodu przewożenia zbyt dużej ilości towaru. Około 300-400 polskich milicjantów obstawiało wiec, na który miano wpuszczać tylko za zezwoleniem, tzn. znacznym wiewowym w klapie, lecz od godziny 11-tej nikt już tego nie pilnował. Spodziewano się, że tak jak przed ośmiu laty, strona litewska przywiezie pralki, lodówki, piwo i tym podobne rzeczy, których dotkliwie brak w Polsce, lecz Moskwa w ostatniej chwili zabroniła. Musiano ograniczyć się do handlu rublami, złotem i dolarami. Imprezę uznano ogólnie za nieudaną.

Kronika kulturalna

Tak nas widzą

(KRAJOWE OCENY LITERATURY EMIGRACYJNEJ)

Definicja literatury emigracyjnej

Termin „literatura emigracyjna”, potocznie używany i najbardziej pojemny, nie jest bynajmniej jednoznaczny. Cały wachlarz interpretacji nastrożają zarówno „emigracyjność”, jak granice czasowe i emocjonalny stosunek do literatury powstałej lub wydawanej poza Krajem. Związane z tym problemy są żywo dyskutowane, zwłaszcza w ostatnim dziesięcioleciu, gdy dodatkowo wyrosło zjawisko „wielkiej emigracji literatury krajowej” i najmniej szerzące się schorzenie „emigracji wewnętrznej”.

Na „literaturę polską na obczyźnie”, będącą zjawiskiem szerszym, składa się, po wrześniu 1939, pełny zestaw „druków polskich i Polski dotyczących wydanych poza granicami Rzeczypospolitej po 1. IX. 1939”. W obrębie tym mieści się piśmiennictwo czasu wojny, gdy rząd polski w Paryżu, Angers czy Londynie był oficjalnie uznawany przez Aliantów reprezentacją Kraju okupowanego przez Hitlera i Stalina. „Emigracyjność” wiąże się przeto formalnie z cofnięciem uznania temu właśnie rządowi w w czerwcu 1945 roku. W referacie „Historyczne i ideowe przesłanki literatury polskiej na emigracji¹” prof. Artur Hutnikiewicz wysunął propozycję, by za *terminus a quo* przyjąć datę konferencji jałtańskiej (12. II. 1945) „jako datę faktu o zasadniczym znaczeniu, leżącym u początku emigracji polskiej²”. Bibliografia

1. Mowa o referacie wygłoszonym na III Toruńskim Spotkaniu Krytyczno-literackim, 16-17. X. 1981.

2. Cytata według książki Zygmunta Lichniaka *Zanim powstanie panorama (Wobec literatury polskiej na emigracji)*, PAX, Warszawa 1983, str. 161 i 202.

„Literatury polskiej i teatru w latach II wojny światowej” w opracowaniu Jadwigi Czachowskiej i in. przyjmuje jako kryterium granic chronologicznych „fakty natury politycznej wybuchu i zakończenia wojny: dzień 1 września 1939 i dzień 8 maja 1945 r.”.

Nie wdając się w dyskusje nad słusznością (czy niesłusznością) owych trzech propozycji, stwierdzić należy, że w świadomości ogółu zwyciężył termin „literatura emigracyjna” na oznaczenie piśmiennictwa powstałego poza Krajem po 1. IX. 1939. Poza Krajem równolegle używany jest termin „literatura polska na emigracji”.

Sprawa właściwej definicji przewija się w wielu wypowiedziach krajowych. Na temat ten wygłosił referat dr Jan Sęk, pracownik Zakładu Badań Polonijnych Uniwersytetu M. Curie-Skłodowskiej w Lublinie. W szkicu pod tytułem „Literatura emigracyjna, polonijna czy polska na obczyźnie⁴” wyłącza on słusznie z literatury polskiej powstałej poza granicami państwa literaturę emigracji zarobkowej, polonijną, wyraźnie rysującą się w wieku XIX czy Dwudziestolecia i zasadniczo pokrywającą się z zasięgiem działalności przedwojennego Światopola.

Za Polonię uważa Sęk „zbiór jednostek i grup związanych genealogicznie z narodem polskim, które z różnych przyczyn znalazły się poza własnym obszarem etnicznym — zaznaczonym w latach niepodległości granicami państwowymi — przenosząc w określonej części trwałość łączących ich z nim więzów na kraje osiedlenia” (str. 74). Sęk uważa, że „nie da się wyodrębnić w dorobku piśmienniczym działu, który moglibyśmy określić mało precyzyjnym terminem literatura emigracyjna. Można natomiast mówić o literaturze polskiej powstałej za granicami państwa, czy na obczyźnie, jak wolą ją określać, w części skupisk wychodźczych oraz o literaturze polonijnej” (str. 86). Eliminuje to w pojęciu Sęka termin „literatura emigracyjna”, „wprowadzający niepotrzebny i sztuczny podział w ramach literatury polskiej”. „Nasuwa się również pytanie — dodaje — czy literatura rozumiana w kategoriach niematerialnych musi gdziekolwiek emigrować, czy jest w każdym zakątku globu u siebie?”

3. PAN, IBL. *Literatura polska i teatr w latach II wojny światowej*. Bibliografia. T. I-II. Oprac. Jadwiga Czachowska, Maria Krystyna Maciejewska i Teresa Tyszkiewicz. Ossolineum, Wrocław 1983-84. Informacja zaczerpnięta z przedmowy do t. I, str. V.

4. Polonijne Centrum Kulturalno-Oświatowe Uniw. M. Curie-Skłodowskiej w Lublinie. *Polska literatura emigracyjna. Materiały z Sesji Naukowej (10. VI. 1981)*. Redakcja naukowa: Wojciech Białasiewicz. Lublin, 1983. Referat J. Sęka — str. 67-86. Autor „napisał szereg artykułów poświęconych działalności kult-ośw. Polonii w Brazylii, Wenezueli i Nowej Zelandii”.

W książce Zygmunta Lichniaka *Zanim powstanie panorama* już w podtytule figuruje *literatura polska na emigracji*, gdyż — jak ujął to Zbigniew Irzyk w recenzji w *Kierunkach* (20. I. 1984) — termin „literatura emigracyjna” zawiera „kwalifikację ideologiczną”, podczas gdy „literatura na emigracji” jest „określeniem lokacyjnym”, „bliższym teraz złożonej dialektyce polonijnego życia literackiego”. Słowem — w przekładzie z nowomowy — *emigracja, emigracyjność* zalatują opozycją, a *na emigracji* ma wydźwięk neutralny, geograficzny, „lokacyjny”.

Jedna czy dwie literatury?

W wypowiedziach krajowych na temat „Jedna czy dwie literatury?” dominuje przekonanie o wspólności wartości uniwersalnych, jakimi są literatura i kultura narodowa. W ankiecie *Więzi* (lipiec 1983) siedmiu zapytanych opowiedziało się za jednością, a dwu niedopuszczonych przez cenzurę do głosu prawdopodobnie dołączyłoby się do nich. Jeden tylko z dziesięciu zapytanych przez Redakcję, a mianowicie Tomasz Łubieński, widzi dwie literatury, powstające w odmiennych warunkach. Są one, jego zdaniem, „nawet konkurencyjne i mimo wzajemnych serdecznych oczekiwań pełne obustronnej pretensji”. Uważa, że rozdwojenie na literaturę, mającą do czynienia z Głównym Urzędem Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk i powstającą „w obojętnym świecie” (teoretycznie wolną) jest „szczęśliwą, wzbogacającą okolicznością”⁵.

Jan Błoński, uznając jedność literatury, posuwa się tak daleko, iż uważa, „że samo wyodrębnianie *literatury emigracyjnej* nie jest dobrym zabiegiem — ani badawczo, ani wydawniczo. Lepiej zakładać, że istnieje jedna polska literatura i wydawać z niej wszystko, co wartościowe”.

Oceny wartości i znaczenia literatury emigracyjnej, pojętej jako „integralna część piśmiennictwa i kultury narodowej” różnią się niejednym w pojęciu odpowiadających na ankietę. Tak np. Paweł Hertz sądzi, że „spoczywa na niej z pewnych względów znaczna odpowiedzialność wobec kraju”, a Bolesław Łagowski

5. *Więź*, miesięcznik, XXVI, 1983, nr 7. Zawiera odpowiedzi: Jana Błońskiego, Czesława Hernasa, Pawła Hertza, Bronisława Łagowskiego, Tomasza Łubieńskiego, Andrzeja Mencwela i Juliusza Żuławskiego. Konfiskacie uległy odpowiedzi poety Bronisława Maja (tegorocznego laureata nagrody Fund. im. Kościelskich w Genewie) i Janusza Sławińskiego. Ankieta rozesełana była wiosną 1983, jako próba „wyjścia z szerszą formułą rozumienia polskości i kultury narodowej” (ze słowa wstępnego od Redakcji pt. „Wybory i konieczności”, str. 3).

uważa, że „piśmiennictwo emigracyjne jest w większym stopniu wyrazem potrzeb wewnętrznych aniżeli piśmiennictwo krajowe” i chwali w nim brak zafascynowania „przejsiowymi modami intelektualnymi Zachodu” — dostrzega też starania o dobrą polszczyznę. Krytycznie odnosi się natomiast do literatury emigracyjnej Andrzeja Mencwela. Widzi w niej zaledwie „odmianę literatury regionalnej czy środowiskowej, rzadko wznoszącą się ponad bezpośrednie uwarunkowania” — „stanowi [ona jednak] faktycznie składnik literatury narodowej, niekoniecznie natomiast jest tym składnikiem wartościowo”. Juliusz Żuławski dostrzega, jako potwierdzenie jedności literatury, fakt, że „dostępna w kraju” traci „pozorną odrębność”.

Tenże Żuławski wypowiadał się znacznie dosadniej w sprawie jedności literatury w przemówieniu wygłoszonym wcześniej, 11 grudnia 1981, na Kongresie Kultury Polskiej w Warszawie (sesja II)⁶. Na równi z praktykami cenzury potępiał „rozrywanie tradycyjnej jedności kultury polskiej, owo zaciekle odcinanie kraju od wielkiego dorobku nauki i literatury polskiej rozwijającej się za granicą. I ciągle jeszcze nie są to sprawy przeszłości”. Wprawdzie wydaje się już u nas niektórych pisarzy spoza kraju, szczególnie zmarłych — ciągnął — ale oto zaledwie parę tygodni temu zaatakowano w telewizji w sposób oszczerczy i haniebny, choć niedołączny, ludzi tak zasłużonych dla kultury polskiej jak Józef Czapski, Jerzy Giedroyc i laureat Polskiego PEN-Clubu Konstanty Jeleński”.

Inaczej patrzy na problem jedności literatury polskiej Zygmunt Lichniak i recenzenci jego wspomnianej już wyżej książki⁷. Gorszy więc Lichniaka lansowanie poglądu o jedności literatury polskiej bez uwzględniania „granic świata podzielonego”, co jego zdaniem nasuwa wizję „bezkonfliktowej jedności”. Z wyraźnym upodobaniem rozwija ryzykowny pomysł „budowania mostów” — i tu nie formułuje jasno nad czym? — chyba nad „przepaściami głębokich różnic”? Tonem namaszczonego, charakterystycznym dla całości jego wywodów, opowiada się jednak ekumenicznie za łągodzeniem różnic, aczkolwiek jest zdania, że wspólnej sprawie źle służy „unienormalnianie tego, co powinno być normalne, choć przez wiele lat kształtowało się nienormalnie. Jednej nienormalności nie wolno przewyciężać inną nienormalnością”. Konia z rzędem temu, kto rozwikła sens tej koncepcji!

Budowanie mostów nie wydaje się właściwą procedurą zastępcy redaktora *Tu i Teraz*, Janowi Koprowskiemu⁸. Czy próby

6. *Kongres Kultury Polskiej*. 11-13. XII. 1981, Warszawa. Cytata z powielanego sprawozdania z obrad, wydanego poza Krajem w 1983, str. 48.

7. Zob. przypis 2.

8. *Tu i Teraz*, 16. II. 1984.

w tym kierunku przyniosą rezultaty? — pyta: „zależć to będzie od rozwoju sytuacji w Polsce i na świecie. Ale nie należy zaprzestawać starań o ocalenie wszystkiego, co cenne i wartościowe z piśmiennictwa powstającego poza granicami i wprowadzania go na rynek ojczysty w nadziei, że wbrew wszelkim podziałom, Polska jest jedna dla wszystkich i jej literatura, gdziekolwiek by nie powstawała, wpływa do jednego wielkiego strumienia kultury narodowej”.

Podobnie podchodził do problemu jednej czy dwu literatur Julian Przyboś⁹. Uważał on podział literatury na emigracyjną i krajową za sztuczny i w złym sensie propagandowy. „Artystyczne słowo polskie — głosił — ma swoją cenę niezależnie od tego, gdzie zostało wypowiedziane i to często nawet wbrew poglądom wyznawanym przez samego pisarza”.

Lichniak — advocatus diaboli

Po ukazaniu się książki Lichniaka *Zanim powstanie panorama* główny jej recenzent, Zbigniew Irzyk¹⁰, powitał ją jako opracowanie „wyjątkowo potrzebne i aktualne”. „Odkrywamy — pisał — z pewnym zdziwieniem — zaskoczeni rozmiarami samego zjawiska — znaczącą część naszej literatury, niby zarysy jakiegoś egzotycznego ładu. Swoistej Atlantydy”. „Otrzymaliśmy książkę niezwykle pożyteczną, wartko napisaną i świetnie wprowadzającą w arkana literatury polskiej na emigracji”. Ocena, o charakterze panegirycznym, świadczy raczej o głodzie wiadomości o literaturze emigracyjnej, niż o głodu tego zaspokojeniu.

Zygmunt Lichniak (ur. 1925), działacz paxowski związany z redakcjami *Dziś i Jutro*, *Kierunków*, *Życia i Myśli*, *Słowa Powszechnego* itp., zajmuje się literaturą emigracyjną od roku 1955. Znalazło to wyraz w licznych wypowiedziach prasowych i niemal trzydziestoletnim gromadzeniu materiałów do wydanej w 1983 przez PAX książki *Zanim powstanie panorama. (Wobec literatury polskiej na emigracji)*. Według oświadczenia autora książka jest końcowym stadium wieloletniego pasma przeróbek i uzupełnień. Pierwsza jej wersja, powierzona śp. Janinie Kolendo w PAX-ie w roku 1970, mimo starań o jej wydanie „nie pasowała

9. W eseju „Do poetów i krytyków na emigracji” (w tomie „Linia i gwar”, Kraków 1959, II, str. 146). Jes- to niejako włączenie się Przybosia do dyskusji okrągłego stołu w programach Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa (pod przewodnictwem Tymona Terleckiego), której byłam uczestniczką.

10. Zbigniew Irzyk: „Panorama literatury emigracyjnej”. *Kierunki*, 20. V. 1984.

do klimatu tamtego okresu”. Przeleżała dziesięć lat w szufladzie, z której autor wydobył ją „u progu wielkiej szansy” w roku 1980, gdy — czego nie dopowiada — cenzura nieco zelżała. Ocieplenie okazało się, jak wiadomo, względne, a dziś, gdy piszę te słowa (w październiku 1984), wątpić należy, czy książka Lichniaka mogłaby się w ogóle ukazać, gdyż autor wyraźnie sprzyja planom edytorskim zmarłego w międzyczasie Sprusińskiego, a nawet grudniowemu (1980) wnioskowi Związku Literatów Polskich „o konieczności jak najrychlejszego wydania kanonu dzieł najwybitniejszych pisarzy polskich, którzy tworzyli bądź tworzą na emigracji”.

Wydana w 1983 roku książka jest, jak wyjaśnia autor, wstępem do obszerniejszego opracowania o tytule „Prywatny leksykon literatury na emigracji”, który ma się ukazać „za rok, dwa”, a którego fragmenty drukuje od czasu do czasu *Słowo Powszechnie*.

Książka dzieli się na pięć rozdziałów: I. „Mały traktat o budowaniu mostów¹¹”; II. „O mostach zwodzonych i zawiedzionych nadziejach”; III. „U progu wielkiej szansy: nowe filary pod trwałe przesła”; IV. „Różdzkarskie poszukiwanie źródeł”; V. „Zarys mapy odkrywanego ładu”; i ma charakter rozbudowanej do 214 stron przedmowy do dalszego ciągu. Osobliwością jej jest to, że wypełniające ją sądy są z reguły orzekające, w formie stwierdzeń typu: „Niepotrzebnie każdą książkę stamtąd uważa się za ampułkę bakteriologiczną czy bombę zegarową. Jest w tym dużo przesady¹²”, to znaczy w formie bezosobowej, albo w *pluralis maiestatis*. Lektura wywodów Lichniaka nie jest zajęciem wycieczkowym. Pompatyczność idzie w nich w parze z pustostłowiem, rozgadaniem o wyraźnych cechach gładzenia i męczącymi powtórzeniami. Tak np. wielokrotnie powraca Lichniak do pomysłu budowania mostów (także i zwodzonych, co ułatwia przetrwanie zmian polityki wydawniczej) oraz „mapy odkrywanych ładów”, na którą pracowicie nanosi informacje o literaturze na emigracji.

Warto zatrzymać się przy trudnościach, z jakimi spotykał się przy gromadzeniu materiałów do książki. Wbrew zapewnieniom dyrektora Biblioteki Narodowej Stanisława Czajki, iż „prohibitorów mamy niewiele...¹³” i że do celów naukowych, działalności publicystycznej itd. udostępniane są „publikacje o wymowie politycznej wrogiej wobec Polski Ludowej”, „gdy czytelnik uzasad-

11. Druk. także w *Polskiej literaturze emigracyjnej*, zob. przypis 4.

12. Cytata z art. pt. „Kurtyna w górę” (*Dziś i jutro*, 1955), zob. *Zanim powstanie panorama*, str. 46.

13. *Przegląd Tygodniowy*, 1984, nr 4.

ni celowość korzystania z nich" — z książki Lichniaka wynika, iż ogromne połacie wydawnictw emigracyjnych pozostały poza zasięgiem jego poszukiwań. Czym np. wytłumaczyć, że idąc ślepo za danymi zawartymi w artykule Janiny Zabielskiej, ogłoszonym w „Literaturze polskiej na obczyźnie¹⁴” w roku 1965 podaje, iż Biblioteka „Kultury” „w początkowym okresie” wydała 35 książek — i co dalej? Nic. Autor do tematu tego nie powraca! Tyle tylko, że od czasu do czasu zjawia się wzmianka o poszczególnych tytułach wydawnictw Instytutu Literackiego bez wiązania ich z Biblioteką „Kultury”, która w roku wydania książki Lichniaka dobrze przekroczyła 300 tytułów. To samo zjawisko występuje przy pracach bibliograficznych. Lichniak korzystał niewątpliwie z tomu pierwszego „Bibliografii” Zabielskiej¹⁵, ale nie wydaje się, by znał z autopsji dwa dalsze tomy (II i III), wydane przez Bibliotekę Polską w Londynie, i by wiedział że dalsze istnieją w formie kartotek. Trudno także zrozumieć, dlaczego obszernie cytaty z moich „Szkiców o literaturze emigracyjnej” (np. na str. 50-52) nie figurują w indeksie przy moim nazwisku, choć z tekstu wynika, że pochodzą „z tego samego źródła”. Na *curiosum* zakrawa fakt, że pisząc o Andrzeju Bobkowskim, Lichniak cytuje jego negatywną wypowiedź o „Wojnie i pokoju” Tołstoja na podstawie „Szkiców o literaturze emigracyjnej” a nie wprost ze „Szkiców piórkem” Bobkowskiego — czyżby znał je tylko z drugiej ręki? Hurtowne pokwitowania nie oddają rozmiarów bezceremonialnych zapożyczeń z emigracyjnych opracowań. Uderza to szczególnie w odniesieniu do rozdziału V-go, wyzyskującego opracowanie śp. Zabielskiej.

Szeroko omawia Lichniak „mit apoteozy współczesnej literatury polskiej jako ziemi obiecanej, gdzie wyrastają jeno arcydzieła i kwitną stubarwnym kwieciami, owocując li-tylko pomarańczami. Gdzie tam polskim jabłkom czy gruszkom, a zwłaszcza socrealistycznym ulegątkom, do soczystości i piękna zakazanego owocu?”. Mit ten narodził się w epoce „monometody” (tj. socrealizmu), która w pojęciu Lichniaka nie była latami tak chudymi, za jakie się je uważa. Za niesłuszny uważa jednak także „mit totalnej antypolskości”, utrzymujący, że literatura emigracyjna jest produktem działalności „obcej agentury przybranej w literackie szaty”. Oba mity trwają jego zdaniem nadal, z tym że apoteoza doprowadza jej wyznawców do „padania na klęczki” czy też postawy „klęcznikowej”.

14. *Literatura polska na obczyźnie, 1940-1960* pod red. Tymona Terleckiego, t. II, 1965, str. 549-572.

15. *Bibliography of books in Polish or relating to Poland publ. outside Poland since Sept. 1, 1939*. Compiled by Janina Zabielska. London 1953, Polish University College.

Ponieważ klimat polityczny wyraźnie nie sprzyja budowaniu mostów, zwłaszcza dwukierunkowych, Lichniak ratuje się pomysłem stosowania zastępczo mostów zwodzonych, powołując się na przykład odwilży. Po czasie zawiedzionych nadziei rozpoczął się okres wielkiej szansy pod znakiem: „Ile Wałęsa zawdzięcza Wojtyłce? Ile Miłosz zawdzięcza Wałęsie?”. Początek drastycznych zmian datuje na rok 1978 i wiąże z nim, zwłaszcza od wydarzeń sierpniowych 1980, wielkie nadzieje. Konkretnymi przejawami jest dla niego np. ożywienie „gombrowiczologii” i „miłoszologii” oraz powroty Skamandrytów „przez bramę śmierci”. Czytelnicy pochłaniają łączywie książki pisarzy emigracyjnych, artykuły o nich, wywiady z nimi (np. w *Tygodniku Powszechnym*), pojawiają się żądania przedruków, np. obejmująca 41 nazwisk lista zmarłego w międzyczasie M. Sprusińskiego. Ten ostatni, odznaczający się dużym poczuciem rzeczywistości, pominął Herlinga-Grudzińskiego, Józefa Mackiewicza i Tadeusza Nowakowskiego, ponieważ „tematyka ich prozy czy esejów i polityczne uwikłania nie pozwalają na przedstawienie ich książek czytelnikowi w kraju” (co Lichniak w pełni aprobuje). Analogiczne zarzuty stawia Józefowi Czapskiemu, „tkwiącemu w realiach świata podzielonego”. Upominanie się o nich, sądzi Lichniak, grozi komplikacjami „w kraju wpisanym twardo i nieodwracalnie w konkretne miejsce świata” — „nie ma dla nas istnienia poza historią, nawet gdy ktoś chciałby być przeciw niej”. Starać się należy — on to robi we własnym przekonaniu — by „tragedia świata pękniętego” nie przeobraziła się „w tragedię podzielonego człowieka”. Nieco później, w referacie na sesji lubelskiej, dodaje: „Tam, gdzie już istotnie nie sposób się porozumieć, trzeba szukać sposobów, by przynajmniej móc pełniej zrozumieć niemożność porozumienia” (10. VI. 1981). Trzy lata później, gdy w grudniu 1981, imaginacyjne mosty Lichniaka wyleciały w powietrze, wobec „przepolitycznienia” literatury nie widzi już szans innych, jak norwidowskie „Różnić się mocno i pięknie, a nie całować¹⁶”. Po wprowadzeniu stanu wojennego rysuje się przed nim, w ramach kryzysu ZLP, „przepaść bez mostów, bo w obrębie środowiska pisarzy krajowych.

Dwudziestotysięczny nakład książki Lichniaka wykupiono na pniu, doszukując się w nim rewelacji o literaturze „źle obecnej”. Zamiast próby zarysu historii literatury emigracyjnej znaleziono mętne wynurzenia autora, stosującego autocenzurę i staranną selekcję cytowanych nazwisk i tytułów. Nie grzeszy zresztą dokładnością w przekazywaniu informacji. Tak np. Juliusz Mieroszew-

16. Cyt. z artykułu „Wbrew potępienięcym swarom”, *Kierunki*, 1. IV. 1984 — artykuł dotyczy zasadniczo konsekwencji rozwiązania ZLP.

ski rozdziwił się na Jerzego i Juliana, wobec czego — jak podaje na str. 53 — przeciw uchwale Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie z 1956 roku głosowali „obaj Mieroszewscy”. Leopold Kielanowski zamienił się w Ludwika, matka Grydzewskiego, sprzedaż pierścionka której umożliwiła start *Wiadomości Literackich*, zamieniła się w indeksie w Mieczysława Grydzewską, przypuszczalnie żonę „Grydza”, nie mającą odpowiednika w rzeczywistości.

Trzydziestoletni (wówczas, tj. r. 1955) Lichniak rozpoczynał gromadzenie materiałów do książki o literaturze emigracyjnej w okresie odwilży, kilkakrotnie pertraktował z cenzurą w sprawie jej wydania, ujrzał wielką szansę w sierpniu — a gdy wreszcie okałeczony i przedawniony w wielu szczegółach, nadal ostrożny i przymilny tekst ukazał się w druku — i ta wersja słabe ma chyba widoki ukazania się w nowym wydaniu, a zwłaszcza z suplementem za ostatnie lata. Słowem: tragikomiczny niewypał.

Sesje naukowe na temat „Polska literatura emigracyjna”

Było ich niewątpliwie więcej, ale udało mi się trafić na tropy czterech. Były nimi:

1. Sesja zorganizowana przez Instytut Badań Polonijnych Uniwersytetu Jagiellońskiego, prawdopodobnie w 1980 roku¹⁷.

2. Sesja zorganizowana przez Polonijne Centrum Kulturalno-Oświatowe Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, wspólnie z Zakładem Duszpasterstwa i Migracji Polonijnej KUL-u, w dniu 10. VI. 1981. Materiały z tej sesji ogłoszono w cytowanej już książce pt. „Polska literatura emigracyjna” (Lublin 1983, str. 150¹⁸).

3. III Toruńskie Spotkanie Krytyczno-Literackie, 16-17. X. 1981, na temat „Współczesna literatura polska na emigracji”, zorganizowane przez Instytut Filologii Polskiej Uniwersytetu

17. Sprawozdanie o tej sesji pióra Wojciecha Wyskiela ukazało się w *Przeglądzie Polonijnym*, 1980, zesz. 4, str. 105, do którego nie dotarłam.

18. Zawiera teksty następujących referatów: Zygmunt Lichniak: „Mały traktat o budowaniu mostów”; Andrzej Kłossowski: „Polskie ośrodki wydawnicze na obczyźnie”; Jadwiga Czachowska: „Literatura polska i teatr w latach II wojny światowej. Bibliografia”; Jan Sek: „Literatura emigracyjna, polonijna czy polska na obczyźnie”; Janusz Kryszak: „Urzeczeni biologią i historią. Rzecz o Marianie Czuchnowskim i Józefie Łobodowskim”; Kazimiera Krakowiak: „Obraz osobowości autora w *Dzienniku* Jana Lechonia”; Waldemar Michalski: „Dylemat moralny współczesnego poety. Rzecz o Czesławie Miłoszu”; Stanisław Barć: „Twórczość Mariana Pankowskiego w świetle głosów krytyki”; Jacek Giszczak: „*Kompleks polski* Wit. Gombrowicza”; Ireneusz K. Kamiński: „Wittlin z kresów”.

M. Kopernika, Oddział ZLP w Toruniu i biblioteki naukowe toruńskie¹⁹.

4. Sympozjum naukowe zorganizowane w dniu 27-30. X. 1981 przez Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk²⁰. Sądząc z programu, była to impreza najpoważniejsza.

Poza ostatnim (4) Sympozjum Instytutu Historii, którego bogaty program oznacza wyjście poza ostrożnie dobierane tematy, wyczuwa się stosowanie podziału na pisarzy, o których już — tj. w roku 1981 przed ogłoszeniem stanu wojennego — można mówić, i przemilczanych lub ułamkowo tylko ujawnianych²¹. Lichniak pisze otwarcie, iż „szanse dialogu z emigracyjnym twórcą najlepiej otwierał jego nekrolog”. Tym bardziej są więc godne podziwu studia prof. Marii Dłuskiej o twórczości Kazimierza Wierzyńskiego, odważnie ogłaszane za życia poety. Ale i zgon emigracyjnego poety nie oznaczał i nie oznacza dotąd pełnej amnestii. *Totschweigen*, z którego drwił Andrzej Bobkowski, obejmuje np. nadal *Czarny polonez* Wierzyńskiego, nieobecny w wydaniach „pierwszego obiegu”, skwapliwie odbijany w samizdatkach. We wspomnieniu pośmiertnym o Wierzyńskim²¹ Iwaszkiewicz daje praktyczną radę, by kłopotliwy cykl wierszy „pomijać przy oma-

19. Lichniak (str. 202) informuje, że program obejmował następujące referaty: Artur Hutnikiewicz: „Historyczne i ideowe przesłanki emigracji polskiej po roku 1945”; Zygmunt Lichniak: „W stronę współczesnej literatury polskiej na emigracji”; Janusz Kryszak: „Poezje do odzyskania”; Bolesław Taborski: „Młodsze pokolenie pisarzy emigracyjnych w perspektywie historycznej”; Józef Speina: „Życie Polaków na obczyźnie w prozie powojennej emigracji”. Referat Hutnikiewicza, wysuwający propozycję datowania literatury emigracyjnej od konferencji jałtańskiej (12. II. 1945), poparty przez Janusza Kryszaka, omawia Lichniak na str. 161-162.

20. Lichniak (str. 144) wylicza według programu następujące referaty: Krzysztof Dybciak: „Instytut Literacki w Le Mesnil-le-Roi”; Janusz Stradeccki: „O *Wiadomościach* londyńskich”; Lidia Rola: „Samoobrona czy walka o nową treść — o funkcjach *Zapisu* i *Pulsu*”; Hanna Filipowska: „Lubelskie Spotkania (komunikat)”; Jacek Łukasiewicz: „Poeci z 'nowej fali'”; Aleksander Gieysztor: „Pamiętnikarz i historyk — 'Kurier z Warszawy'”; Klemens Szaniawski: „Metafizyka zniewolenia — świadectwo Aleksandra Wata”; Zofia Stefanowska: „*Dziennik Herlinga-Grudzińskiego*”; Leszek Szaruga: „Proza Tomasza Stalińskiego”; Małgorzata Szpakowska: „Kisielewski: powieści dla dorosłych”; Marta Wyka: „Wielki mistrz eseju”; Maria Janion: „Zasypie wszystko, zawieje”; Jan Zieliński: „Rekontra”; Andrzej Werner: „Nasza mała apokalipsa”; Tomasz Burek: „Zapomniana literatura polskiego pałdziernika”; Jan Józef Lipski: „Ojczyzna Antygony”; Jan Walc: „Obóz Wszystkich Świętych”; Roman Zimand: „Tyrmand '54”; Marek Zaleski: „O *Miesiącach* Kazimierza Brandysa”; Teresa Walas: „*Miazga* czyli o walce z szatanem”. Sesja odbyła się w Sali im. J. Lelewela w siedzibie Instytutu Historii PAN przy Rynku Starego Miasta. Omówił ją Andrzej Urbański w numerze 46 *Literatury*, 1981, w artykule pt. „Literatura źle obecna”.

21. *Twórczość* 1969, nr 4.

wianiu jego twórczości lat ostatnich" (zmarli potrafią przemawiać i zza grobu: *exemplum* Aleksander Wat).

Sesje ujawniają ciekawy i ważny aspekt badań krajowych nad literaturą emigracyjną. Większość referatów to skróty lub wybrane rozdziały prac magisterskich i rozpraw doktorskich. Większość dotyczy pisarzy z list prohibitów i książek pilnie konfiskowanych przez cenzurę. Można doktoryzować się na podstawie rozprawy o *Dzienniku* Gombrowicza opartej na przesznuowanym egzemplarzu! Nobel Miłozza ujawnił mnogość polonistów, potrafiących się rzeczowo wypowiadać o jego twórczości powojennej. Przed kilku miesiącami odpowiedzi na ankietę *Polityki* zaniepokoiły władze tym właśnie, że respondenci znali i wysoko cenili „Zniewolony umysł” i „Ziemie Ulro” Miłozza i nie wyrzucili z pamięci „Złego” Tyrmanda.

Emigracyjny numer Więzi (lipiec 1983)

Interesującą i udaną próbą powiązania literatury krajowej z emigracyjną jest lipcowy numer warszawskiego miesięcznika *Więź* z roku 1983. Otwiera go omówiona już poprzednio ankieta „Jedna czy dwie literatury?”, wynikami zadziwiająco zblizona do analogicznej imprezy londyńskiego *Pamiętnika Literackiego* (t. I, 1976), wydawanego przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Poezję emigracyjną reprezentują w nim wiersze Wacława Iwaniuka (*Ars poetica*) i Witolda Wirpszy (*Monolog w samym centrum*), prozę świetnie dobrane fragmenty *Dziennika pisanego nocą, 1971-1972* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, nieobce czytelnikom samizdatów, oraz *Perypetie Sokratesa* Stanisława Vincenza, wyjęte z nieukończonych książki, nad którą autor pracował w czasie wojny na Węgrzech i potem we Francji. Tę małą antologię tekstów pisarzy emigracyjnych uzupełniają szkice Anny Nasiłowskiej „Kompleks pielgrzymstwa” w *poezji emigracyjnej*²². *Latarnik* Marka Pieczary jest udaną ewokacją Andrzeja Bobkowskiego, który życiem własnym potwierdzał autentyczność bohaterów powieści Conrada, a Stefan Zabierowski w szkicu o Wicie Tarnawskim słusznie przypomniał godny częstszego cytowania wiersz jego *Do Conrada*. *Dziennik* Lechonia, tak wysoko ceniony przez prof. Artura Hutnikiewicza (*Więź*, 3/1975) bardzo trafnie interpretuje Anna Bernat. „Skamandrycką” część numeru wspaniale reprezentuje *Sól ziemi i głos Orfeusza* Krzysztofa Dyb-

22. Tu warto przypomnieć, że już w zimie 1940 roku paryskie Towarzystwo Bibliofilów Polskich planowało w Bibliotece Polskiej, jako pierwsze wydawnictwo czasu wojennego przedruk „Książ narodu i pielgrzymstwa”, a potem wydawano je kilkakrotnie, m.in. dwa razy w Bibliotece „Kultury”.

ciaka — esej o Józefie Wittlinie. Sylweta Józefa Czapskiego w ujęciu Andrzeja Nowakowskiego i recenzja *Patrząc* pióra Włodzimierza Pawłowskiego są wnikliwą analizą „sztuki krytycznego patrzenia”, bez doszukiwania się w niej, niestety, związków z przeżyciami lat wojennych i przyczynami 20-letniej „artystycznej nieobecności” w Kraju autora „Na nieludzkiej ziemi”.

Jest i Gombrowicz. Ściślej: „Hrabia Gombrowicz” Joanny Siedleckiej, nieszkodliwie złośliwa a dobrze zaserwowana plotka literacka o Gombrowiczu w Argentynie.

Zestaw nazwisk pisarzy emigracyjnych i dobór tekstów wskazuje na dobre rozeznanie redakcji *Więzi* w głębszych pokładach literatury emigracyjnej. Numer jest odpowiednikiem udanej sesji naukowej, a fakt, że ukazał się na pustkowiu feralnego roku 1983 podnosi jego znaczenie.

Inne formy infiltracji literatury emigracyjnej

Pisanie o twórczości pisarzy źle widzianych przez „czynniki oficjalne” i zdobywanie materiałów do prac dyplomowych, szkiców krytycznych itp. jest wzruszającym świadectwem odwagi cywilnej i rzetelności naukowej zarówno młodych badaczy, jak i ich mistrzów. Uporowi ich i entuzjastom wińmy, że spore polacie literatury emigracyjnej systemem kropelkowym, powoli i cierpliwie, doczekały się już w Kraju poważnych opracowań. Pogląd ten ilustruje wymownie wydany ostatnio pod red. Zdzisława Łapińskiego 847-stronicowy (sic!) tom głosów krytycznych o „dziele i osobie” autora *Ferdynand — Gombrowicz i krytycy*²³. Antologia Łapińskiego wywodzi się z konferencji naukowej Instytutu Badań Literackich odbytej w dn. 24-26. IV. 1975.

Urok owocu zakazanego jest jednym tylko z powodów zainteresowania literaturą emigracyjną. Ważniejszym jest świadomość luki w obrazie literatury polskiej, troska o jego kształt i wiarygodność. Można było przemilczać — i przemilcza się dalej — literaturę o zbrodni katyńskiej i jej rzeczywistych sprawcach — trudniej wytłumaczyć brak wznowień książek przedwojennych i dalszego ciągu twórczości pisarzy tak przed rokiem 1939 znanych jak Baliński, Goetel, Naglerowa czy Wierzyński. Jeśli już — jak Kuncewiczowa czy Wańkiewicz, którzy powrócili do Kraju — cenzuralna część ich dorobku pojawiała się w księgarniach, to po to, by uchodzić za literaturę emigracyjną. Pamiętam, jak w rozmowach z czytelnikami krajowymi odwiedzającymi Londyn po

23. W serii *Pisarz i krytycy* red. przez prof. Jana Błońskiego (Kraków 1984, Wyd. Literackie).

odwilży w odpowiedzi na pytanie o znajomość literatury emigracyjnej padały odpowiedzi: „Czytam prawie wyłącznie pisarzy emigracyjnych: Fiedlera, Meissnera, Pruszyńskiego, ostatnio nawet Stanisława Mackiewicza” albo: „Właśnie ukazały się przedruki Gombrowicza²⁴”, „Przywiozłam w prezencie nowość: wiersze Lechonia, wydane właśnie” (— bo zmarł), „W krakowskiej Stodole są numery z tekstami opartymi o wiersze Balińskiego — cudne, retro”. O emigracyjności pisarzy świadczyły ich adresy wojenne lub tematyka ich książek. Wieloletni pobyt w Kraju po powrocie z zagranicy aureoli emigracyjności nie zdiera, jak to wymownie ilustrują kokieterijne *Rozmowy z Kuncewiczową*²⁵.

Poprawki do tego uproszczonego obrazu literatury emigracyjnej wnosić zaczęły po roku 1956 napływające szeroką falą książki publikowane poza Krajem, nielegalne „przecieki”. Dziw, ile ich docierało i jak skwapliwie podawano je z rąk do rąk. Zachwiały się reguły dzielące pisarzy na zalecanych i potępianych. Lechoń-samobójca stał się na nowo wybitnym Skamandrytą, choć w piątce: Tuwim, Iwaszkiewicz, Słonimski brakło nadal Wierzyńskiego. Porównania podręczników szkolnych z okresu stalinowskiego z po-odwilżowymi wymownie ilustrują zmiany koniunktury.

W okresie odwilży zelżała cenzura na odcinku opracowań biograficznych, co pozwoliło na włączanie do *Polskiego Słownika Biograficznego* pisarzy zmarłych poza Krajem, których nazwiska zaczynały się na właściwe litery. W dwu seriach *Słownika współczesnych pisarzy polskich* IBL-u (1963 i 1977) doliczyć się można kilkudziesięciu nazwisk emigracyjnych ze starannie zebranymi materiałami bibliograficznymi. Wiersze poetów „niecenzuralnych” nieśmiało włączano do antologii, po ciężkich bojach z cenzorami²⁶.

Innym przykładem kropelkowej infiltracji są omówienia wczesnej twórczości pisarzy, którzy po wrześniu znaleźli się poza Krajem. Dobrze ilustruje ten casus *Obraz literatury polskiej w XIX i XX wieku* w dwu tomach poświęconych *Literaturze polskiej w okresie międzywojennym*²⁷ oraz wydane w roku 1982 po

24. To znaczy: *Bakakaj* (1957), *Ferdydurke* (1957) i *Trans-Atlantyk* (1957), oraz *Słub* (1957) i *Iwona, księżniczka Burgunda* (1957). Nie były już później wznawiane. Stąd zawrotne ceny czarnorynkowe i poleganie na egzemplarzach szmuglowanych lub pochodzących z konfiskat pocztowych i celnych.

25. Wybór, opracowanie i posłowie Heleny Zaworskiej, Czytelnik, Warszawa 1983.

26. Jest ich już sporo w *Poezji polskiej*, antologii w układzie Stanisława Grochowiaka i Janusza Maciejewskiego. T. I-II. PIW, Warszawa 1973 — sensacją były przedruki wierszy Miłosza.

27. Pod red. Jerzego Kądzeli, Jerzego Kwiatkowskiego i Ireny Wyczań-

ponad 10-letnim zamrożeniu dwutomowe opracowanie *Poetów dwudziestolecia międzywojennego*²⁸.

I tak, w chronicznej gorączce przecen i kolejnych częściowych amnestii, mają się rzeczy do dziś. Podejmowane ostatnio przez Mariana Stępnia²⁹ i śp. Zbigniewa Kubikowskiego³⁰ próby całościowego oglądu literatury najnowszej są już obecnie przedmiotem ataków, a *Szklany mur* Kubikowskiego jest gęsto upstrzony znakami [...], tj. sygnałami ingerencji cenzury, zniekształcającymi tekst i oznaczającymi bolesne luki. Znaków tych nie ubyło, a raczej przybyło w numerach *Odry* z 1984.

Interesującą próbą przekroczenia granic chronologicznych w twórczości Skamandrytów jest eksperyment polonistów z Uniwersytetu Śląskiego. Od roku 1978 publikują oni pod red. prof. Ireneusza Opackiego serię *Studiów z zagadnień poetyki i socjologii form poetyckich* pt. *Skamander*. W czterech wydanych już tomach, z których trzeci poświęcony jest w całości Tuwimowi, a czwarty Stanisławowi Balińskiemu, opublikowano kilkanaście studiów uzupełniających i tak już stosunkowo bogatą literaturę o Skamandrze³¹. W stosunku do lat 1960-tych, gdy prof. Maria Dłuska³² inicjowała badania nad twórczością Kazimierza Wierzyń-

skiej. Wyd. Liter., Kraków 1979. Tom drugi zawiera omówienia twórczości Józefa Wittlina (Jan Prokop), Jana Lechonia (Artur Hutnikiewicz), Kazimierza Wierzyńskiego (Maria Dłuska) i Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej (Jerzy Kwiatkowski). Nakład 10.000 egzemplarzy.

28. Pod redakcją Ireny Maciejewskiej. Wiedza Powszechna, Warszawa 1982, nakład 30.000 egz. Są w nim reprezentowani: Jan Brzękowski (A. Waśkiewicz), Marian Czuchnowski (Tadeusz Kłak), Jan Lechoń (Tadeusz Witkowski), Czesław Miłosz (Jan Błoński), Maria Pawlikowska-Jasnorzewska (Piotr Kuncewicz), Kazimierz Wierzyński (Krzysztof Dybciak) i Józef Wittlin (Irena Maciejewska).

29. *Historia literatury polskiej w zarysie* pod red. Mariana Stępnia i Aleksandra Wilkonja. I-II. Warszawa 1983, Państw. Wyd. Naukowe (firmowane przez Uniw. Jagielloński, Instytut Filologii Polskiej) zawiera w t. II rozdziały poświęcone literaturze po roku 1939 aż po „Ostatnią dekadę”, oprac. przez prof. Stępnia. Potępienie tego opracowania przez Sławomira Kryskę w *Barwach*, 1984 omówiłam w nrze 9/444 *Kultury* (str. 123-126).

30. Zbigniew Kubikowski (zm. w 1984): *Szklany mur. Proza polska 1945-1980*, druk w kolejnych numerach wrocławskiego miesięcznika *Odra* od października 1983 jest poważną i zasługującą na szczegółowe omówienie próbą łącznej oceny powojennej prozy polskiej. Ostatni (9) odcinek doprowadza rozważania autora do roku 1980 „kończącego jakąś epokę powojennej literatury”.

31. Janusz Stradecki: *W kręgu Skamandra*, W-wa 1977 (cenne dane bibliograficzne); J. Zachorska: *Skamander*, W-wa 1977 (ujęcie popularne); A. Kowalczykowa: *Programy i spory literackie w dwudziestoleciu 1918-1939*, W-wa 1978 i in.

32. Główny zgrab studiów prof. Dłuskiej nad twórczością Wierzyńskiego zawiera tom trzeci jej „Studiów i rozpraw”, Kraków 1972. Pod okiem prof. Dłuskiej powstała rozprawa doktorska Jolanty Dudek pt. *Liryka Kaz. Wierzyńskiego z lat 1951-1969*. Wrocław 1975, w serii *Rozprawy literackie*, 10.

skiego analizami poszczególnych wierszy i cierpliwie gromadziła dane bio- i bibliograficzne, literatura o Skamandrze urosła do takich rozmiarów, że można mówić o wypełnieniu luki w stosunku do znacznej — ale nie całej — twórczości głównych przedstawicieli grupy. I znów, jak w wypadku dorobku Gombrowicza i Miłosza³³, prace opierają się na częściowo tylko ogłoszonych w Kraju tekstach i skażone są eliminacjami pewnych utworów lub niedopowiedzianymi interpretacjami i przemilczeniami.

Interesującym sprawdzianem rozmiarów znajomości literatury emigracyjnej i apetytów czytelników krajowych na „spotkania z duchami” pisarzy, których nazwiska „często nic albo niewiele mówią” jest zestawiona przez Zbigniewa Irzyka (na podstawie Lichniaka) lista dezyderatów. Figuruje na niej następujące nazwiska: „Zofia Bohdanowiczowa, Herminia Naglerowa, Waław Grubiński, Ferdynand Goetel, Florian Czarnyszewicz, Marian Hemar, Stefania Kossowska, Józef Łobodowski, Jerzy Stempowski, Czesław Straszewicz, Józef Mackiewicz, Sergiusz Piasecki, Jerzy Pietrkiewicz, Andrzej Bobkowski, Stefania Zahorska, Stanisława Kuszelewska, Janusz Jasińczyk, Bronisław Przyłuski, Gustaw Herling-Grudziński, Andrzej Chciuk, Waław Iwaniuk, Tadeusz Nowakowski, Andrzej Busza, Florian Śmieja”³⁴. Trudno ocenić, czy odczytano luki, np. brak Włodzimierza Odojewskiego, Piotra Guzewa, Janusza Kowalewskiego i in. należą do *deliberate mistakes*, ale na to wyglądają.

Na liście pisarzy już wydawanych w Kraju figuruje: Stanisław Baliński, Stefan Borsukiewicz, Józef Czapski, Marian Czuchnowski, Mieczysław Giergielewicz, Józef Janin, Aleksander Janta, Paweł Łysek, Danuta Mostwin, Beata Obertyńska, Marian Pankowski, Tadeusz Sułkowski, Stanisław Vincenz, Wiktor Weintraub, Kazimierz Wierzyński i Józef Wittlin. W tekście recenzji Irzyk upomina się ponadto o Jana Bielatowicza, Juliusza Sakowskiego i Zofię Romanowiczową. Wśród już wydawanych pomija m.in. Adama Czerniawskiego, Mieczysława Paszkiewicza i Bolesława Taborskiego.

Listy ograniczone do wylizanki nazwisk nie ujawniają ani określonych tytułów książek pisarzy dotąd nie drukowanych, ani specyficznej selektywności dokonywanej w obrębie dorobku ułaskawionych. Bo jest to Czapski bez *Na nieludzkiej ziemi* i Kazimierz Wierzyński bez *Czarnego poloneza*.

33. Ramy artykułu nie pozwalają na omówienie krajowej literatury o Gombrowiczu i Miłoszu. Przekracza też moje możliwości omówienie korektur wprowadzanych do nakreślonego wyżej obrazu przez wydawnictwa niezależne, choć nie mogę się powstrzymać od wymienienia publikacji tak ambitnej, jak podziemny przedruk *Mojego wieku* Aleksandra Wata (800 stron).

34. W recenzji książki Lichniaka, zob. przypis 10.

W chaosie wydawniczym ostatnich miesięcy spotkać można książki pisarzy emigracyjnych, a w czasopiśmie literackich entuzjastyczne i na ogół przychylne ich omówienia. Plany wydawnicze (i ich wykonywanie) kryją w sobie jednak możliwości zmian i obostrzeń cenzury. Z jazgotu pogroźek nie wyłania się wyraźny zarys polityki wydawniczej, a przyszłość rysuje się niepomyślnie.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Fejz pod Lizboną
3 października 1984

„Helsinki” we Frankfurcie

Frankfurckie Targi Książki, które po raz 36-ty odbyły się w dniach pomiędzy trzecim a ósmym października są olbrzymią imprezą handlową. Ujawniają zarówno potęgę międzynarodowych koncernów wydawniczych, różnorodność firm książkowych, najnowsze zdobycze i innowacje techniki drukarskiej, jak i wielość pomysłów edytorskich, bogactwo tytułów książek z każdej niemal dziedziny i w każdym prawie języku. „Buchmesse” stała się zarówno organizacyjnie, od strony wystawiających edytorów, jak i w oczach prostych czytelników i klientów księgarń kolosem nie do ogarnięcia.

Obrazuje on z jednej strony rosnącą inflację słowa drukowanego wpędzającą często czytelników w pustkę. A z drugiej jest w swojej wymowie dwuznaczny i słabo oddziaływuje na rzeczywistość. Bo chociaż wystawiają tutaj wydawcy ze wszystkich kontynentów, w tym wydawnictwa państw, które od kilkunastu lat znajdują się pod dominacją sowiecką, to przecież książki sprzedawane są tylko czytelnikowi (i na niego ukierunkowane) z obszarów wolnego, demokratycznego świata. Są dla obywateli liberalnych systemów, nie dla społeczeństw poddanych sowieckiej ideologii i panowaniu. Tylko ci pierwsi mają możliwość i „prawo” kupować, czytać, wybierać oraz propagować idee zawarte w książkach wydrukowanych w Polsce, Bułgarii, Korei Północnej, jak i w Stanach Zjednoczonych. Są w stanie poznać, jeżeli tylko chcą, przeciwstawne sobie propozycje ideologiczne czy kulturowe.

Skutkiem tego Frankfurckie Targi nie spełniają podstawowego zadania, jakiemu mają służyć książki: wymiany wartości pomiędzy różnymi rasami, religiami i światopoglądami politycznymi. Buduje się dla ich potrzeb coraz to nowe hale, usprawnia technikę wystawienniczą (nowe sposoby ekspozycji: komputery, video-

kasety, grafika i psychologia reklamy etc.) — zapomniano jednak we Frankfurcie o ludziach mieszkających na wschód od Łaby, niegdyś żyjących w tożsamej kulturze i cywilizacji, którzy nigdy ani nie przeczytają w całości, ani nie usłyszą streszczenia czy tytułu przeróżnych, edytorsko doskonałych książek.

Byłaby więc „Frankfurter Buchmesse” kolejną imprezą Zachodu i tylko dla Zachodu przeznaczoną? Na szczęście nie.

Zaprzeczeniem tego i zarazem ratunkiem są skromne wielkością edytorską, możliwościami finansowymi, oficyny emigracyjne, założone — w większości — „przez” i „dla” ujarzmionych po drugiej wojnie społeczeństw Europy Środkowo-Wschodniej. Jakby potwierdzenie wciąż żywej siły duchowej i niezgody na przemoc i brak wolności u narodów tego obszaru.

Na co dzień borykają się z problemami wynikającymi z tragicznej sytuacji okupowania części Europy, z zamknięciem granic wbrew układom międzynarodowym, w tym KBWE w Helsinkach z 1975 roku, z niedopuszczeniem do swobody wymiany i przywozu książek. I jako jedyne ocalają wartość i międzynarodowe znaczenie Frankfurckich Targów, bronią książek i ich tradycyjnej roli w europejskiej cywilizacji i uzasadniają sens całej imprezy.

Zrozumiały tę rolę tysiące zwiedzających czytelników i w przeciwieństwie do wielu bogatszych stoisk na 36 Targach Książki we Frankfurcie, skromne wystawy książek rosyjskich wydawnictw: paryskiej YMCA Press czy La Presse Libre, londyńskiego Overseas Publications Interchange; polskich: Instytutu Literackiego i Polonia Book Fund; czeskiego (z Kolonii) „Indexu” były obiegane cały czas. Gdyż tylko one wykraczały poza granice podzielonego świata i szerzyły — tak coraz rzadszy — uniwersalizm i jedność.

Dla wydającego od 18 lat (niegdyś we wspólnocie z Polonia Book Fund) Overseas Publications, ze swoimi czternastoma tytułami rocznie oznacza to udostępnianie czytelnikom rosyjskim (jak i cudzoziemcom zainteresowanym Rosją) książek interpretujących sowiecką realność i sowiecką władzę. W sytuacji przymsu i wyłączenia doktrynalnej, takiego charakteru nabiera nawet literatura piękna: powieści, wiersze. Można więc było zobaczyć obok rosyjskiego przekładu esejów Alaina Besançon: „Roskoje proszłoje i sowietskoje nastojaszczije”, najnowsze książki — napisane już na emigracji — Wiktora Niekrasowa.

YMCA Press ma ambicje zachowania ciągłości wielkiej myśli prawosławnego chrześcijaństwa i mistycznej filozofii poprzez edycje pism Bułgakowa, Bierdiajewa, Rozanowa, Florowskiego czy Szestowa.

Imponujące są te wysiłki garstki ludzi, w tym dyrektora Overseas Publications Miloradovicha; YMCA Press Strugego i La Presse Libre Iriny Alberti ocalenia okaleczonej sowietyzmem kultury rosyjskiej. A na Targach okazało się, że wieloletni dorobek zaczyna się już sumować w potężną bibliotekę. I że wydawane

książki będą podstawą studiów nad Rosją i refleksji Rosjan nad samymi sobą, co świadczy że na emigracji ratowane jest dziedzictwo wielkiego narodu.

Na stoisku czeskich i słowackich emigrantów można było zobaczyć książki (w przekładach i w oryginale) tak znakomitych pisarzy jak Milan Kundera (największy obok Miłosza, Sołżenicyna, Brodzkiego, Herlinga-Grudzińskiego pisarz wschodnioeuropejski), Pavel Kohout, Ludvik Vaculik, Vaclav Havel. A obok nich polityczno-historyczne introdukcje w dzisiejszą rzeczywistość czechosłowacką autorstwa nieżyjącego już Jiřego Lederera, Zdenka Mlynařa czy Pavela Tigrida. Inaczej mówiąc wszystkich, którzy przeciwstawiają się skutkom agresji z sierpnia 1968 roku.

Jak od czterdziestu lat podległościom polskim (brakowi suwerenności Kraju i słabościom myślenia politycznego emigrantów) przeciwdziała — i to skutecznie — Instytut Literacki i jego miesięcznik. Stoisko książek *Kultury* dzielone z Polonia Book Fund było tym razem obszerniejsze niż zwykle i nie zabrakło na nim sensacji wydawniczej: kolejnego, specjalnego numeru pisma (po wydanych niegdyś po rosyjsku, czesku, ukraińsku) w edycji niemieckiej, będącego polityczną i ideową odpowiedzią na rosnące i coraz to nikczemniejsze (z ducha stalinowskiej propagandy stwarzania wroga) ataki PRL-owskiego reżymu na Republikę Federalną Niemiec. Tym samym potwierdziła *Kultura* swoją opinię: najpoważniejszego (i praktycznie wciąż jedyne) ośrodka niezależnej myśli politycznej.

Nie zabrakło wśród książek ostatnio wydanych, prawdopodobnych *bestseller*ów (do tego także Instytut Literacki zdołał nas już przyzwyczaić jako promotor i wydawca laureata literackiej Nagrody Nobla); nowego dramatu Sławomira Mrożka „Alfa”, zbioru opowiadań Marka Nowakowskiego „Dwa dni z Aniołem”, czy kolejnego tomu „Miesiące” Kazimierza Brandysa. Toteż książki Biblioteki *Kultury* zostały już w pierwszych dniach trwania Targów rozsprzedane w całości (największy sukces: „Solidarność” Jerzego Holzera).

Ciekawą inicjatywą podjętą przez Instytut Literacki jest zrealizowane wspólnie z Niezależną Polską Agencją (Independent Polish Agency ze Szwecji — reprezentant Józef Lebenbaum) mikrofilmowanie wszystkich roczników *Kultury*. Mikrofisze tego bezcennego dla Polaków miesięcznika były w sprzedaży za 750 dolarów.

Mniej efektownie przedstawił się plan edytorski Polonia Book Fund, chociaż i tutaj nie zabrakło nowowydanych książek (m.in. Wiktora Woroszyłskiego: „Na kurczącym się skrawku”, Romana Zimanda „Wojna i spokój”). Wydawnictwo wydaje się w obecnej chwili dobrze rokować, o czym świadczy kilka edycji z niedawnej przeszłości, w tym Władimira Bukowskiego „I powraca wiatr...”. Związana z nim unią personalną Biblioteka „Pulsu” wystawiła kilka ciekawych tomów, a pośród nich; „Donosy” Mrożka, czy wywiad Jacka Trznadla z Olą Watową: „Wszystko co najważniejsze”.

Można żałować, że książki wydane nakładem kwartalnika *Aneks*, które również znajdowały wielu nabywców (choćby Kołakowskiego „Czy diabeł może być zbawiony...”) zostały dostarczone w ilości niedostatecznej, mało reprezentatywnej (zabrakło niedawno opublikowanych „Szans polskiej demokracji” Adama Michnika) i nie poparte obecnością nikogo z przedstawicieli redakcji.

Od innej strony nienajlepsze wrażenie sprawiała ekspozycja wydawnictw Polskiej Fundacji Kulturalnej. Ta zasłużona oficyna słabo uwzględnia wzrastające potrzeby i wyższy poziom oczekiwań intelektualnych najnowszej emigracji, i najwyższy czas przemyśleć założenia wydawnicze i sensowność doboru takich a nie innych tytułów książkowych.

Cieszyło pojawienie się jednego ze współredaktorów berlińskiego „Archipelagu” wraz z pierwszą książką wydaną w nowopowstałej Bibliotece pisma (tom prozy Henryka Grynberga), oraz książek londyńskiej „Kontry” — zasłużonego wydawcy (w ostatnim czasie) twórczości Józefa Mackiewicza.

Paryskie *Spotkania* miały tym razem odrębne stoisko (czyżby chęć odseparowania siebie od reszty emigracji?) przyciągające oczy barwnością okładek książek i niewątpliwą pomysłowością graficzną edytora. Nadal wzbudza jednak wątpliwości przypadkowość wydawanych tomów, niewiele mówiących o założeniach ideowych *Spotkań*. Warto też się zastanowić nad sensownością zakładania kolejnego pisma emigracyjnego, jakim ma się stać kwartalnik społeczno-polityczny *Libertas* (numer pierwszy był wystawiany na stoisku). Mnożenie „bytów” i rozdzicje ambicji grupowych jest starą chorobą emigracyjną i postsolidarnościową diaspora cierpi na nią w tymże samym stopniu, co wielu emigrantów z powojennego exodusu.

Zastanawiające w tym kontekście, dlaczego nie były reprezentowane redakcje dwóch ciekawych periodyków: *Aneksu* i *Zeszytów literackich*?

Trzeba tu podkreślić, że znaczenie emigracyjnej książki doskonaie rozumieli urzędnicy oficjalnych wydawnictw bloku sowieckiego. Korzystali z możliwości otrzymania na miejscu trudno dostępnej, bezdebitowej w tych państwach, czyli prześladowanej literatury emigracyjnej. I był to chyba największy tryumf emigracyjnych edytorów, podkreślenie ważności ich pracy. Zarazem zaprzeczenie istniejącego od Jałty podziału Europy, potwierdzające jednoczącą siłę książek i kultury. Wbrew łamanym umowom i niewypełnianym traktatom międzynarodowym w taki sposób życie brało odwet na strażnikach „domu umarłych”. Tym razem w postaci fascynacji i podziwu dla niezależnej kultury i literatury u wielu spośród tychże strażników. Toteż zarówno ci, którzy cynicznie przekreślają traktaty i prawa międzynarodowe, jak i inni, którzy na to przyzwalają swoim milczeniem, mogli się przekonać, że autentycznych, prawdziwych treści nie daje się unicestwić. Przyciągają one także ludzi, którzy — wydawałoby się — są najbardziej odporni i znikczemni, służąc i propagując od lat kłamstwo.

Czyżby więc wydawnictwa i pisma emigracyjne: rosyjskie, polskie, czeskie, ukraińskie wyrównywały dług, jaki Europa ma wobec ich narodów i naprawiały krótkowzroczne i „papierowe” umowy w rodzaju Helsińskiego Układu?

Marek ZIELIŃSKI

Teatr zniewolony

Wywody poniższe będą próbą opisu i tymczasowego objaśnienia kilku podstawowych problemów związanych z funkcjonowaniem teatru w PRL na przestrzeni ostatnich czterech lat. Utrzymująca się w tym okresie sytuacja ciągłego stanu zawieszenia — braku jakiegokolwiek stabilizacji i wyczekiwania w niepewności, co przyniesie dzień następny — nie jest zdrowa i na dłuższą metę nie może sprzyjać pracy twórczej. Pewnie dlatego zawodowy teatr przeżywa obecnie poważny kryzys — zarówno pod względem artystycznym, jak i organizacyjnym. Przyczyny takiego stanu rzeczy nie są bynajmniej oczywiste i wyjaśnienie ich będzie zadaniem trudnym.

Ograniczając się do zasygnalizowania podstawowych w moim przekonaniu aspektów „teatralnego kryzysu”, pragnę przyczynić się do obalenia kilku fałszywych mitów, które z powodzeniem wciąż funkcjonują w świadomości Polaków i zainteresowanych teatrem cudzoziemców. Są to przede wszystkim mity związane z takimi pojęciami, jak np. „bojkot”, „kolaboracja” czy „niezależność” teatru i jego artystów. Czyniąc z owych mitów centralny obiekt zainteresowania i przedmiot niezdrowych sensacji, tracimy z oczu problem naprawdę fundamentalny dla całej polskiej kultury: problem zniewolenia teatru.

1. Teatr na służbie

Zacznijmy od grupy teatrów, których dyrektorzy — z reguły aktywni członkowie partii — otwarcie popierają rząd Jaruzelskiego i w praktyce realizują „wytyczne” polityki kulturalnej reżimu. Typowymi teatrami „na służbie” są na przykład dwie placówki warszawskie: Teatr Narodowy i Teatr Dramatyczny. Obecni ich dyrektorzy zostali powołani na zajmowane stanowiska już po wprowadzeniu stanu wojennego, zajmując miejsca kolegów, którzy w okresie Solidarności narazili się władzy zbyt radykalnymi i niezależnymi poglądami. Obaj prawomyślni dyrektorzy przyszli do Warszawy z Krakowa, gdzie w latach siedemdziesiątych każdy z nich kierował „swoim” teatrem, aby po Sierpniu

— kiedy teatr w Polsce uzyskał pewną autonomię i o wyborze dyrektora decydował zespół — ustąpić miejsca nowym, cieszącym się większą sympatią i zaufaniem podwładnych, ludziom: Andrzejowi Kijowskiemu i Stanisławowi Radwanowi.

W ten oto sposób miejsce Adama Hanuszkiewicza zajmuje w Teatrze Narodowym (od stycznia 1982 roku) Jerzy Krasowski, człowiek o mentalności bliskiej poziomowi Albina Siwaka, kierujący zespołem według dobrze wypróbowanych metod stalinowskich. Metod zgubnych dla sztuki, o czym najlepiej zdaje się świadczyć pusta widownia i masowa ucieczka najlepszych aktorów. O poziomie artystycznym spektakli powiedzieć można tyle, że jeden jest gorszy od drugiego. Lepiej być zresztą nie może, skoro większość aktorów (tych, co nie mieli dokąd odejść — czyli najstarszych) pracuje w poczuciu uzasadnionej niechęci do reżysera, którym z reguły jest sam dyrektor lub jego żona — Krysztyna Skuszanka. Nawiasem mówiąc, aż trudno dziś uwierzyć, że para ta, kierując przed 25 laty teatrem w Nowej Hucie, robiła dobre, ważne myślowo przedstawienia.

Publiczność przestała także przychodzić do Teatru Dramatycznego, odkąd jego dyrektorem mianowany został Jan Paweł Gawlik, były dyrektor sławnego krakowskiego Starego Teatru oraz Teatru Telewizji. Swą obecną funkcję pełni on będąc jednocześnie dyrektorem Teatru Rzeczypospolitej, który funkcjonuje od roku jako twór i oczko w głowie ministra Żygułskiego. Obejmując stanowisko po Gustawie Holoubku, Gawlik spowodował odejście z Dramatycznego najlepszych aktorów, podkopując tym samym teatr. Bowiem teatr to przede wszystkim ludzie, zespół który go tworzy: bez Fronczewskiego, Holoubka, Szczepkowskiego, Walczewskiego i Zapasiewicza nie ma Teatru Dramatycznego. Po jednym z najlepszych teatrów w Polsce zostały tylko nazwa i wspomnienia.

Ostatnio, w czerwcu br., cenzura zdjęła po próbie generalnej spektakl „Róży” Stefana Żeromskiego, reżyserowany w Dramatycznym przez Macieja Wojtyszkę. Stało się tak, chociaż już wcześniej reżyser zgodził się na dokonanie (i dokonał) licznych skreśleń w tekście dramatu. Z faktu tego wynikałoby, że jednak Dramatyczny chciałby przemówić „własnym głosem”. Czy mu się to uda? Czy jego dyrektor będzie o to walczył, ryzykując utratę posady? I najważniejsze: czy uda mu się stworzyć i skonsolidować zespół? Czy w tej sytuacji przyjdą do niego na etat wybitni aktorzy, tacy z którymi chcieliby pracować najlepsi nasi reżyserzy? Być może szansą dla Dramatycznego są aktorzy młodzi, tacy jak np. Monika Świtaj, która już — w pierwszym roku pracy zawodowej — zagrała dwie znaczące role. Zdaje się, że wszystko zależy będzie od postawy i talentu organizacyjnego dyrektora.

2. W poszukiwaniu niezależności

Jest właściwie tylko jedna różnica między teatrami omawianymi wyżej, a tymi, o których — znów tytułem przykładu — będę

pisał teraz. Sprowadza się ona do różnicy w liczbie widzów. Bowiem teatry prowadzone przez Zygmunta Hübnera (Powszechny) czy Macieja Englerta (Współczesny) — jak wszystkie inne — dotowane są przez państwo i choćby tylko dlatego poglądów sprzecznych z interesami mecenasów nie głoszą. Różnice będą zatem bardzo subtelne, choć istotne. Liczba widzów na sali nie jest i nie może być jedynym, zasadniczym argumentem przemawiającym na korzyść danego teatru: nie ilość, ale jakość liczy się w sztuce. Natomiast nie należy lekceważyć powszechnych odczuć, wedle których do Powszechnego chodzić warto i należy, zaś do Dramatycznego — nie.

Teatr Powszechny, który w latach siedemdziesiątych wstawił się tak znakomitymi i ważnymi spektaklami jak „Sprawa Dantona” (reż. A. Wajda) czy „Barbarzyńcy” (reż. Al. Bardini), w ostatnich trzech latach nie dał żadnej istotnej artystycznie i intelektualnie premiery. Widzowie — niestety — coraz częściej oklaskują tutaj poszczególnie zdania zawierające aluzje do sytuacji w kraju, coraz rzadziej natomiast mają okazję do oklaskiwania myśli zawartych w przedstawieniu, jego przesłania. Teatr Hübnera coraz wyraźniej wydaje się schodzić na pozycję „teatru łatwych aluzji”, w tym upatrując zachowanie przynajmniej marginesu swej „niezależności”. Wydaje się jednak, że nie jest to właściwa droga, choć dla dyrekcji wygodna: z jednej strony można zachować twarz wobec społeczeństwa, z drugiej — nie narażać się władzy, która coraz chętniej dopuszcza aluzje, uważając je za najlepszy dowód swej tolerancji i „postępującego w kraju procesu demokratyzacji życia” (cytat z *Trybuny Ludu*).

Innego rodzaju „ślepa uliczkę” znalazł, poszukując niezależności, warszawski Teatr Współczesny. Następca Erwina Axera — Maciej Englert — najwyraźniej nie wie, jaki teatr chciałby uprawiać i w rezultacie wystawia wszystko: Szekspira, Brechta, Gombrowicza, Witkacego, Wiśniewskiego i dramaturgię wybitnie bulwarową; aktualnie przymierza się do *musicalu*, który będzie „rozrywką ambitną”, czyli z aluzjami. Podobnie jak w przypadku Powszechnego — kłopotów z cenzurą nie ma: władza woli aby ludzie się nawet z niej trochę pośmiali, niżby mieli o niej choć przez chwilę poważnie pomyśleć. I publiczność śmieje się na bulwarowym repertuarze, gdzie naprawdę wartościowe są tylko niektóre kreacje aktorskie: Kucówny, Lipińskiej, Kowalewskiego czy Michnikowskiego.

Większość zawodowych teatrów w PRL dałaby się zaliczyć do omawianej grupy, reprezentowanej tutaj przez dwie placówki stołeczne. Wszystkie one bezskutecznie próbują powiedzieć coś istotnie ważnego o polskiej współczesności, powiedzieć własnym głosem, w zgodzie z własnym sumieniem. Wydaje się, że winę za daremność owych poszukiwań własnej niezależności ponosi nie tylko państwowa władza, ale również sam teatr, czyli ludzie którzy go tworzą. Przemawia za tym przykład kilku teatrów, którym udało się wypracować i utrzymać własną niezależność, nawet jeżeli czasem zdarza im się płacić za to wysoką cenę. Myślę o

Teatrze Ósmego Dnia z Poznania, o Akademii Ruchu z Warszawy, o Ośrodku Teatralnym z Gardzienic koło Lublina i jeszcze o paru innych. Charakterystyczne, że wszystkie one są reprezentantami tzw. teatru alternatywnego, funkcjonując wprawdzie legalnie, ale jakby na obrzeżach oficjalnego życia teatralnego. Choćby już z tego powodu wymagają one osobnego omówienia i bez wątpienia są tego godne.

3. Ucieczka w sztukę

Inny aspekt zniewolenia teatru polskiego można obserwować na przykładzie warszawskiego Teatru Studio. Jego kierownik artystyczny — Jerzy Grzegorzewski — w latach siedemdziesiątych zaliczany był do najwybitniejszych krajowych reżyserów: pracował wówczas w różnych teatrach, będąc jednocześnie kierownikiem artystycznym Teatru Polskiego we Wrocławiu, skąd — w wyniku konfliktu z częścią zespołu — odszedł w 1981 r. W tym okresie wstąpił się kilkoma znakomitymi inscenizacjami, w których poszukiwania nowych form teatralnych łączyły się z poważnym przesłaniem intelektualnym. Był to teatr awangardowy w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Od momentu objęcia dyrekcji Studia, czyli od dwóch lat, Grzegorzewski uprawia teatr formy, która *nota bene* — powielana w nieskończoność — przestała już być awangardowa. Żadne z dwóch przedstawień, które tu wyreżyserował, nie jest już myślową propozycją; w „Parawanach” Jean Geneta i w „Pułapce”, najnowszym dramacie Tadeusza Różewicza, uderza jednostajność tonu i inspiracji; przedstawienia są ciężkie i ponure jak koszmarnie sny, pełne lęku i niejasnych sytuacji. Odczłowieczne ruchy postaci, atmosfera beznadziejności, budowanie napięcia, za którym kryje się pustka, całkowite odwrócenie się od rzeczywistości. Świat wyobraźni wysnuty z patrzenia we własny pępek; artysta zamknięty w kręgu danych dostarczanych przez introspekcję, zawężający jeszcze swój zakres obserwacji do tego, co nazwalibyśmy uczuciem niezadowolenia płynącym z głębi naszego organizmu. Nawet tworzona przez Grzegorzewskiego scenografia opiera się na wypłukiwaniu z przedstawianych przedmiotów samodzielną treści: skrzydło szybowca, fragmenty wagonów kolejowych nigdy nie są u niego tym, czym w rzeczywistości są. Stały się jedynie martwą dekoracją retoryki reżysera, transpozycją jego stanów wewnętrznych, które mnie osobiście niewiele obchodzą. A że w swoich odczuciach nie jestem osamotniony — świadczy dobitnie pustawa widownia na przedstawieniach w Studio. Natomiast władze — zadowolone, że teatr w sposób zawiły mówi o niczym — chwalą go piórami swoich dyspozycyjnych krytyków i chętnie nagradzają pokazując, niczym swoją wizytówkę, za granicą.

Na przykładzie Teatru Studio doskonale widać, jak teatr sam siebie może zniewolić, jeżeli przed problemami stawianymi przez

rzeczywistość próbuje uciekać w świat czystej sztuki, w świat obsesji dręczących artystę. Okazuje się, że nie w ucieczce szukać należy swej niezależności, i że teatrowi, który tak postępuje grozi szybkie wyjałowienie. Przekonało się o tym już kilka teatrów w Polsce; ich negatywny przykład winien być przestrożą dla pozostałych.

4. O bojkocie i kolaboracji — z umiarem

Zjawisko bojkotowania przez aktorów telewizji, niektórych reżyserów filmowych, nowego ZASP-u, radia, prasy (nieudzielanie wywiadów niektórym pismom) a także kolegów-kolaborantów stało się głośne w okresie stanu wojennego i budziło wiele niezdrowych emocji. Tymczasem należy pamiętać, że — po pierwsze — bojkot nigdy nie został przez nikogo uchwalony ani ogłoszony. Nikt z przedstawicieli środowiska nie zajął w tej kwestii oficjalnego stanowiska; oczywiście poza tymi, którzy utworzyli nowy związek i nigdy nie odmawiali występowania przed kamerami TV. Po drugie zaś — i to jest najważniejsze — mówiąc o bojkocie należy starannie wystrzegać się pochopnych ocen. Co innego bowiem zdecydować się po 13 grudnia na wypowiedź dla dziennika telewizyjnego, gdzie deklaruje się swoje poparcie dla generała, a co innego wystąpić w tym samym czasie w telewizyjnej adaptacji Zapolskiej. Oba przypadki klasyfikowano jednak jako akty kolaboracji, a nazwiska aktorów wpisywano obok siebie na „czarną listę”. Znalezienie się na niej groziło bojkotem towarzyskim i wygwizdaniem (względnie „wyklaskaniem”, jak w wypadku Janusza Kłosińskiego) przez publiczność. W tej sytuacji wielu potencjalnych kolaborantów wolało zrezygnować z możliwości dodatkowych zarobków w telewizji, powodowani nie względami etycznymi, lecz po prostu strachem.

Obecnie jest to już historia: od czasu zniesienia stanu wojennego każdy aktor sam, w zgodzie z własnym sumieniem, bez presji społecznej i środowiskowej, decydować musi o tym, gdzie się pokazuje, z którym reżyserem pracuje oraz jakie teksty (i w jakim kontekście) wypowiada. Podsumowując, można dziś zaryzykować twierdzenie, że po doświadczeniach ostatnich lat wyraźnie wzrósł przeciętny poziom świadomości i społecznej odpowiedzialności naszych aktorów, którzy swoją odmową współpracy udowodnili dobitnie, że stać ich na godną i niezależną postawę solidarności ze społeczeństwem w jego walce o prawdę i demokrację.

Charakterystyczne, że aktorski bojkot — skupiwszy się na telewizji i filmie (bojkotowane były i są np. filmy Petelskich, Potęby, Wańkowskiego) — nigdy nie dotyczył teatru. Aktorzy występujący w teatrze Krasowskiego, czy u Olgi Lipińskiej (Teatr Komedii w Warszawie) nie byli uznawani za kolaborantów, nawet jeżeli grali w typowo pro-reżimowych spektaklach, których wymowa ideowa pozostawała w rażącej sprzeczności z powszech-

nymi odczuciami społeczeństwa. Czy mogli odmówić zagrania w takich spektaklach? Teoretycznie — tak, praktycznie — nie. Najlepsi zaangażowali się do innych, „przyzwoitszych” teatrów, pozostali zaś — może z mniejszym talentem, a może po prostu mniej operatywni — musieli zostać i grać pod nowym kierownictwem, nawet jeśli ich światopogląd zostawał przy tym poddany próbie zniewolenia. Teatr jest bowiem — w przeciwieństwie do filmu czy telewizji — stałym pracodawcą aktora, z czym wiąże się comiesięczna pensja, ubezpieczenia, kartki żywnościowe i tym podobne „drobiazgi”, z których — żyjąc w Polsce — zrezygnować trudno.

W ten oto sposób dochodzimy do konkluzji, od której należałoby zacząć rozważania o zniewoleniu teatru w PRL, gdzie jedynym jego mecenasem jest państwo i póki nim pozostaje — mówienie o niezależności teatru ma ograniczony sens. Zmiana takiego stanu rzeczy wymaga zaprowadzenia demokratycznych rządów w kraju, zaś póki to nie nastąpi, ludzie teatru muszą w codziennej praktyce sami — za każdym razem od nowa rozważając wszystkie okoliczności, z dużą nieufnością śledząc manipulacje władzy, wyczuwając nastroje panujące w społeczeństwie i z pełną świadomością własnych ograniczeń — za wszelką cenę nie dopuścić do zniewolenia umysłów. Swoich i publiczności, gdyż teatr to współobecność ludzi w jednym czasie i miejscu, ludzi z których jedni są aktorami, a drudzy widzami. Zostawiając oceny potomnym, starajmy się te zmagania docenić i przynajmniej zrozumiemy, jeśli nie możemy pomóc...

Jerzy HAMLET

Warszawa, wrzesień 1984

Diament

(ALEKSANDER I MAKSYMILIAN)

Jackowi Waltosowi poświęcam

Są obrazy, które wystarczy raz zobaczyć a zostają na zawsze w pamięci. Należy do nich obraz Aleksandra Gierymskiego „Widok miasta północno-włoskiego”. Widziałem ten obraz w 1938 roku chyba na pierwszej zbiorowej wystawie tego malarza w Muzeum Narodowym. Ten obraz jest jakby kamiennej konstrukcji, niezamącony, jak zawsze, świetnym realizmem Gierymskiego. Każda drobina szczegółu istnieje jako niezbędna część wielkiej całości. Taki sam urok wielkiego malarstwa ma sławna

„Sekwana o Zachodzie” — najbardziej znany obraz Aleksandra, ale nie wszystkie jego obrazy mają tę wspaniałą jedność. W innych — pod koniec jego dzieła — tej jedności nie wyczuwam. Czasami, jak w pejzażach z Amalfi, pasja szczegółu rozbija całość obrazu. Dziś, patrząc na świetne reprodukcje jego obrazów w tomie Juliusza Starzyńskiego „Aleksander Gierymski”, przypominają mi one i potwierdzają pierwsze wrażenia. Nie będę rozwijał tego tematu, bo pisałem już obszerniej o Gierymskim w tekście, który ukazał się w „Oku” i „Patrząc”.

Aleksander Gierymski był dla mnie złotym kluczem, który wprowadził mnie w świat malarstwa i, co dziwniejsze, nawet te obrazy, które uważam za mniej świetne (Amalfi), przez ich do skrajności doprowadzony naturalizm odegrały w moim malarstwie — zwłaszcza na początku — największą rolę, bo spokrewniły je z moimi pracami, w których z równie dzikim uporem uprawiałem naturalizm.

Natomiast nigdy jeszcze nie pisałem w ogóle o Maksymilianie Gierymskim. Ten brat wielkiego Aleksandra, który w 17-tym roku życia przystąpił do powstania, a w 28-mym zgasł na suchoty w Reichenhall był mi wówczas również znany. Pamiętam jeszcze wrażenie z kilku jego płócien które, powiedziałbym, zachwyciły mnie swą muzykalnością malarską. Ale nigdy nie udało mi się wgłębić w jego świat i przez nieuwagę umieściłem go w pamięci jedynie jako szlachetny cień wielkiego brata.

Dopiero dziś, po tylu latach, odkryłem jego jedyność, nie podobieństwo do Aleksandra, ale wręcz ich przeciwstawność. Zawdzięczam koledze z Krakowa królewski dar tomu Haliny Stępień (1983) o Maksymilianie Gierymskim, z kilkudziesięciu przeważnie kolorowymi i świetnymi reprodukcjami jego obrazów. Jeżeli Aleksander Gierymski był dla mnie symbolem żelaznego, namiętego trudu, w którym poprzez piekło naturalizmu docierał do szczytów takich, jak „Trąbki”, jak „Sekwana”, jak niezapomniane nocne sceny ulic Monachium i Paryża, jeżeli wzruszał mnie swą gorzką samotnością i samą dynamiką pracy, to nic z tego nie wyczuwam w Maksie. Obrazy tego młodzieńca, który był zresztą o wiele starszy od Aleksandra, robią wrażenie, jakby jego malarstwo było czystą łaską nieba. Nie przeczuwa się nawet wielkiego trudu malarza w jego pejzażach, a wśród nich w tak świetnych dla mnie obrazach jak biały koń obok czarnego na tle świeżej zieleni pod czystym niebieskim niebem, jak ponury obraz ciężkiego domostwa pod niebem o szarpanej szarości, jak nocny pejzaż, który przedstawia pod niebem o zadziwiającym granatowym świetle, tył polskiego wozu z zadem białego konia i centkami światła w dwóch domostwach przy naszej wiejskiej drodze.

Jakże późno dowiaduję się o szczegółach życia obu braci, które musiałem znać chociażby dzięki książce Witkiewicza o Maksymilianie. Ale przecież dopiero dziś, dzięki tekstom Haliny Stępień przeżywam, przeczuwam los tego młodzieńca. Jego prąwie błyskawiczny sukces w Niemczech, gdy jeszcze — jak się

żali w listach — jest w Polsce zapoznany, albo kiedy w ostatnich już latach swego życia pisze: „...Pociechą największą dla mnie widzieć, że mój obraz ma swoich wielbicieli, że są tacy, którym on przyjemność duchową, pociechę pewną sprowadza, w nich samych rozbudza myśli podobne, jakie mnie zajmowały. Maluje obrazy dla moich przyjaciół, jest ich liczba może niewielka, ale są, są, co tak czuć umieją i mogą, jak ja czuję; moje myśli i uczucia nie są sieroce. To pociecha wielka. I innym kupują obrazy, i obrazy te się podobają; jest to naturalne i słuszne, ale że moje cenią niektórzy, to uważam jako... z nieba zesłane...”.

Wracając do Aleksandra, myślę o pejzażach francuskich. Malarstwo Aleksandra przypomina Rousseau z Ecole de Barbizon właśnie w tej zaciekłości naturalistycznej. Jest w Luwrze jego wielki obraz prawie cały przedstawiający ogromną aleję, gdzie — zdawać by się mogło — Rousseau namalował każdy listek. Stary Dégas obchodził Luwr z młodzieńcem Valéry. Zatrzymali się przed tym obrazem i Valéry powiedział: „To musi być bardzo nudno namalować taki obraz”. Na to Dégas z pasją: „*Ce ne serait pas si amusant si ce n'était pas si ennuyeux!*” (To nie byłoby takie zabawne, gdyby nie było takie nudne!).

Tę właśnie zaciekłość, która wydawać się może nudna, ale która doprowadzona do końca staje się pasją, posiadał Aleksander. Wyczuwa się to w bardzo wielu jego obrazach.

Maksymilian — ten diament polskiego pejzażysty — miał dar tak świetny i wnikliwy, że tego co Valéry nazwał nudą, u niego odkryć nie można. Maksymilian długo się wahał, czy iść drogą muzyki czy malarstwa. Wybrał malarstwo, ale do śmierci nie przestał grać na fortepianie; grał Chopina, którego ubóstwiał. Czy nie muzyka dała mu ten oddech, ten lot, który zaciera całkowicie trud chociażby największy? I czy nie można by bez żadnej przesady porównać geniusz Maksa z Chopinem?

Józef CZAPSKI

JÓZEF CZAPSKI

„NA NIELUDZKIEJ ZIEMI”

Cena: 90 F.; \$ 14; £ 9.

Do nabycia u wydawcy:

Editions Spotkania

64, Av. Jean-Moulin, 75014 Paris

i w księgarniach polskich

Książki

Źródło światła w pisarskim podziemiu

Dziennik jako forma literacka jest prototypem *work in progress*, rozwija się wraz z życiem autora, trudno zatem oceniać poszczególne jego tomy, o których ukazaniu decyduje kalendarz i objętość zapisanych stron. A przecież, gdyby młody czytelnik ciekawo twórczości Gustawa Herlinga-Grudzińskiego zapytał mnie dziś „od czego zacząć”, poradziłbym mu bez wahania lektury ostatniego tomu *Dziennika pisanego nocą*¹. Podobnie jak Miłosz, szukający od lat w swej poezji „formy bardziej pojemnej”, Herling dąży w swym dzienniku do jednolitego wyrazu, likwidując konwencjonalne podziały na „fikcję” i „rzeczywistość”, a ściślej mówiąc wybierając fikcję wtedy, gdy jedynie za jej pomocą może dotrzeć do najbardziej zagadkowych aspektów rzeczywistości. Po raz pierwszy zresztą zwierza się wprost czytelnikowi w krótkim słowie wstępnym: „Nowością tego tomu są cztery opowiadania, pisane *w ramach* dziennika i z myślą o włączeniu do wydania książkowego. W pierwszych dwóch tomach trafiły się czasem załączkowe i niesmiałe zarysy opowiadań, w tym — trzecim — kompozycyjne i pisarskie cechy mojego dziennika jak gdyby dojrzały ostatecznie. Skłoniło mnie to do przypomnienia trzech starych esejów, które w formie aneksu zamykają książkę”.

Pamiętam jak przed laty z zapartym tchem czytałem o wyprawie Gustawa do Pragi, niemal do końca przekonany że to jego prawdziwa przygoda. Niewtajemniczony czytelnik podobnie zareaguje dziś na *Gruzy*, zawarte w tym tomie opowiadanie, tym bardziej „realistyczne”, że przerywane charakterystycznymi dla *Dziennika* dygresjami łącznie z rewelacyjnym nawrotem do oko-

1. Gustaw Herling-Grudziński: *Dziennik pisany nocą* (1980-1983), Instytut Literacki, Paryż 1984.

liczności wśród których autor pisał swą *Wieżę*. Osmoza między *Dziennikiem* i „współczesnymi” z nim opowiadaniem (drugim jest „Ugolone z Todi”) jest jednak oczywistym zamierzeniem autora. Odkryłem natomiast, że podobna osmoza istnieje między samym *Dziennikiem* i trzema esejami napisanymi niemal dwadzieścia lat temu. Nie zdawałem sobie przy pierwszej lekturze sprawy, do jakiego stopnia szkic o „Wenecji ocalonej” Simone Weil uzasadnia stosunek Herlinga do historii i jego postawę polityczną. Zaczynam od niego, gdyż pucz generała Jaruzelskiego precyzyjnie odtworzył warunki, w których tragedia Simone Weil stawia zagadnienie istoty „realizmu” w życiu społeczeństw. Pod datą 13 grudnia 1981, zapis Herlinga: „Ani słowa. Prócz daty, ani słowa”. Ale już 25 grudnia stwierdza on — jeden z pierwszych — że „nie skończyło się (...) nad rzekomym trupem „Solidarności”; przeciwnie, dopiero się zaczyna. Mam pokusę dorzucenia: na dobre”.

Cóż bardziej „aktualnego” w tym kontekście od zakończenia pięknego szkicu Herlinga:

„Simone Weil pisała „Wenecję ocaloną” w latach 1940-1942, mając przed oczami i w myślach Europę podbitą przez hitlerowców. Byłoby jednak pomyłką uważać jej tragedię za aluzję historyczną o ograniczonej nośności. W gruncie rzeczy mamy tu do czynienia z wciąż aktualną metaforą przebudzenia i trwania czystej uwagi, buntu rzeczywistości zdegradowanej przeciw snom opętanców. Utopistami, błędnymi rycerzami, wykolejeńcami, zdrajcami nazywa się (zależnie od okoliczności) tych, którzy nie chcą przyjąć Racji Stanu wyposażonej jedynie w najwyższy atrybut Siły. Jak gdyby nie było jasne, że istotą totalizmów i „snów siły” jest właśnie ich *brak* poczucia rzeczywistości! Można drwić (nic łatwiejszego) z banitów i rozbitków, wiernych obrazowi *polis* jaki noszą w umysłach i sercach na przekór losowi, lecz to oni są realistami w najgłębszym (bo moralnym) znaczeniu”.

„Aktualność” szkicu z roku 1966, podobnie jak „aktualność” opowiadania „Cud” zawartego w tym tomie nie ma nic wspólnego z metaforą *ad hoc*. Każde opowiadanie Herlinga ma wymowę ponadczasową, a jeśli ją dziś potwierdza historia naszego kraju, to w tym sensie, w jakim „Rodowody niepokornych” nie są tylko etycznym wzorem, wchodzą w zakres politycznej rzeczywistości. Przeczytałem właśnie dziś rano (11 sierpnia 1984) wywiad paryskiego *Le Matin* ze zwolnionym z więzienia Karolem Modzelewskim. Co myśli o realizmie politycznym, skłaniającym do pesymistycznej oceny polskich perspektyw?

— „Gdy mowa o realizmie politycznym — odpowiada Modzelewski — ma się na myśli że władze wcale nie są skłonne

do ustępstw na rzecz społeczeństwa, którego wola wydaje się wobec tego pozbawiona realizmu. Ale poza rzeczywistością polskich i międzynarodowych struktur władzy trzeba wziąć pod uwagę naszą własną rzeczywistość złożoną z aspiracji teraz już nieodwracalnych naszego społeczeństwa i z jego zachowania”.

Dwa pozostałe eseje, „Intryga i miłość” (o narodzinach nowej, pogłębionej perspektywy w literaturze porennesansowej) i „Srebrna kulka” (najbardziej odkrywczy znany mi tekst o Janie Potockim) związane są z *Dziennikiem* w jego pisarskim wymiarze, doprowadzonym w tym tomie do mistrzostwa. Stanowią one dla przyszłego badacza niezastąpiony klucz do zrozumienia sedna sztuki Herlinga: jak przekazać, przy końcu XX wieku, pozornie klasycznymi środkami wiedzę o „wiecznej i ciemnej przepaści pod naszymi stopami” (by użyć formuły którą Herling stosuje do „Rękopisu znalezionej w Saragocie”). Na ten trop naprowadza nas zresztą sam *Dziennik*. Pod datą 5 września 1980, „słowo o własnym pisarstwie”. Herling cytuje tu uwagi Wojciecha Karpińskiego i moje dotyczące jego wrażliwości na „codziennność, szarość ludzkiego bólu” i związanej z tym siłą jego rzadkich, nieraz niedomówionych, osobistych wyznań, tym bardziej przejmujących, że nałożony na pokusy „donośności wyrazu” tłumik pozwala mu odtworzyć — jak wówczas pisałem — „wymiar i gatunek przeżycia tak dokładnie, że czytelnik rozpozna w nich z wdzięcznością własne, najtrudniejsze do sformułowania doświadczenia psychiczne”. Herling dodaje, że to prawda, ale że można ją rozszerzyć na „Inny świat” i niektóre jego opowiadania.

W zapisie Gustawa o moich „Zbiegach okoliczności” zastanowiła mnie jego wzmianka o „pozornym drobiazgu” poświęconym „Wyspie Artura” Elsy Morante, w jednym rzędzie z moimi szkicami o Gombrowiczu i Miłoszu. Odczytując ten szkic, widzę dziś że uzasadnienie mego podziwu dla powieści Morante mógłbym być niemal dosłownie powtórzyć pisząc o opowiadaniach Herlinga. Ograniczę się tu do wniosku: „Jakże powierzchowne i niepotrzebne są w porównaniu 'chwyty' paryskiej awangardy literackiej”. Wątpliwości dotyczące stałej, nieodwracalnej wartości awangardy w sztukach plastycznych, od kilku lat podzielane przez niewidzialny trybunał decydujący o „duchu czasu” (intuicyjnie wyrażone przez twórców, usankcjonowane przez krytyków), nachodziły mnie, mniej lub bardziej świadomie, niemal od „nastolatka” (ciekawego zarazem muzeum i nowoczesnej galerii), a wyraziłem je wcześniej w polemice z Janem Ulatowskim w roku 1952. Nieodwracalna trwałość awangardy literackiej (ściślej mówiąc jej głównego dla mnie strumienia, na mapie współczesnej literatury zwanym *stream of consciousness* — strumieniem świa-

domości) wydawała mi się bardziej uzasadniona. W szkicu poświęconym Elsie Morante pisałem że jeśli ostateczną rzeczywistością jest związek pomiędzy podmiotem i przedmiotem, Dujardin jest bardziej realistyczny niż Balzac, Proust bardziej realistyczny niż Dujardin, Joyce bardziej realistyczny niż Proust. Nie znałem wówczas twierdzenia Nathalie Sarraute, że „postęp” w literaturze istnieje, a polega na „zdejmwaniu kolejnych skórek z cebuli”, poprzez coraz bardziej drobiazgowy opis pozornie nieuchwytnych stanów psychicznych. Stąd niechęć Sarraute do „powieści tradycyjnej”, wyrażona w słynnym eseju „L'Ere du soupçon” („Czas podejrzania? Czas nieufności?”), w którym życzy nadejścia fikcyjnych postaci stanowiących „jak u Dostojewskiego, przekaz stanów dotychczas jeszcze niezrozumiałych, które odnajdujemy w nas samych”. Każdy uważny czytelnik Herlinga zgodzi się ze mną, że spełnia on to życzenie w opowiadaniach, z punktu widzenia Sarraute „tradycyjnych”. Pisarka francuska natomiast dochodzi z czasem (znów ją cytuję) do eksploracji „materii równie anonimowej jak krew, bezimiennej miazgi”. Istotnie, w późniejszych powieściach, jej postaci pozbawione są nie tylko biografii, stają się bezimienne („on, ona, oni”). Nie kwestionuję tu uczciwości Sarraute, jej wybitnej inteligencji, subtelnej intuicji. Ale zamierzenie „pójścia dalej” niż Dostojewski stawia ją w sytuacji laboratoryjnej, w której mikroskop skierowany jest na różnicę zdań w sprawie wyboru klamki do drzwi (*Martereau*), lub modnego „arcydzieła literackiego”, o którym nie powie nam nic (*Złote owoce*). Herling natomiast wie, że Dostojewski zapuszcza swą sondę w głąb psychiki ludzkiej nie gwoli laboratoryjnej ciekawości, że powoduje nim „dwuznaczność tak radykalna i nieuleczalna, tak zakorzeniona w jego osobowości i geniuszu pisarskim, że lepiej pasowałoby do niej miano wiecznego rozdwojenia”.

Larvatus proteo, mawiał o sobie Gombrowicz. Herling nie nosi maski (wstrzemięźliwość i dyskrekcja są mu przyrodzone), ale nierzaz najwięcej nam mówi o sobie i swoim pisarstwie w rozważaniach o twórczości najbliższych mu pisarzy (autorów książek „zdolnych podtrzymać bezsenność nocnego czuwania”). Stąd stała obecność książek czytanych nocą w tym nocą pisanym dzienniku. Zdumiewa mnie w tym tomie kunsztowność jego kompozycji, porównałbym ją do idealnego montażu filmowego. Polega ona na płynnej, organicznej ciągłości skojarzeń, na odtworzeniu „strumienia myśli”, ciekawszego, jak dziś sądzę, od anonimowego i wymiennego „strumienia (pod-) świadomości”.

Dochodzimy tu do centralnego zagadnienia „samowiedzy pisarskiej”, nad którym zastanawia się Herling na przykładzie Mu-

sila: „Gdyby, powiedzmy, zestawić Musila z Gombrowiczem, okazałoby się, że 'samowiedza pisarska' Musila była dość częstokwa, uwikłana w niejasnościach, zagadkach, mglistych intuicjach, rzadko i na krótko zdolna do panowania nad 'pisarskim podziemiem' (...) Gombrowicz był suwerennym władcą własnej twórczości, rozgrywał od pierwszej do ostatniej książki partię szachów (...). Stąd jego dziennik nie był mrocznym i rozkopanym 'podziemiem pisarskim', lecz autonomiczną, *skończoną*, trzytomową powieścią o sobie i własnym dziele (...). Im bardziej słabnie i zamąca się 'samowiedza pisarska', tym bardziej otwarte, rozpaczliwie otwarte staje się 'dzieło otwarte'”. Trudno nie przypuścić, że pisząc o Musilu, Herling myślał również o sobie. Podejrzenie Gombrowicza o pełną „samowiedzę pisarską” uważam za krzywdzące dla niego w dziedzinie fikcji. Jestem pewien, że pisał w pierwszym rzędzie po to, by dowiedzieć się prawdy o sobie, a jeszcze głębiej, by przekonać się, że istnieje. „Ferdurke”, „Trans-Atlantyk”, „Kosmos”, to nie „gra w szachy” (a w każdym razie nie tylko gra w szachy), lecz odważne, karkołomne wyprawy eksploratora. Zgadzam się natomiast z Gustawem, że „Dziennik” pisał Gombrowicz z pełną samowiedzą (stąd w przeciwieństwie do tyłu jego czytelników, niżej stawiam dziennik od jego powieści i teatru). „Dziennik” był dla Gombrowicza w pierwszym rzędzie narzędziem walki o własną twórczość, pisał go w pełnym świetle dnia, nawet najbardziej tajemnicze jego strony mają w sobie coś z popisu, stanowią zachętę do przeczytania całości dzieła.

Lektura trzeciego tomu *Dziennika pisanego nocą* pozwoliła mi wreszcie pełniej zrozumieć znaczenie tytułu wybranego przez autora. Noc, czerń, podziemie, labirynt, mgła, to nie metafory, a tworzywo materialnej wyobraźni opowiadań Herlinga, rzeczywiste tło „Innego świata”. Natomiast, zarówno w tym arcydziele, jak w późniejszej jego twórczości, nigdy nie gaśnie światło, którego źródło pozostaje tajemnicze, błyszczący na przekór nieprzeniknionym ciemnościom. *Dziennik* Herlinga-Grudzińskiego, „dzieło otwarte” z powołania, niesie to światło wbrew rozpacy, z pozbawioną złudzeń nadzieją, „w ustawicznym zawieszaniu między Cudem i Wulkanem” (by zakończyć tę lekturę trzeciego tomu ostatnimi jego słowami).

Konstanty A. JELEŃSKI

Hora mortis

Dzieło Philippe Ariès'a *Człowiek wobec śmierci** stoi na mojej półce z książkami „do ewentualnego omówienia” już od kilku lat, ale dopiero niedawny zgon autora stał się bodźcem do urzeczywistnienia tej ewentualności jako formy wspomnienia pośmiertnego. Książka zasługuje na uwagę, choć nie bez pewnego „ale”, które było główną przyczyną zwłoki w napisaniu o niej. Tym „ale” nie był mało pociągający temat i rozmiary książki, lecz trudność w ustosunkowaniu się do niej: przy pierwszej lekturze wzbudziła ona we mnie respekt dla pracowitości i skrupulatności materiałowej jej autora, ale równocześnie też lekką irytację sposobem prezentowania faktów i wniosków. Po ponownej lekturze doszedłem jednak do przekonania, że wady książki są raczej konsekwencją przyjętej we francuskim środowisku literackim konwencji retorycznej, niż winą autora. Konwencja ta polega na „jedności analizy i syntezy” w złym sensie, czyli takiej prezentacji każdego faktu, jak gdyby stanowił on organiczną całość już gotowej teorii, a zarazem modyfikował i rozwijał ją w sposób istotny. Maniera ta dowolnemu *exposé* nadaje pozory niepodważalnej jednolitości i spójności logicznej, mimo że czytelnik czy też słuchacz ma często wrażenie, iż wywód jest dowolny, o ile nie wręcz chaotyczny, wrażenia tego jednak nie może przyszpilić nie przerywając wykładowcy i nie sprawdzając całości od początku punkt po punkcie, na co na ogół brak sposobności i czasu. Podobny chwyt retoryczny stosowany jest często w tzw. dobrych kazaniach i porywających przemówieniach politycznych. Maniera ta jest tak rozpowszechniona we francuskiej *écriture*, że prawie nie można się z niej wyłamać, nie narażając się na odrzucenie tekstu przez wydawnictwo i recenzentów pod zarzutem „symplicyzmu” czy „braku metody”. Ponieważ jest to konwencja środowiskowa a nie indywidualna, myślę, że nie uchylbiam zasadzie *nihil nisi bene* wspominając otwarcie o wynikłych z niej pewnych niedostatkach tej skądinąd cennej pracy.

Philippe Ariès był z wykształcenia historykiem i choć pracował zawodowo w innej dziedzinie, dzieje konfrontacji społeczeństwa z różnymi „faktami życia” były jego pasją i tematem wielu publikacji. Napisał m.in. „*Historię francuskich grup ludnościowych i ich postawy wobec życia od XVIII wieku*” (1948), „*Dziecko i życie rodzinne za Dawnego Reżymu*” (1960) i „*Eseje na temat historii śmierci na Zachodzie od Średniowiecza do czasów obecnych*” (1975). Ta ostatnia praca jest bezpośrednią poprzedniczką omawianej tu książki, *opus magnum* zmarłego autora.

Tematem pracy są indywidualne i społeczne reakcje na zja-

wisko śmierci, fenomen stanowiący uosobienie wszystkiego co niechciane, groźne i — gdyby to było możliwe — do wyeliminowania (*malum*), a zarazem nieuniknione (*necesse*). Ten podwójny charakter śmierci jako *malum necessarium* wydaje się zaprzeczać sensowi ludzkiej cywilizacji, której głównym zadaniem jest kontrolowanie zjawisk natury. Śmierć jest wyłomem w barierze obudowującej świat istot żywych, jest stałym przypomnieniem, że bariera ta jest niedoskonała i krucha. Książka Ariès'a jest zbiorem materiału faktograficznego, ilustrującego tysiącletnie zmagania europejskiej kultury z nierozwiązalnym problemem ucywilizowania śmierci. Celem tego studium obyczajów pogrzebowych, thanatologicznych motywów artystycznych i mód żałobnych jest próba doszukania się wśród nich jakichś regularności i tendencji ogólnych.

Autor opracował swój materiał w kategoriach („parametrach”, jak to nazywa) opartych o przeciwstawne punkty widzenia, a więc niejako w terminach „opozycji binarnych” wprowadzonych swego czasu przez językoznawców ze szkoły praskiej i spopularyzowanych przez strukturalistów spod znaku literatury. Kategorie użyte w książce są dobrze dobrane, tzn. pozwalają usystematyzować materiał w sposób istotny, choć niejaki zastrzeżenia budzić mogą ich pompatyczno-metaforyczne nazwy (znów wpływ fatalnej konwencji retorycznej wspomnianej na wstępie). Chodzi tu o następujące pary przeciwieństw: (1) nastawienie subiektywne — nastawienie obiektywne (według Ariès'a *la mort de soi* wobec *la mort de toi*) i (2) bagatelizowanie śmierci — jej monumentalizowanie (według Ariès'a *la mort ensauvagée* wobec *la mort apprivoisée*). Autor używa pierwszej opozycji dla odróżnienia nastawień jednostkowych wobec antycypowanej śmierci własnej, a więc rodzaju „ideologii” od konwencji zbiorowych, czyli historii obyczajów. Druga opozycja pozwala mu na zastosoowanie typologii reakcji na śmierć w oparciu o dwie reakcje skrajne: jednym biegunem jest tu uznanie śmierci za zjawisko „dzikie”, leżące poza normalnym zakresem funkcji i zadań człowieka (reakcja typu: „im mniej się o tym mówi, tym lepiej”), drugim zaś jest postawa odwrotna, czyli uznanie zgonu za spełnienie i punkt docelowy życia.

Latwo zauważyć, że wspomniane pary przeciwstawień nie są całkiem rozłączne i że druga z nich ma charakter determinujący. Stanowisko wobec śmierci własnej i bliźnich jest w dużym stopniu odbiciem roli jednostki w społeczeństwie, a więc pewnego rodzaju miernikiem spójności czy nawet demokratyczności danej grupy ludzkiej. W społeczeństwach niedemokratycznych śmierć nabiera kolosalnego znaczenia: w wypadku „potężnych szermierzy” dlatego, że zgon wodza czy dyktatora rzeczywiście wstrząsa całym społeczeństwem, a w wypadku małych dlatego, że wszystkie ich nadzieje i ambicje *nolens volens* przenoszone są na życie pozagrobowe co nadaje sprawie wymiar kosmiczny. Postawa ta w praktyce wyraża się monumentalizacją śmierci, czyli rozbudową symbolicznego i materialnego aparatu mortuarne-

* Ph. Ariès, *L'Homme devant la mort*, Seuil, Paris 1977, str. 642.

(procesje pogrzebowe, monumentalne nagrobki, wieczyste nabożeństwa, defilady, szaty żałobne), czemu towarzyszy przeważnie systematyczna bagatelizacja o ile nie wręcz obrzydzenie życia. W Europie nastawienie tego typu dominowało od Średniowiecza aż po Oświecenie (z małymi wyjątkami w okresie Renesansu) i dobrze ilustruje je zebrana przez Arięsa kolekcja makabry wizualnej i pojęciowej, stanowiącej nieodłączną część ówczesnej sztuki „budującej”. Interesujące jest na przykład jego spostrzeżenie, że względnie nieobrzydlivy szkielet jako symbol śmierci — *la morte secca* — wchodzi w powszechne użycie dopiero w XVIII wieku (przedtem były to raczej gnijące trupy w różnym stopniu rozkładu), a więc że jest to już nieśmiały krok w stronę współczesnej akceptacji życia. Co więcej, materiał książki ukazuje też wyraźnie, że dawna obsesja śmierci szła w parze z przenoszeniem nierówności doczesnych na wieczyste: miejsce i sposób pochówku członków tego samego społeczeństwa były prostymi funkcjami ich życiowego statusu. Zróznicowanie umrzyków na takich, którzy mieli prawo (i środki) na pochowanie w krypcie wewnątrz kościoła, takich którzy mieli jeszcze przywilej spoczywania blisko murów kościelnych (*ad sanctos*) i na hołotę grzebaną bez trumny na kiepsko utrzymanych cmentarzach (kości i czaszki walające się między grobami na starych obrazach nie są bynajmniej alegoryczne!) świadczy, że teoretyczna „równość wobec śmierci” w tzw. uduchowionych epokach była raczej figurą stylistyczną niż rzeczywistością. W pewnym sensie jest to nawet zrozumiałe, gdyż koncepcja zbawienia pojmanego jako dopchanie się indywidualnej duszy jak najbliższej Tronu Bożego musiała sprzyjać rozciągnięciu zasady konkurencji i na te obszary.

W sumie książka Arięsa utwierdza czytelnika w pozornie paradoksalnym przekonaniu, że społeczeństwa, w których więcej uwagi poświęca się życiu niż śmierci są bardziej uduchowione w tym choćby znaczeniu, że mają przyjemniejszą atmosferę, lepszą aurę, a pamiętać wszak należy, że historyczne pojęcie duszy wywodzić się zdaje od „tchu”, czyli zapachu otaczającego danego osobnika czy przedmiot (por. greckie *pneuma*). Wydają się one też bardziej uduchowione i w tym istotniejszym sensie, że dominuje w nich raczej koncepcja przetrwania w formie „dobrej sławy” (jak Odrodzenie udatnie odmetaforyzowało pojęcie duszy), niż w postaci pozaziemskiego azylu politycznego w metafizycznych Stanach Zjednoczonych.

M. BRONSKI

Wygasała generacja poetycka

„Antologia poezji żydowskiej” (wybór S. Łastika, redakcja A. Śluckiego) wydana ubiegłego roku przez Państwowy Instytut Wydawniczy w Warszawie składa się z utworów stu trzech poe-

tów żydowskich w przekładach pięćdziesięciu dziewięciu poetów polskich. Jest to pomnik świata zaginionego, przypominający twórczość ludzi piszących w języku żydowskim, znanym już przez coraz mniejszą liczbę osób, a przecież jeszcze niedawno używanym na co dzień przez miliony.

Do pierwszej wojny światowej Warszawa i Wilno były jedynymi i głównymi metropoliami kultury i literatury żydowskiej. Wraz z rozprzestrzeniem się polskich Żydów emigrujących z Polski kultura ta przenikała coraz bardziej za granicę. Kataklizm drugiej wojny światowej zniszczył niemal doszczętnie cały ten świat, stosunkowo mało znany Polakom, oddzielonym od niego religią, językiem i obyczajami.

Dla wielu polskich czytelników lektura antologii będzie z pewnością odkryciem. Wielu z poetów umieszczonych w antologii zginęło z rąk hitlerowców. Inni przecierpieli długoletnie kary więzienia w ZSSR. Niektórzy mieli gorzkie doświadczenie rozczarowania komunizmem, któremu oddali całą młodość i wszystkie nadzieje. Przeżycia okupacyjne i eksterminacja całego polskiego Żydostwa pozostawiła ogromne piętno na wielu spośród tych którzy przeżyli, zobowiązując ich moralnie do dania poetyckiego świadectwa tragedii. Tak pisze o tym np. Rywka Basman:

*Pozbieraj — niepozbierane.
Dośpiewaj — niedośpiewane.
Odczuwaj — za ocalonych,
Proś za nich — nieproszonego
za strzegącymi na ubocznej drodze
Kroków — co zaginione,
Dośpiewaj resztę grozy
Niedomówionej. (str. 530).*

Dla ludzi wierzących poezja żydowska jest ciekawa jako świadectwo przeżyć światopoglądowych, nieraz bardzo osobistych. Oto przykład wiersza Bera Horowitza:

*W noc rozgwieżdżoną
O godzinie świętej,
Gdy z nieba spada
Rosa woniejąca,
Serdeczni, ciepłi aniołowie ludzi
Przelatywali nisko nad polami
Błagając niezliczoną trawę:
„Pomódl się za człowieka, trawo!”
„Pomódl się, trawo, za człowieka!”
„To wszystko jedno
— szeleściła trawa —
To wszystko jedno,
Czy buty mnie żołnierskie rozdepczą,
Czy wół, powolny ludziom, zeżre...”*

*Płacząc, latali aniołowie ludzi
(Godzino święta);
Spadła rosa przemieszana z tzą
I dął wiatr obojętny... (str. 216-217).*

Trzeba zaznaczyć, że antologia była gotowa do druku już w 1968 roku i musiała czekać aż piętnaście lat, aby przywołano na jej wydanie drukiem. W międzyczasie umarli zarówno Łastik jak i Ślucki.

Moim zdaniem, opublikowanie tego dzieła jest dużym wydarzeniem na polskim rynku kulturalnym, gdyż wiersze w języku żydowskim były dotąd dla polskiego czytelnika niedostępne.

Nie bierzemy pod uwagę poetów pochodzenia żydowskiego, którzy znakomicie wzbogacili kulturę polską pisząc po polsku, gdyż ci nie są w antologii uwzględnieni. Zresztą ich znamy. Natomiast doniosły jest fakt istnienia poezji w języku żydowskim, mającej bardzo ścisłe związki z kulturą i tradycją polską.

Aleksander MATEJKO

Nadesłane nowości wydawnicze

- Ewangelia według Marka. Apokalipsa.* Tłumaczył z greckiego Czesław Miłosz. Str. 153 i 3 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1984).
- SIEMASZKO (Z. S.). *Wojsko od podszewki (sylwetki i sytuacje).* Str. 158 i 2 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1984).
- KAWKA (Jerzy Aleksander). *Jutro wojna — co dalej? Refleksje uchodźcy.* Str. 188 i 4 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1984).
- LAKS (Szymon). *O kulturze z cudzysłowem i bez.* Str. 118 i 6 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1984).
- ZIELEŃSKI (Leszek). *Spalona rzeka.* Str. nlb. (Wyd. Serpent Publishing Co., Chicago 1984).
- KUŚMIEREK (Józef). *Polska a Zachód czyli oczekiwanie na pomoc.* Str. 184 i 4 nlb. (Wyd. Pogląd, Berlin 1984).
- Studium Polski Podziemnej w Londynie — Informator 1947-1984.* Str. 23 i 1 nlb. (Wyd. Studium Polski Podziemnej, Londyn 1984).
- MAREK (Edmund). *Kochanowski i Plejada. Legenda a rzeczywistość. W 450 rocznicę urodzin poety 1530-1980.* (Wyd. PWN, Warszawa 1984).
- Polonia. *Bibliografia publikacji wydanych w kraju w roku 1982 wraz z uzupełnieniami za rok 1981.* Opr. Wojciech Chojnacki. Str. 64. (Wyd. Uniwersytet Jagielloński, Kraków 1984, cena: zł 35).
- AMBROS (Michał). *Publicystyka konspiracyjna na Wileńszczyźnie w okresie okupacji niemieckiej (1941-1944).* Str. 7. (Nadbitka z: *Studia historyczne*, r. XXVII, 1984, zesz. 2/105, str. 311-317).
- XXVI *rocznik Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie. Rok 1982/1983.* Str. 144. (Wyd. Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie, Londyn 1984).
- CARRÈRE D'ENCAUSSE (Hélène). *La déstalinisation commence.* Str. 209 i 15 nlb. (Wyd. Editions Complexe, Bruksela 1984).

- DAUBENTON (Annie). *La Pologne — un pays dans la tête.* Str. 214 i 2 nlb. (Wyd. Encre, Paryż 1984, cena: F. 79).
- MAXIMOV (Vladimir). *La coupe de la fureur. Z rosyjskiego przełożył A. Préchac.* Str. 412 i 4 nlb. (Wyd. Fayard, Paryż 1984, cena: F. 98).
- SZYMUSIAK (Molyda). *Les pierres crieront. Une enfance cambodgienne, 1975-1980.* Str. 270 i 2 nlb. (Wyd. La Decouverte, Paryż 1984, cena: F. 89).
- KOGON (Eugen), LANGBEIN (Hermann), RUCKERL (Adalbert). *Les chambres à gaz secret d'Etat.* Str. 300 i 4 nlb. (Wyd. Editions de Minuit, Paryż 1984, cena: F. 79).
- Entre la Pologne de nos souhaits... et la Pologne de nos possibilités.* Str. 31. (Wyd. équipe „Politique polonaise”).
- BORWICZ (Michel). *Le cas de Marek Halter. Jusqu'où est-il tolérable d'aller trop loin?* Str. 14. (Wyd. w Paryżu, 1984).
- Poland Watch* nr 6. Str. 184. (Wyd. Poland Watch Center, Waszyngton 1984, cena: \$ US 7).
- BLEJWAS (Stanislaus A.). *Realism in Polish Politics: Warsaw Positivism and National Survival in Nineteenth Century Poland.* Str. 312 i 6 nlb. (Wyd. Yale Concilium of International and Area Studies, New Haven 1984).
- BIRNBAUM (Henrik), FLIER (Michael S.), ed. *Medieval Russian Culture.* Str. 395 i 1 nlb. (Wyd. University of California Press, Berkeley-Los Angeles-Londyn 1984, cena: £ 26.95).
- CIENCIALA (Anna M.), KOMARNICKI (Titus). *From Versailles to Locarno. Keys to Polish Foreign Policy 1919-1925.* Str. 384 i 8 nlb. (Wyd. University Press of Kansas, Lawrence Ks, 1984).
- Okeanos. Essays presented to Ihor Sevčenko on his Sixtieth Birthday by his Colleagues and Students.* Str. 701 i 3 nlb. (Opr. Cyril Mango i Omelian Pritsak, wyd. Harvard Ukrainian Studies, vol. VII 1983, Harvard University, Cambridge Mass.).
- FRIEDMAN (Milton). *Market or Plan?* Str. 40. (Wyd. Center for Research into Communist Economies, paper 1, Londyn 1984, cena: £ 2).
- VAN OUDENAREN (John). *The Soviet Union and Eastern Europe. Options for the 1980s and Beyond.* Str. 90 i 2 nlb. (Wyd. Rand, Santa Monica CA, 1984).
- The Polish Trade Union in 1984.* Bogdan Lis for the Temporary Coordinating Commission (TKK). Str. 17. (Wyd. Coordinating Office Abroad of NSZZ „Solidarność”, Bruksela 1984).
- SWIDERSKI (Bronisław). *Witold Gombrowicz's „Swedish Lie”. (Nadbitka z *We and They. National Identity as a Theme in Slavic Cultures.* Wyd. Rosenkilde and Bagger, Kopenhaga 1984, str. 204-210).*
- STRUWE (Gleb). *Russkaja literatura w izgnanji.* Str. 419 i 9 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1984, wyd. II uzupełnione).
- SOŁŻENICYN (Aleksandr). *Krasnoje koleso. Uziel II: Oktiabr szesnadcato.* Str. 588 i 4 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1984).
- RIMKUS (Vytautas). *Lietuviu sukilimas Vilniuje 1941 metais.* Str. 94 i 2 nlb. (Wyd. Nida Press, Londyn 1984).
- ANDRZEJEVSKI (Jezi). *Niko. Przel. Petar Vujičić.* Str. 153 i 3 nlb. (Wyd. Prosveta, Belgrad 1984).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

20-8-84

Stocznia im. J. Conrada w Gdańsku w ciągu 12 lat swego istnienia dostarczyła Związkowi Sowieckiemu 600 jachtów i łodzi motorowych. Jubileuszową jednostkę przekazano sowieckiemu armatorowi niezmiernie uroczystie.

1-9-84

Prezes PKO, Edmund Zawadzki, w wywiadzie dla *Polityki* podaje, że na kontach walutowych PRL znajduje się 800 mln dolarów. Trudno ustalić, ile dolarów jest w posiadaniu prywatnym, ale według różnych szacunków jest to suma do 2-6 mld. P. Zawadzki sądzi jednak, że są to dane przesadzane i że może tych dolarów być najwyżej 1,5 mld. 82 % klientów PKO preferuje dolara, 11 % markę zachodniemiecką, a pozostali franka francuskiego, szwajcarskiego i funta angielskiego. ■ Prof. Jan Szczepański ustąpił ze stanowiska przewodniczącego Rady Społeczno-Gospodarczej przy Sejmie PRL.

2-9-84

Zmarł w wieku 91 lat we Lwowie prof. dr Mieczysław Gębarowicz, wybitny uczony, wspaniały człowiek o ogromnych zasługach dla ratowania kultury polskiej w sowieckim Lwowie.

6-9-84

Pismo *Rynki zagraniczne* podaje, że PRL eksportuje rocznie filmy za ponad 1,2 mln dolarów — kupując za 300 tys. dolarów. Polska sprzedaje rocznie około 140 filmów fabularnych, 450 krótkometrażowych. Największymi odbiorcami polskich filmów są RFN, Stany Zjednoczone i Francja. Rekord popularności bije kreskówka „Wielka podróż Bolka i Lolka”, którą sprzedano do 62 państw. Do przebojów 40-lecia należą filmy „Faraon” i „Krzyżacy”, sprzedane do 50 krajów, a dalej w kolejności: „Kanał”, „Ostatni etap” i „Ziemia obiecana”.

10-9-84

Z inicjatywy Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego powstaje muzeum białoruskie, poświęcone zabytkom kultury białoruskiej oraz ruchu rewolucyjnego. Muzeum będzie mieścić się w Hajnówce.

16-9-84

Zmarł w Warszawie ppłk Wincenty Kwieciński, żołnierz Armii Krajowej, ostatni Komendant WIN-u — 12 lat spędził w więzieniach PRL. ■ *Życie literackie* zamieszcza reportaż z wystawy pt. „Sdielano w Polsce”, która miała miejsce w Moskwie na przełomie lipca-sierpnia br. Korespondent pisze: „Zdawało mi się, że największą frekwencją cieszyły się stoiska, które eksponowały sprzęty i przedmioty codziennego użytku: aparaty radiowo-telewizyjne, szkło i kryształy, tkaniny, ubrania sportowe, przetwory z owoców i warzyw. Ale pewnie się myłę: prasa codzienna donosiła przecież o wielkich kontraktach, których przedmiotem były najróżniejsze maszyny i urządzenia”.

22-9-84

Według informacji agencji amerykańskich grupa przedstawicieli „Solidarności” Małopolskiej wydała apel wzywający do stworzenia NSZZ „Solidarność” obejmującego wszystkie kraje Europy Wschodniej. Apel opiera się na uchwałach z września 1981 roku I Zjazdu „Solidarności” w Gdańsku.

29-9-84

W Gdańsku-Oliwie wmurowano akt erekcyjny meczetu. Będzie się on składał z budynku głównego i z 30-metrowego minaretu. Oprócz nabożeństw będą tam prowadzone lekcje języka arabskiego oraz odczyty na temat kultury krajów muzułmańskich.

30-9-84

Zmarła w Krakowie w wieku 75 lat Anna Świrszczyńska, wybitna poetka i pisarka.

5-10-84

Radio warszawskie podało dane dotyczące akcji szpiegowskich w PRL. Okazało się, że w całym powojennym okresie do 1982 roku skazano 2.140 osób, z tego 713 pracowało dla wywiadu amerykańskiego, 431 dla brytyjskiego, 219 dla francuskiego i 206 dla zachodniemieckiego.

ZACHÓD — EMIGRACJA

31-8-84

Zmarł w Araucaria (stan Parana) biskup Ignacy Krauze. Urodzony w Żninie 9 czerwca 1896 roku, w 1929 roku wyjechał do Chin i tam był kolejno prefektem, wikariuszem apostolskim, biskupem ordynariuszem diecezji Shuntehfu, od początku powierzonej polskim księgom misjonarzom. Wygnany z Chin w 1956 roku, przebywał krótko w USA, a później w Brazylii. Był tam administratorem diecezji w Joinville w stanie Santa Catarina, później w innej diecezji w stanie Parana. Diecezję tę władze kościelne podzieliły pod jego kierownictwem na dwie nowe. Biskup Krauze przeniósł się wówczas do Kurytyby i zachowując tytuł biskupa diecezji Shuntehfu, służył pomocą arcybiskupowi. Pod koniec osiadł w seminarium w Araucaria.

2-9-84

Towarzystwo Przyjaciół Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie zorganizowało w Szwajcarii pod koniec sierpnia i na początku września sześć spotkań autorskich-wykładów prof. dr. Jerzego Lerskiego z USA. Na spotkaniach tych prof. Lerski mówił „O potrzebie pojednania i sojuszu z Żydami (na tle historycznym)” (Zurych, 24 sierpnia), o „Sprawie polskiej w Ameryce w perspektywie historycznej” (Genewa, 25 sierpnia), o swej działalności „W służbie trzech wojennych premierów” (Lozanna, 26 sierpnia), o kilku epizodach „Z życia historyka i politologa” (Berno, 26 sierpnia), wreszcie — podczas konferencji poświęconej Polskiemu Wrześniowi (Rapperswil, 1 września) — na temat „Czy się Polacy 'na niepodległość wybijają?’” (poprzedziły to uwagi O. prof. J. M. Bocheńskiego o „Romantyzmie i realizmie myśli polskiej”) oraz o „Stosunku Ameryki do polskich aspiracji niepodległościowych — dawniej i dziś” (Giubiasco, 2 września).

8-9-84

Zmarł w Madrycie w wieku 79 lat Stanisław Rylski-Rymaszewski, b. sekretarz poselstwa polskiego w Madrycie, długoletni pracownik radia Madryt, działacz Polskiego Czerwonego Krzyża i S.P.K. w Hiszpanii, przedstawiciel *Kultury*.

12-9-84

Pływający pod banderą liberyjską zbiornikowiec, przewożący ropę naftową

do Japonii, został zbombardowany w Zatoce Perskiej przez lotnictwo irackie. Cała 32-osobowa załoga składała się z Polaków.

15-9-84

W Johannesburgu bardzo uroczystie obchodzono rocznicę lotów lotników południowo-afrykańskich, którzy w sierpniu i wrześniu 1944 roku dokonywali rzutów broni i amunicji dla Warszawy.

16-9-84

Towarzystwo Miłośników Nauki i Sztuki w Kopenhadze przyznało honorową nagrodę „Złotej róży” prof. Jerzemu Lerskiemu za pracę na rzecz przyjaźni między narodami. Aktu wręczenia nagrody dokonała prezes tego towarzystwa Halina Kowalska-Zalewska.

22-9-84

Zmarł w Paryżu Pierre Emmanuel, wybitny poeta francuski, niezawodny przyjaciel Polski. Czynnny uczestnik francuskiego ruchu oporu. Emmanuel był wraz z René Chardin i Paul Eluardem głównym poetą *Résistance*. Po wojnie członek Comité National des Ecrivains, bliskiego partii komunistycznej, zerwał z komunistami i ich towarzyszymi podróży w roku 1949, po powrocie z podróży do krajów demokracji ludowej. Od tego czasu był czynnym obrońcą praw niezależnych twórców w Europie Wschodniej oraz — aż do czasu upadku faszystowskich reżimów — w Hiszpanii, Portugalii i Grecji. Dał temu częstokroć wyraz jako prezes PEN-Klubu Międzynarodowego (1969-1971) i francuskiego (1973-1976). Pierre Emmanuel tłumaczył na francuski polskich poetów, wśród których Czesław Miłosz, Zbigniew Herbert, Karola Wojtyłę. W roku 1980 otrzymał za tę działalność (wraz z Konstantym Jeleńskim) nagrodę polskiego PEN-Klubu w Warszawie. *Kultura* zamieścił w jednym z najbliższych numerów wspomnienie o poecie i człowieku. ■ Tegoroczne nagrody im. Stefana Badeniego przyznano p. Stefanii Kossowskiej za zasługi na polu krzewienia literatury polskiej oraz Wacławowi Zbyszewskiemu za wieloletnią pracę publicystyczną. Nagrody wynoszą po \$US 1.000. ■ Fundacja im. Kościelskich przyznała dwie nagrody literackie za bież. rok w wysokości Fr. szwajc. 3.000 każda. Otrzymał je pp. Bronisław Maj za zbiór wierszy pt. „Wspólne powietrze” i Tadeusz Korzeniewski za tom prozy pt. „W Polsce”. Prezes Fundacji, p. Zygmunt Kallenbach, zrezygnował z tego stanowiska, które zajmował od 1967 roku. P. Kallenbach został wybrany honorowym prezesem Fundacji, a nowym prezesem został p. Krzysztof Górski.

12-10-84

Redakcja dziennika *Narodowiec* we Francji obchodziła 60-lecie powstania pisma.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

National Endowment for the Humanities przyznało stypendium dr. Jamesa S. Puli z St. John Fisher College na przekład i opracowanie wielotomowej „Historii Polaków w Ameryce” księdza Wacława Kruszki. Nad przekładem angielskim pracuje Krystyna Jankowska z Waszyngtonu. „Historia Polaków w Ameryce” wydana w latach 1905-1908 często wykracza poza ramy pracy naukowej i odznacza się dużą dozą fantazji. Jest interesującym dokumentem z historii Polaków w Ameryce. ■ Prof. Andrzej Ehrenkreutz został wybrany przewodniczącym Studium Spraw Polskich. ■ Na Long

Island odbyła się Olimpiada Sportowców Inwalidów. Z Polski przybyła 26-osobowa grupa pod patronatem Zrzeszenia Sportowców Inwalidów START. Sportowcy polscy zdobyli na tej niezwykłej olimpiadzie 20 medali, siedem złotych, osiem srebrnych i pięć brązowych. Po zawodach Edward Śliwiński, który ma amputowaną nogę i który uzyskał złoty medal w biegu na 100 metrów i srebrny w biegu na 400 metrów oraz 12 miejsce w rzucie dyskiem, zdecydował się do Polski nie wracać, wybierając wolność. ■ W Chicago odbyła się w ramach obchodów 40-lecia KPA wystawa plakatów „Solidarności”. Jesienią 1982 Związek Narodowy Polski ogłosił konkurs na plakat „Solidarności”, zwracając się do wszystkich ośrodków twórczych w Ameryce. Jury przyznało cztery nagrody: pierwszą, imienia Alojzego A. Mazewskiego, otrzymał J. Jankins z Bloomington, Indiana, drugą Iga Majewska z Doylestown Pa., a trzecią Piotr Gumper z Nowego Jorku. ■ Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Polskich w Stanach Zjednoczonych skupia obecnie ponad 200 członków. Rozpoczęło ono w *Nowym Dzienniku* publikację stałego biuletynu fachowego, oraz prowadzi szeroki dział odczytów i biuro pośrednictwa pracy. ■ W wyniku obrad ostatniej kapituły generalnej zakonu O.O. Paulinów, która odbyła się w Amerykańskiej Częstochowie, generałem zakonu został wybrany Józef Płatek. Kapituła zdecydowała utworzyć w Ameryce *quasi* prowincję, na czele której postawiono byłego prokuratora generalnego przy stolicy apostolskiej w Rzymie, O. Gabriela Lorenca. Dyrektorem sanktuarium w Amerykańskiej Częstochowie w Doylestown, PA został wybrany O. Lucjusz Tyrasiński, a przeorem został O. Senator Frank Murkowski, republikanin z Alaski. ■ Arcybiskup Chicago, kardynał Józef Bernardin, udał się 8 sierpnia bież. roku z wizytą do Polski, zaproszony przez Episkopat Polski. Towarzyszyli mu bp Alfred Abramowicz oraz kilkunastu księży z polskich parafii Archidiecezji w Chicago. Celem tej podróży było zapoznanie się z sytuacją Kościoła w PRL i omówienie m.in. spraw związanych z utworzeniem Polskiej Fundacji Rolniczej. Konsulat PRL w Chicago odmówił udzielenia wiz zespołowi telewizyjnemu NBC. Jako powód podano niezycząliwy stosunek sieci NBC do PRL. ■ Nowowyprowadzony most w Bostonie Południowym nazwano imieniem Lecha Wałęsy. Uroczysty „chrzest” mostu odbył się 17 sierpnia bież. roku. ■ W Detroit Institute of Arts została otwarta wystawa pt. „Symbolizm w malarstwie polskim w latach 1890-1914”. Wszystkie 105 obrazów, włączając prace J. Malczewskiego, O. Boznańskiej, J. Mehoffera, W. Weissa, W. Słewińskiego, W. Wojtkiewicza i S. Wyspiańskiego, zostały wypożyczone z muzeów oraz ze zbiorów prywatnych także i w Polsce. ■ 23 sierpnia br. zmarł nagle w Nowym Jorku red. Józef Dubicki, wieloletni współpracownik *Nowego Świata*, a następnie *Nowego Dziennika*. ■ 1 października bież. roku ukazał się w Nowym Jorku *Tygodnik nowojorski*. Pismo redaguje Julita Michalska, a w gronie autorów znajdują się pp. Renata Gorczyńska (Ewa Czarnecka), Zdzisław Bau, Jan Kott, Andrzej S. Targowski i znana poetka Anna Frajlich-Zajac. Spoza Nowego Jorku piszą dla *Tygodnika nowojorskiego* m.in. Tomasz Mianowicz (Monachium), Ewa Juńczyk (Detroit) i Jolanta Strzelecka (Boston — b. red. *Tygodnika Solidarność*). W bież. roku ukazały się jeszcze dwa numery pisma — w listopadzie i w grudniu — a w 1985 roku ukazywać się ono będzie co tydzień.

KRONIKA FRANCUSKA

Zmarł we Francji Stanisław Lach, jeden z aktywnych działaczy polonijnych. Jeszcze przed drugą wojną światową pełnił funkcję prezesa Stowarzyszenia Rzemieślników i Robotników Polskich w Paryżu. W czasie wojny

był jednym z głównych założycieli pierwszej organizacji Ruchu Oporu (*La Famille Interalliée*), w 1941 roku aresztowany i do końca wojny więziony w obozach koncentracyjnych. Po wojnie przez długie lata był prezesem Koła Kombatantów w Paryżu i wiceprezesem ogólnokrajowego Związku Byłych Kombatantów Polskich. Pełnił również funkcje prezesa Związku Inwalidów Polskich. ■ W Instytucie Polskim w Paryżu (placówka reżimowa mieszcząca się w gmachu dawnego konsulatu PRL) czynna była wystawa pt. „L'Insurrection de Varsovie”. Wiele braków, wiele przemilczeń lub wręcz fałszerstw. Na szczęście nie cieszyła się zbyt dużą frekwencją, a jeden z nielicznych wpisów do książki pamiątkowej tak komentuje ekspozycję: „Dokumenty bardzo ciekawe, ale szkoda, że zabrakło miejsca na wytłumaczenie roli armii sowieckiej”. ■ Na 30-tej Międzynarodowej Triebunie Kompozytorów w Paryżu najwyższą oceniono „Kwartet smyczkowy” Eugeniusza Knapika. Na czwartym miejscu znalazł się utwór na orkiestrę Bronisława Przybylskiego pt. „A Varsovie”. ■ W gmachu Biblioteki Polskiej w Paryżu koncertowało „Trio z Krakowa”: Antoni Cofalik — skrzypce, Krzysztof Okon — wiolonczela i Karol Tarnowski — fortepian, wykonywali utwory Chopina, Malewskiego i Brahmsa. ■ W Kościele Polskim w Paryżu miał miejsce koncert muzyki i pieśni religijnych w wykonaniu zespołu „Rorantystów” z Krakowa (zespół działa w ramach „Cappella Cracoviensis” przy Państwowej Filharmonii w Krakowie). ■ Z okazji 40-tej rocznicy Powstania Warszawskiego Towarzystwo Historyczno-Literackie zorganizowało w gmachu Biblioteki Polskiej uroczyste spotkanie, w którym m.in. udział wzięli autorzy niedawno wydanych we Francji książek: Aleksandra Kwiatkowska-Viatteau („L'Insurrection de Varsovie”, wyd. Complexe) i profesor Henri Michel („Et Varsovie fut détruite”, wyd. Albin Michel). Z inicjatywy Koła Byłych Żołnierzy Armii Krajowej we Francji odbyła się w domu SPK akademii z okazji czterdziestej rocznicy zakończenia walk Powstania Warszawskiego. ■ W paryskim Centre du Dialogue miał miejsce odczyt profesora Stefana Świeżawskiego, znanego mediewisty z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego pt. „O potrzebie metafizyki”. ■ 25 września zmarł w Paryżu w wieku 85 lat Józef Jakubowski, znany we Francji działacz polonijny. Przed wojną był Dyrektorem Stowarzyszenia Kupców Polskich i dyr. Izby Przemysłowo-Handlowej w Warszawie. W czasie wojny pełnił w okupowanej Francji funkcje prezesa Polskiego Czerwonego Krzyża i Towarzystwa Opieki nad Polakami. Po wojnie prowadził Księgarnię Polską przy Bld. Saint-Germain w Paryżu. ■ W Paryżu odbyło się dwudniowe „Święto Przyjaźni”, zorganizowane przez centralę związkową Force Ouvrière. Tuż przed wystąpieniem sekretarza generalnego Force Ouvrière głos zabrała Ewa Kubasiewicz, która wezwała zebranych (ok. 8 tys. osób) do udziału w kampanii na rzecz uwolnienia związkowców więzionych w Polsce. ■ Nakładem Biura Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” za granicą i francuskiego związku zawodowego Force Ouvrière ukazał się 220-stronicowy raport Międzynarodowej Organizacji Pracy w języku polskim, w sprawie stowarzyszenia przez PRL konwencji nr 87 o wolności związkowej i ochronie praw związkowych oraz konwencji nr 98 o zasadach prawa organizacji i o rokowaniach zbiorowych. Wydanie polskie opracował i wydrukował *Kontakt*. ■ W znanej audycji 2-go programu TV francuskiej pt. „Godzina prawdy” wystąpił członek Biura Politycznego KC Francuskiej Partii Komunistycznej i zarazem sekretarz generalny centrali związkowej CGT, Henri Krasucki. Zapytany o stosunek do Solidarności i spraw polskich stwierdził, że z uwagą i sympatią śledzi wysiłki rządu PRL i Episkopatu, zmierzające do unormowania sytuacji, oraz że nie należy sytuacji w Polsce pogarszać... ■ Na francuskim rynku wydawniczym ukazało się w ostatnich miesiącach wiele interesujących pozycji, poświęconych polskiej problematyce. Niektóre tytuły: Annie Daubenton: *La Pologne, un pays dans la tète*,”

wyd. Encre; Leon Noël: „La Pologne entre deux mondes 1935-1939”, Publications de la Sorbonne; Stefan Wilkanowicz i redakcja *Znaku*: „Pologne Année 39”, wyd. „Cana”; Jacques Levron: „Stanisław Leszczyński Roi de Pologne — Due de Lorraine”, wyd. Librairie Academique Pourin.

Wojciech SIKORA

KRONIKA KANADYJSKA

Rząd konserwatywny liczy 40 członków, tj. dokładnie tyle ile opozycja liberalna. Ministrem Wielokulturowości został poseł z Winnipegu Jack Murta, pochodzenia ukraińskiego. W poprzednim rządzie konserwatywnym, w 1979 roku był nim poseł Steven Paproski pochodzenia polsko-ukraińskiego, natomiast poseł Don Mazankowski jest w dalszym ciągu min. Transportu. Na czele nowego ministerstwa Sportu stanął poseł Otto Jelinek, czeski sportowiec, który przed kilkunastu laty wybrał wolność i pozostał w Kanadzie. ■ Wojciech Fibiak obejmie wiosną nadchodzącego roku stanowisko trenera tenisowej drużyny reprezentacyjnej Kanady. Będzie szkolił drużynę młodzieżową. ■ Dnia 23 września br. odbyło się w Toronto w domu SPK — „Popołudnie Literackie” — na które przybyła z Londynu dr Maja Cybulska, historyk literatury, autorka m.in. monografii o Wacławie Iwaniu — mówiła o twórczości Iwaniu a on sam czytał niektóre wiersze. ■ Podczas spotkania z Polonią na stadionie w dniu 14 września br. w Toronto Papież w końcowej części przemówienia zauważył: „Widzę tu w różnych miastach Kanady, na różnych drogach moich odwiedzin, transparenty z napisem 'Solidarność'. Napis ten jest symbolem takiego porządku, w którym człowiek znajduje się w centrum, w którym człowiek i prawa człowieka są kryterium treści życia społecznego, życia narodowej wspólnoty. I dlatego odnosimy się z ciężką do tego słowa, do tego symbolu, do tej rzeczywistości. Myślę, że na drodze dziejowej, którą idzie nasz naród, a która nie jest drogą łatwą zwłaszcza w ostatnim pokoleniu, to słowo dopisuje jakąś treść jednorodną i stanowi etap wynikający z tych samych przesłanek, służący tym samym dążeniom. Chcemy bowiem być sobą i żyć życiem własnym”. ■ Podczas pobytu w Toronto Papież poświęcił nowowzniesioną słowacką katedrę grecko-katolicką p.w. św. św. Cyryla i Metodego. Przed katedrą stanie drugi z kolei pomnik Jana Pawła II. Fundatorem tej katedry jest parafianin Stefan Roman, multimilioner, jeden z najbogatszych ludzi w Kanadzie, który wspiera hojnie różne cele. ■ Dnia 2 września br. w Calgary, Alberta, na placu przed kościołem Matki Bożej Królowej Pokoju odbyło się uroczyste odsłonięcie pomnika Jana Pawła II, ufundowanego przez miejscową Polonię. Popiersie jest dziełem p. Czesława Mędrka, a całość wykonano według projektu architekta Stanisława Majcherkiewicza. ■ Odsłonięcie pomnika w Toronto — dzieło Svobody, artysty kanadyjskiego, pochodzenia austriackiego, odbędzie się 6 października br. Wznoszenie pomników wywołało wśród Polonii kontrowersję. Kwestionowano w ogóle celowość stawiania pomników, upamiętniania pomnikami ludzi żyjących, wreszcie miejsca dla pomników.

H. H.

Toronto, 1 października 1984 r.

Listy do Redakcji

Londyn, 1984 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Prezes Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, dr Józef Garliński, zamówił u mnie esej do nru VII *Pamiętnika Literackiego*. Numer niedawno się ukazał, ale bez mojego eseju, który został przez Garlińskiego usunięty w ostatniej chwili. Uczynił to dlatego, że poradziłem mu, by się podał do dymisji, gdy się dowiedziałem od niego, że odmówił ze względów politycznych urzędzenia wieczoru autorskiego Tadeuszowi Różewiczowi.

Wyplacone mi już honorarium wartości £ 30 odesłałem p. Garlińskiemu proponując, by zainicjował Fundusz Walki z Cenzurą w Wolnym Świecie.

Obecnie dowiaduję się, że p. Garliński opowiada, że esej musiał wycofać, ponieważ domagałem się wygórowanego honorarium.

Łączę wyrazy szacunku

Adam CZERNIAWSKI

Londyn, wrzesień 1984.

Drogi Panie Redaktorze,

Do wspomnienia prof. M. Peszczyńskiego pt. „Przyczynki do historii Zetu Akademickiego lat trzydziestych” chciałem dołączyć trochę uzupełnień i sprostowań. Głównie w sprawie Edwarda Damięckiego. Prof. Peszczyński słusznie pisze, że „Edward Damięcki był pierwotną wtyczką”. Pierwotną i — jeśli idzie o warszawską organizację Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej — jedyną. Inni nasi koledzy z ZPMD, a wśród nich i ja, byli tylko ofiarami jego niezwykle zręcznej a perfidnej agitacji, w której łączył argumenty patriotyczne i społeczne ze sloganami komunistycznymi. Niech to sobie wygląda na paradoks — ale cała grupa, która uległa agitacji Damięckiego — i ja wśród niej — nie mająca pojęcia o tym czym jest Rosja komunistyczna w rzeczywistości — kierowała się złe pojętym, ale szczerym patriotyzmem. Niestety, mało się u nas pisało o tym czym jest bolszewizm, a to co się pisało uważaliśmy — pod wpływami takich Damięckich — za „fałszerstwa burżuazji, działającej w obronie swego stanu posiadania”. Dla mnie najlepszą odtrutką na paranoiczną wiarę w komunizm i bolszewicką Rosję stał się dopiero sam bolszewizm, który przyszedł do nas razem z hitleryzmem w roku 1939. Byłem wtedy we Lwowie. Resztki moich złudzeń rozbił... Władysław Broniewski, który powiedział wyraźnie, co myśli: „To taki sam imperializm jak hitlerowski, a 'on' to czerwony Hitler”... Jak Broniewski, autor tych słów, autor „Bagnetu na broń” i „Żołnierza polskiego”, mógł potem napisać haniebne „Słowo o Stalinie” (w roku 1950) — pojąć nie mogę.

Damięcki miał brata, który był członkiem Komunistycznej Partii Polski

i on go spreparował na komunistę i wtyczkę. W życiu prywatnym Damięcki był ponury — milczkawy — ożywał się tylko jako mówca i agitator. Jako ofiara tej jego agitacji zapłaciłem w życiu późniejszym niemałą cenę — do dziś się wlecze za mną jak czarny, czy raczej czerwony cień ta przeszłość kilku lat studenckiego „komunizowania”.

Damięcki został wysłany przez Partię (przed jej rozwiązaniem przez Stalina), być może w porozumieniu z sowieckim NKWD, do Kanady na robotę agitacyjną wśród tamtejszej Polonii. Działał pod pseudonimem „Albert Morski”. Po wojnie wrócił do PRL i — jako znający języki i obce kraje — został wyznaczony na kontrolera placówek dyplomatycznych, M.in. przez pewien czas był „nadziratелеm” ambasady rezymowej w Londynie. Nie szukał ze mną kontaktu, ani tym bardziej ja z nim. Napisałem tylko w *Wiadomościach* „list otwarty” do niego, apelujący do jego polskiego sumienia. Bez odpowiedzi.

Co do sprostowań: Stanisław Smoleński nie umarł w roku 1944, na szczęście żyje, jesteśmy z nim w serdecznej korespondencji, w której wspomniamy czasy zetpeemdowskie, jako najpiękniejsze chwile naszego życia. Tak samo błędna jest data śmierci Kazimierza Zielińskiego (str. 18 „Przyczynków”).

Jan Kott, mimo że przed wojną lekko komunizował, w czasie wojny wstąpił do PPR, a po wojnie w odpowiednim momencie „wybrał wolność” — jest chyba takim marksistą, który z Marksa wziął do serca jedynie slogan: „spryt określa świadomość”.

Łączę wyrazy szacunku i serdeczne pozdrowienia

Janusz KOWALEWSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

W wakacyjnym i wrześniowym numerze Pańskiego pisma, w „Kronice niemieckiej” i w rubryce odpowiedzi na listy, ukazały się dwie informacje dotyczące mojej osoby.

Notatki informują czytelników *Kultury* jakoby w maju tego roku miał ze mną przeprowadzić rozmowę w opinii Redakcji godny zaufania dziennikarz. W rozmowie tej miałem przedstawić się jako osobisty wysłannik Prymasa Polski do RFN celem zorganizowania wydawania pisma społeczno-religijno-kulturalnego, prezentującego linię postępowania Prymasa, różną od linii reprezentowanej przez *Tygodnik Powszechny*. Dodatkowo była zawarta informacja o odcięciu się „nowego pisma” od *Kultury* i innych pism emigracyjnych, jako zbyt politycznych.

Chciałbym stwierdzić, że od początku do końca te informacje są nieprawdziwe.

Nikt z moich majowych rozmówców nie przedstawił się jako dziennikarz *Kultury*, przeprowadzający ze mną rozmowę. Jest to o tyle istotne, że tylko wówczas informacje uzyskane ode mnie mogły być publikowane jako oficjalne moje wypowiedzi z powołaniem się na mnie. Takiego prawa nie mają stwierdzenia wypowiedziane w prywatnej rozmowie, czy podsłuchane przez anonimowego dziennikarza.

Jednak nawet w prywatnej rozmowie nikomu nie przedstawiłem się jako osobisty wysłannik Prymasa Polski do spraw wydawniczych. Nie jest mi też znana różnica w postępowaniu Prymasa, od tej jaką wyraża *Tygodnik Powszechny*.

Cała sprawa jest po prostu przypisaniem mojej osobie rzeczy, które nie

mają ze mną żadnego związku. Ponieważ informacje te nie tylko wprowadzają w błąd czytelników, ale również stawiają mnie w fałszywym świetle w oczach moich zwierzchników, uprzejmie proszę o zamieszczenie tego listu w najbliższym numerze *Kultury*, jako sprostowania.

Ks. Czesław NOWAK

Carlsberg, 27 września 1984.

Nowy Jork, 10 października 1984.

Drogi Panie Redaktorze,

Uprzejmie proszę o zamieszczenie poniższego listu do redakcji:

Lata płyną i czas pomyśleć o przyszłości, naturalnie moich książek, a nie mojej. Zawiadamiam wobec tego wszystkich, którzy interesują się moją twórczością, że złożyłem moje archiwum, zawierające m.in. 15 moich książek, dużo fotografii, listów, rękopisów itd. w Archiwum Instytutu Piłsudskiego w Nowym Jorku, 381 Park Avenue, N.Y., 10016.

Moje archiwum w tym instytucie zawiera głównie materiały w języku polskim. Natomiast The Hoover Library przy Stanford University, Stanford, California, nabyła moje archiwum, na które składają się materiały w językach innych niż polski.

Siśkam dłoń i łączę najlepsze pozdrowienia

Wacław SOLSKI

OŚWIADCZENIE

Jak wynika z doniesień prasy krajowej, p. Jadwiga Sosnkowska, wdowa po gen. Kazimierzu Sosnkowskim, przekazała w początkach września 1984 r. do Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie „wszystkie pamiątki po Mężu, wraz z Jego osobistym archiwum”.

Postępowanie p. Sosnkowskiej jest sprzeczne z ostatnią wolą zmarłego Generała, który w swoim testamentie z dnia 22 stycznia 1969 roku nakazał swojej żonie Jadwidze i ich synowi Piotrowi:

— ażeby wszystkie jego odznaczenia, medale i pamiątki oddali do Instytutu gen. Sikorskiego w Londynie;

— ażeby wszystkie osobiste papiery i dokumenty, dotyczące jego działalności publicznej, przekazali do Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce, oraz ażeby w porozumieniu z kpt. Witoldem Babińskim powołałi komitet wydawniczy, który w oparciu o to archiwum przedstawi wkład Polski w zwycięstwo aliantów w drugiej wojnie światowej.

Na pokrycie kosztów publikacji gen. Sosnkowski przeznaczył m.in. 60 % wpływu ze sprzedaży jego nieruchomości w Kanadzie.

Pani Sosnkowska, w licznych kontaktach listownych i telefonicznych w ciągu 15 lat od śmierci Generała, przyrzekała przesłać do Instytutu Piłsudskiego należne mu archiwum, skoro tylko ukończy jego inwentaryzację. Również Piotr Sosnkowski, do którego Instytut zwracał się w sprawie archiwum, nigdy nie negował praw Instytutu.

Przekazanie archiwum gen. Sosnkowskiego, sprzecznie z jego testamentem, jest pogwałceniem ostatniej woli Zmarłego, jak również nasuwa obawy

co do sposobu wykorzystania tego archiwum. Przewidziany testamentem komitet wydawniczy nie został powołany, pomimo że nieruchomości gen. Sosnkowskiego została już dawno sprzedana.

Nowy Jork, 25 września 1984 r.

INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W AMERYCE

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Prof. dr St. B. oraz dr St. M. — Warszawa. — Listu panów nie zamieścimy. Tego rodzaju dyskusje służą niepotrzebnie do pogłębiania antagonizmu polsko-ukraińskiego.

Karol Skórski. — Francja. — Listów nie zamieścimy. Podzielamy opinię Lecha Wałęsy. Uwagi o układach jałtańskich też nie wnoszą nic nowego.

E.P. — Rzym. — Listu nie zamieścimy. Pana sugestia, by wszyscy wyjeżdżający z kraju na stałe zabierali ze sobą żonę Polkę nie wydaje nam się ani realna, ani praktyczna.

M.S.Z. — Sao Paulo. — Pana listu-artykułu nie zamieścimy. Pana ocena sytuacji w kraju jest dosyć odosobniona. Więcej niż liczne relacje osób przyjeżdżających z kraju potwierdzają oceny J. Stypułkowskiego.

J.N.G. — Sztokholm. — Listu do Redakcji nie zamieścimy, nie uważamy bowiem doskonałego wiersza Adama Bąkowskiego pt. „Litania” za bluźnierczy. Uważamy zresztą, że tego rodzaju listy nie powinny być anonimowe.

P. Maria W. Wegner, p. Danuta M. Zawadzka. — USA. — Listów nie zamieścimy, nie uważamy by recenzja p. Jerzego Lerskiego z książki gen. S. Karpińskiego była uprzykrzająca pamięci generała.

J.A. — Langenfeld, RFN. — Nie zamieścimy. Nie należy przesadzać z renesansem rewizjonizmu niemieckiego. Radzimy uważnie przeczytać nie tylko doskonały artykuł p. Kamili Chylińskiej, ale także specjalny numer *Kultury* w języku niemieckim, który się właśnie ukazał.

Konrad W. — Pana artykułu nie zamieścimy. Jest on interesujący, i dobrze napisany, ale nie należy szukać nadziei na konflikt zbrojny sowiecko-chiński. Może kiedyś nastąpi, ale obecnie nic na to nie wskazuje. Pana argumenty są tak samo nieprzekonywujące, jak i argumenty Golicyna, który twierdzi, że właściwie konflikt między Moskwą i Pekinem nie istnieje.

SPROSTOWANIE

Laupen, 20 października 1984.

Łaskawy Panie Redaktorze,

Korekta jest, jak wiadomo, ulubioną domeną złych duchów i każdy drukujący musi się z tym faktem w jakiejś mierze pogodzić. Jeśli duchy buszują w tekście własnym autora (kiedy np. z organizacji *zintegrowanych* robią się organizacje *zainteresowane* co dokładnie nic nie znaczy), to trzeba to w pokorze znieść i przeboleć. Gorzej kiedy sprawa dotyczy cytowanych tekstów, zwłaszcza tekstów oficjalnych, w których nikt nie ma prawa gospodarować.

W moim artykule o sprawie polskiej w MOP* cytowałam w aneksie wyłącznie te artykuły konwencji MOP które odnoszą się bezpośrednio do tematu. Zostało to, według wszystkich reguł sztuki, zaznaczone wielokropkami które w druku znikły. Moje rzemieślnicze sumienie nakazuje mi więc *ex post* poinformować czytelników 1) że cytowane artykuły nie są pełnym tekstem konwencji (nawet w jej części dyspozycyjnej), 2) że żaden traktat międzynarodowy tak nie wygląda i wyglądać nie może, albowiem w braku tzw. *clauses finales* regulujących jego żywot (ratyfikacja, wejście w życie, rewizja, wypowiedzenie, etc. etc.) byłby dokładnie zawieszony w próżni.

Z góry dziękuję za zamieszczenie tego listu i łączę najlepsze wyrazy

Krystyna MAREK

* *Kultura* nr 10/445 (1984).

Nakładem Księgarni „Libella” w Paryżu ukaże się niebawem w druku książka

Ks. JERZY POPIELUSZKO

„KAZANIA PATRIOTYCZNE”

Msze święte w intencji Ojczyzny w czasie stanu wojennego w Polsce
Styczeń 1982 - Sierpień 1984.

Cena: F. 95,00.

Zamówienia przyjmujemy od dzisiaj:

„LIBELLA”

12, rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris (France).

Książki wysyłamy na cały świat.

KONTAKT

Miesięcznik redagowany przez członków i współpracowników NSZZ „Solidarność”

Adres Redakcji: 152, rue St-Maur, 75011 Paris.

Zamówienia i czeki prosimy kierować bezpośrednio na adres Redakcji. Należności wysyłane pocztą przekazywać na konto pocztowe CCP Paris 351140 E.

Cena egzemplarza F. 28; Roczna prenumerata F. 300; półroczna F. 155.

KOMPLET „KULTURY” (1947-1983) NA MIKROFISZACH

Niewiele księgozbiorów na świecie posiada pełne komplety *Kultury*, która ukazuje się w Paryżu regularnie od 1947 roku. Pragnąc wypełnić istniejące zapotrzebowanie w kraju i na Zachodzie zlecieliśmy INDEPENDENT POLISH AGENCY przygotowanie kompletu dotychczasowych roczników *Kultury* na mikrofiszach.

Mikrofisze to nowa, szybko rozwijająca się technika, znajdująca wszędzie coraz szersze zastosowanie. Obecnie zdecydowana większość bibliotek uniwersyteckich dysponuje czytnikami, często połączonymi z kopiarkami. (Tego typu czytnik marki FUJI waży mniej niż jeden kilogram, zabiera niewiele miejsca i kosztuje około 800 franków).

Mikrofiszowa edycja roczników *Kultury* (1947-1983) zawarta jest na 804 fiszach formatu 10,5×14,8 cm. Każdy rocznik jest w oddzielnej kopercie. Całość przesyłana jest w dwóch plastikowych pudełkach, stanowiących podręczną kartotekę.

Cena kompletu roczników *Kultury* wynosi 750 dolarów amerykańskich lub równowartość w innych walutach. Cena pojedynczego rocznika wynosi 25 dolarów amerykańskich (wraz z kosztami przesyłki).

Zamówienia należy zgłaszać do:

IPA, Box 2113, 220 02 LUND, SWEDEN.

Tel. international: 46/46 14-34-16.

Należności należy przekazywać na IPA: Międzynarodowym przekazem pocztowym — POSTGIRO SWEDEN 469050-9 albo przelewem bankowym na SE BANKEN SWEDEN, LUND 5624-0044911 względnie International MO na IPA, Box 2113, 22002 Lund 2, Sweden.

Edycja roczników *Kultury* na mikrofiszach będzie systematycznie kompletowana. Rocznik 1984 ukaże się w styczniu 1985. Cena rocznika wynosi 25 dolarów amerykańskich (wraz z kosztami przesyłki) normalnej prenumeraty *Kultury* a więc obecnie 28 dolarów lub równowartość).

Zamówienia kolejnych następnych roczników *Kultury* na mikrofiszach zamawiać można w redakcji *Kultury* dopłacając 50 % rocznej prenumeraty z dopiskiem „mikrofisze”. Można też zamawiać wyłącznie mikrofiszową edycję *Kultury* przez IPA. W takim przypadku cena rocznika wynosić będzie 75 % rocznej prenumeraty *Kultury*. Opłaty prosimy przysyłać bezpośrednio na IPA.

Na Apel „Konfederacji 76”, Oddział Boston na Fundusz „Solidarności” Podziemnej w Polsce: ks. A. Nadzieja — \$ 20,00; A. Zołądkowski, J. Zołądkowski, W. Ostrowski po \$ 10,00; byli internowani W. Szypszak i Z. Padzik po \$ 10,00; b. internowani A. Butkiewicz, T. Daniszewski, J. Kocjan, R. Górski, M. Butkiewicz, T. Wojdakowski, C. Rybak po \$ 5,00; M. Stankiewicz, Z. Wallek, B. Fusiak, A. Biedak, W.G., P. Janik — po \$ 5,00; ogółem: \$ 135,00 F.1.270,00

WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ

E.M., Paryż — na rzecz przesładowanych w PRL F. 200,00
 Alfred Kolator, Londyn — na pomoc dla Kraju — £ 10,00 .. F. 110,00
 Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — za październik — \$ 100,00 F. 940,00
 Dr Zygmunt Stankiewicz, Stockholm — z życzeniami świątecznymi dla przyjaciół w Polsce i na emigracji — Krs 150,00 F. 165,00

Irena M. Thiel, Ann Arbor, MI (USA) — dla uczczenia pamięci Rodziców Stefanii i Jakuba:
 — na Fundusz *Kultury* — \$ 250,00 F.2.350,00
 — na Fundusz drukarski im. Wł. Głowackiego — \$ 250,00 F.2.350,00

WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI ZABEZPIECZANIE ŚLADÓW

Nowa książka autora „Zasypie wszystko, zawieje...”

Zawiera opowiadania: *List, Bóg z tobą synu, „I Duch się skupił w jedno ziarno”, Pod murem, Ku Dunzynańskiemu Wzgórzu idzie las, W stepie, w ostach i w burzanie.*

Str. 128.

Cena: F. 45,00.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
 Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
 Commission Paritaire N° 60789.
 Dépôt légal : 4^e trimestre 1984.

Imprimé en France
 N° d'imprimeur 6673.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
 par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon : (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1985			
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
ARGENTYNA : « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
AUSTRALIA : Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel. 29 1248	\$ A. 5,50	\$ A. 30,00	\$ A. 56,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, 1011 Wien, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14. Tel. 52-60-175	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
BELGIA : Maria Rindomanska, 132, Avenue Coghén, 1180 Bruxelles. Tel. (2) 345 08 25. Konto 310.0334324.51 w Banque de Bruxelles	F.B. 300,00	F.B. 1500,00	F.B. 2750,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czeków do administracji « Kultury »	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA : O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
HOLANDIA : Mrs. J. Minkiewicz, Wiellingenlaan 6, 4382 B L Vliissingen. Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176 ..	Fl h 15,00	Fl h 85,00	Fl h 155,00
IZRAEL : Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel. 621311	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel. 339-5577; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen St. W Toronto 145 Ont. Polish Alliance Press, Ltd. (« Związkowiec »), 1638 Bloor St., W., Toronto, Ont. M6P 1A7	\$ Can. 6,00 DM 13,00 F. 38,00	\$ Can. 35,00 DM 75,00 F. 220,00	\$ Can. 60,00 DM 140,00 F. 400,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1. NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss. ...	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F.S. 11,00	F.S. 65,00	F.S. 115,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kalskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel. (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 36,00	K.S. 200,00	K.S. 380,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel. 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104. Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725 - 17th St., N.W. Washington D.C. 20009; H. Kosciuch, 41963 Utica Rd., Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel. (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel. (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38-th Street, New York, N.Y., 10018. Tel. (212) 354-0492; Polish Books & Arts, Inc., 97 East 7th St., New York, N.Y. 10009, tel. (212) 254-8457	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
WIELKA BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
WŁOCHY : Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel. 75-67-241	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 400; półroczna — F. 220.
 Przesyłka pojedynczego numeru — F. 5,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
 INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
 par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)
 lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 394 — MICHAŁ HELLER (Adam Kruczek)

POLSKA W OCZACH MOSKWY

Analiza wypowiedzi prasy sowieckiej w ostatnich trzech latach.

Str. 208.

Cena F. 75,00.



TOM 395 — KAZIMIERZ BRANDYS

MIESIĄCE 1982-1984

Trzeci tom zapisów pamiętnikarskich o charakterze osobistym na tle wydarzeń kulturalno-politycznych.

Str. 356.

Cena F. 80,00.



TOM 396 — SŁAWOMIR MROŻEK

ALFA

Nowa sztuka sceniczna znanego dramaturga, której bohater przypomina postać Lecha Wałęsy. Autor ukazuje nam dylemat człowieka, który stał się symbolem, nie przestając być człowiekiem.

Str. 84.

Cena F. 40,00.



TOM 397 — MAREK NOWAKOWSKI

DWA DNI Z ANIOŁEM

Czwarta — wydana u nas — książka jednego z najciekawszych i najbardziej utalentowanych prozaików polskich młodego pokolenia, łączy żywy opis środowiska o ogromnym wyczuciu realiów z szerszą refleksją o Polsce pod rządami komunistów.

Str. 152.

Cena F. 55,00.